

Prawda o 4 czerwca

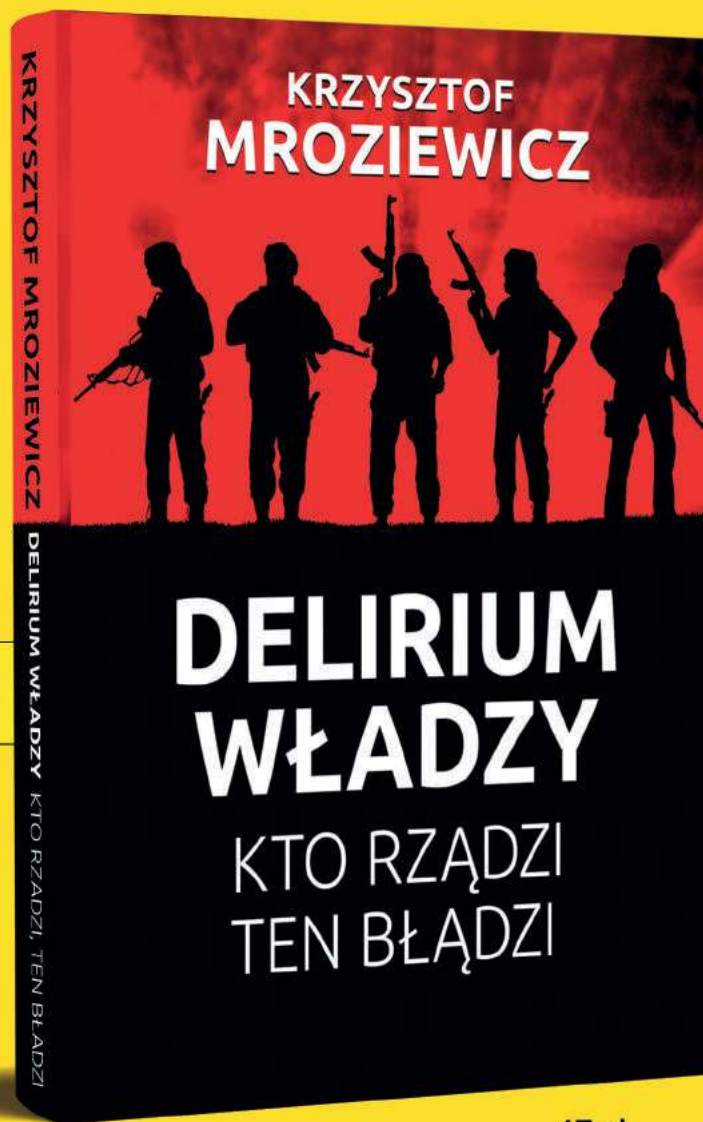
Lech Wałęsa i Lech Kaczyński
na wiecu przedwyborczym
w Gdyni, 1 czerwca 1989 r.

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311904

PRZEGLĄD poleca!



47 zł

**Czy jesteśmy skazani na rządy
psychopatów?
Co musi zrobić świat, by wyjść
z zaklętego kręgu dyktatur,
populizmu i terroru?
Krzysztof Mroziewicz pisze
o tym w najnowszej książce
Delirium władzy.**

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

CYTATY

WITOLD JURASZ,
prezes Ośrodka Analiz
Strategicznych
*Nixon powiedział,
że do uprawiania polityki
trzeba „rozumu, serca
i jaj”. Na razie opozycja
nie ma żadnego z tych
elementów.*
„Dziennik Gazeta Prawna”

ZBIGNIEW ĆWIAKALSKI,
były minister
sprawiedliwości
*Nowelizacja Kodeksu
karnego to bubel prawny.*
„Rzeczpospolita”

PROF. MONIKA PŁATEK,
prawnik UW
*Jesteśmy społeczeństwem,
w którym prawdopodobnie
wielu ludziom brakuje
dobrego seksu i wyżywają
się w rozmowach o seksie.*
„Pani”

EDYTA GÓRNIAK,
piosenkarka
*Jeśli nie będę mogła
zasnąć w ramionach
jednego człowieka,
to zawsze będę mogła
spocząć w ramionach
ludzkości.*
„Viva!”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Nic nie jest przesądzone

Za nami próba generalna przed wyborami do Sejmu i Senatu. Mimo wyników tak zaskakujących, że nie przewidzieli ich analitycy ani praktycy, nic nie jest przesądzone. Bo przecież poprzeczka, którą ma przeskoczyć opozycja, jest osiągalna. Co za tym przemawia? Sam widok wybrańców, jacy będą nas reprezentować w Brukseli, wystarczy za komentarz. Trudno mieć kompleksy na widok takich tuzów. Może co trzeci potrafi sprostać wymogom brukselskiej maszyny. A reszta? Bez znajomości arkanów polityki i języków będzie w Brukseli robiła to, co wcześniej w kraju. Czyli powtarzała partyjne instrukcje. Opracowywane przez ludzi z Nowogrodzkiej. Tysiące ludzi karnie powtarza za politykami PiS te same kilkanaście słów. O biało-czerwonej drużynie, o dotrzymywaniu słowa i o wiarygodności.

I tak od lat te bajki i kłamstwa powtarzane są przez tysiące ludzi żyjących dostatnio z posad, które zawdzięczają partii. Oni w tych wyborach faktycznie walczyli jak o życie. Straszni dodatkowo przez prezesa, że jak przegrają, to zwycięzcy zabiorą im wszystko.

Nie tylko w tej sprawie PiS bazuje na zrozumiałych lękach ludzi. Jak nie ma faktów, to je wymyśla. Dobrym przykładem jest tu obrona Polaków przed euro. Kompletny odlot. Bo euro żadna partia długo jeszcze nie wprowadzi. I nikt Polski do tego nie zmusza.

Państwa z tej strefy po prostu nam odjadą. A w ślad za tym za granicę wyjadą kolejne miliony Polaków. Jak długo będą to wędrowniki w jedną stronę? Czy coś w tej sprawie się zmieniło po rządach PO-PSL? Pisowskie eldorado opuszczają kolejne rodziny, bo za Odrą nasze 500+ to zaledwie 100 euro.

PiS broni polskich rodzin. Nie przed pedofilami czy chlającymi i bijącymi dzieci rodzicami. Broni tej rodziny, która uwierzy w największe brednie i kłamstwa o zagrożeniach, jakie na nią czyhają. Tak jakby Unia wtrącała się w polską obyczajowość.

W minionej kampanii najbrutalniej atakowane były dwie partie. PSL – przez cały obóz pi-sowski, który chce kompletnie wyeliminować tę partię z gry, by w długim planie osadzić się na wsi i w małych miastach jako monopolista. I Wiosna Roberta Biedronia. Przez Koalicję i sprzyjające jej media. Ich celem jest przekonanie Biedronia do wspólnej listy. Nie sądzę, żeby to miało sens. Gratuluję Wiośnie sukcesu. Skromnego, bo na przekór fali duopolu. Rozumiem powyborczą radość Biedronia. Naprawdę miał do niej powody.

Liczyłem na lepszy wynik Lewicy Razem, choć wiem, że tu do sukcesu prowadzi dłuższa droga. Szanuję więc tych, którzy ją wybrali.

FAUL

Posel wizytówka

Nikt nie ośmiesza wyborów tak skutecznie jak Dominik Tarczyński. Rezerwowy poseł do Parlamentu Europejskiego. Nie zostaje nam nic innego, jak mocno kibicować Brytyjczykom, by nie wychodzili z Unii. Bo wtedy Tarczyński pozostanie w kraju. I będzie wstydem dla macierzystego PiS. Ten hucpiarz jest przecież posłem tej partii. I wizytówką, od kąd ogłosił: „Jestem polską elitą” (Polsat News). I siłą fizyczną, gdy do Wałęsy napisał: „Zapraszam cię na solo, bydlaku”. Ale dla pielgrzymów, których naciągał na kasę, jest „oszustem i naciągaczem”.

BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 8 Prawda o 4 czerwca**
Plebiscyt zamiast wyborów

KRAJ

- 12 Polska cnota**
– każdemu otworzyć wrota
Azjaci czekają na wizy
- 16 O Rosji inaczej**
Promocja książki
prof. Andrzeja Walickiego
- 18 Nie wiem, czy bez zwierząt potrafię żyć**
Epopeja wolnych krów
- 22 Bezdzielne z wyboru**
Bunt kobiet
- 46 Pogromcy kaca**
Pogotowie następnego dnia
- 50 Przychodzi człowiek do egzorcysty**
W co wierzą Polacy

ZAGRANICA

- 26 Zielona euforia**
Korespondencja z Berlina
- 30 Zmowa tabletkowa**
Giganci zarabiają na generykach
- 54 Kiedy dziecko zabija dziecko**
Dwa morderstwa 11-latki
- 56 Kuba – perła Karaibów**
otwarta na turystów

EKOLOGIA

- 32 Rebelia przeciw wymieraniu**
Młodzi ratują klimat

OPINIE

- 36 Radosław S. Czarnecki**
Europejski pochód populistów
- 38 Marta Michalicka-Ipnarska**
Wieczna szkolna prowizorka

KULTURA

- 40 Rozbić namiot na Gobi,**
patrzyć, jak Bug płynie
– rozmowa z Andrzejem Stasiukiem
- 44 Culturalia**
- 66 Otto Mueller. Malarz. Mentor. Mag**

SPORT

- 58 Piłka nożna, do cholery!**
ŁKS i Widzew rozpalają emocje kibiców

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Nic nie jest przesądzone
- 17 Bronisław Łagowski**
Biedni i niemoralni
- 21 Jan Widacki**
Smutek, ale nie rozpacz
- 29 Roman Kurkiewicz**
Polacy mądrze wybrali
- 35 Tomasz Jastrun**
Lizanie ran
- 39 Edward Mikołajczyk**
Echo serca Tuska
- 43 Agnieszka Wolny-Hamkało**
W szranki z szantami



ROZBIĆ NAMIOT NA GOBI, PATRZEĆ, JAK BUG PŁYNIE

– rozmowa z Andrzejem Stasiukiem

40
KULTURA

56
ZAGRANICA

KUBA
– PERŁA KARAIBÓW
OTWARTA
NA TURYSTÓW



PIŁKA NOŻNA, DO CHOLERY!

ŁKS i Widzew rozpalają emocje kibiców

58
SPORT

Projekt okładki: Marta Bensalem

FOT. SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI/AGENCJA GAZETA



JAKUB DYMEK

Czy Polska nierównościami stoi?

KRYSTYNA GUCEWICZ

Różnokrwista – piszę, bo lubię

Klient cyfrowy,
niewolnik zakupów

✉ Zarobki prezesów Poczty Polskiej

Zbulwersowała mnie informacja podana w PRZEGŁĄDZIE nr 20 o pensjach zarządu Poczty Polskiej, którego prezes otrzymuje 49 tys. zł miesięcznie plus 147 tys. rocznej premii. Premia tej wysokości to dwa dobre samochody. A przecież pracownicy

A • GIE Przemysław Sypniewski, prezes Poczty Polskiej z nadania PiS, zarabia 49 tys. zł miesięcznie plus 147 tys. zł premii. Członkowie zarządu mają ciut mniej: 47 tys. zł miesięcznie plus 141 tys. zł. A li-stonosze? Walczą o 500 zł podwyżki.

tej firmy zarabiają niewiele, natomiast usługi są coraz droższe. Moje znajome nie wysłały bliskim kartek z życzeniami świątecznymi z uwagi na cenę znaczków pocztowych – 3,30 zł. Moje pokolenie, które poniosło ciężar odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych, musiało odkładać na kilka czy kilkanaście lat marzenia o skromnym samochodzie, jakim była Syrena 102. Nawet ludzie z wysokimi kwalifikacjami. Choćby mój mąż, który ukończył studia wyższe i podyplomowe na Politechnice Warszawskiej w zakresie ekonomiki, organizacji produkcji i ergonomii. Teraz niektórzy politycy PiS wykrzykują pod adresem ludzi z mojego pokolenia: „Komuniści i złodzieje!”. Te słowa nie tylko ranią, ale i zatrzymują nam ostatnie dni.

Anna Janicka, Warszawa

✉ Europa ojczyzna to nie przeżytek

Głosowałem na Aleksandra Kwaśniewskiego i uważałem, że był najlepszym prezydentem po okresie PRL, ale z niektórymi jego stwierdzeniami w rozmowie opublikowanej w PRZEGŁĄDZIE nr 21 nie mogę się zgodzić. Pan Kwaśniewski twierdzi, że Europa ojczyzna to przeżytek i prowadzi do narodowych egoizmów. Trzeba więc szukać tego, co wspólne, i trochę ugłaskiwać to, co było złe. Moi dziadkowie po tułaczce wojennej powiedzieli: kartofle z solą, chleb z wodą, ale u siebie. Zapamiętałem, bo sam również tego doświadczyłem. Póki żyję, nie wyrzeknę się narodowości i państwa. A zacierać śladów nie należy, bo stanowią ostrzeżenie. Powojenne pokolenia być może tego nie rozumieją.

Zbigniew Rudecki, Warszawa



f Czy Morawiecki dotrwa do wyborów?

Tak naprawdę niczego nie da się oczyścić, mając dwa zwalczające się bloki. Można co najwyżej odstrzelić parę płotek, rekiny zawsze pozostają w ukryciu i czekają na kolejną zmianę na boisku między tymi dwiema partiami. Potrzeba kogoś trzeciego, spoza gry, kto w dodatku będzie miał wolę i nie da się zbyt szybko omamić kasie. Jeśli o klasie politycznej mowa, bo lewicy robi się na ulicy i wśród ludzi.

Piotrek Urbański



ZDJĘCIE TYGODNIA

Czym skorupka za młodu nasiąknie... Chińscy uczniowie pozują do zdjęcia z okazji Światowego Dnia Bez Tytoniu, który obchodzony jest 31 maja. Handan, prowincja Hebei w północnych Chinach.





PYTANIE TYGODNIA | Kto i dlaczego poparł PiS w wyborach do Parlamentu Europejskiego?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI,
socjolog, PAN

Po pierwsze, zdecydowani zwolennicy tej partii, którzy najwięcej korzystają z jej programów socjalnych. Nadreprezentowani w tym elektoracie są ludzie utrzymujący się z rolnictwa oraz emeryci i renciści. Po drugie, grupa, do której w każdym społeczeństwie należy kilkanaście procent wyborców, czyli osoby nie do końca zdecydowane, na kogo oddać głos. Prawdopodobnie zdecydowały się pójść na wybory i poprzeć PiS, dlatego że poczuły się zdegustowane nieco naiwną, nieracjonalną i nieprzekonującą krytyką tej formacji ze strony opozycji. PiS próbowało obciążyć odpowiedzialnością m.in. za pedofilię wśród duchowieństwa. Błędem polityków opozycji był także udział w Marszach Równości i inne tego typu poczynania, których kilka dni przed wyborami powinni unikać.

DR HAB. JAROSŁAW FLIS,
socjolog polityki, UJ

Partię rządzącą poparli przede wszystkim ci, co zwykle – korelacja z wynikami poprzednich wyborów jest

bardzo duża. Do tego doszło trochę nowych wyborców, prawdopodobnie z grupy osób, które decyzję o tym, na kogo głosować, podejmują na podstawie rozmów z rodziną i znajomymi. Fałda tego rodzaju poparcia mniej więcej równo rozłożyła się na całym obszarze kraju, a mobilizacja po stronie opozycji nie była w stanie jej przeważać. Koalicja Europejska ewidentnie nie wywoływała entuzjazmu zwolenników tworzących ją partii, a związane z tym straty okazały się znacznie większe niż premia za wymuszoną jedność. Obecnie mamy dwie formacje polityczne o porównywalnej sile, a o tym, która w danych wyborach zmobilizuje więcej osób, decydują błędy taktyczne. Tym razem, w moim przekonaniu, więcej popełniła ich KE.

DR HAB. NORBERT MALISZEWSKI,
psycholog społeczny, UKSW

PiS poparły przede wszystkim osoby w wieku 50+, a powodem była zapewne tzw. trzynasta emerytura, gdyż w tym elektoracie bardzo silne są obawy związane z sytuacją materialną. Na tę partię zagłosowało też więcej niż w poprzed-

nich wyborach osób ze wsi i małych miast i prawdopodobnie tu również decydujące znaczenie miały programy społeczne, takie jak 500+. Wśród pozostałych, mniejszych liczebnie, grup wyborców PiS dominowały dwa motywy. Po pierwsze, głosowanie jako wyraz poparcia dla programów społeczno-gospodarczych rządu. Po drugie – to powód mniej znaczący, ale też istotny – kwestia kulturowa. PiS dobrze się pozycjonowało jako obrońca tradycyjnych wartości, reprezentujący umiarkowany konserwizm, w odróżnieniu od opozycji, która skłoniła na lewo.

MARCIN T. MĄDRY,
czytelnik PRZEGŁĄDU



Na PiS głosowali ludzie oddani magicznemu myśleniu oraz bogu nienawiści i zemsty. Tak jak ludzie oddani bogu pogardy wobec biednych i tych, którym się nie udało, głosowali na Koalicję Europejską. Na Biedronia – wyznawcy boga antyklerykalizmu, a na Kukiza i Konfederację – studzy współczesnego Ducha Świętego, czyli niewidzialnej ręki rynku.

Not. Michał Sobczyk



Punkt informacyjny komitetu wyborczego Solidarności na warszawskim Żoliborzu.

Prawda o 4 czerwca

Partijni reformatory parli do zmian, a Solidarność zachowywała się podejrzliwie i nieufnie

Robert Walenciak

Czy 4 czerwca 1989 r. wyniki wyborów mogły być inne? Czym było to głosowanie? Wyborami czy plebiscytem? I czy historia mogła się potoczyć inaczej?

Pisałem już o tym w kwietniu, przy okazji rocznicy rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu – pod koniec lat 80. ekipa Gorbaczowa zdecydowała się dokonać zwrotu. Doktryna Breżniewa została zastąpiona doktryną Sinatry (od tytułu jego piosenki – „My way”), czyli kraje Europy Środkowej mogły wybierać własną drogę, Moskwy to przynajmniej w teorii nie interesowało. Rosja miała zyskać na tym podwójnie – po pierwsze, odpadały jej koszty utrzymania tzw. imperium zewnętrznego, po drugie – otwierało to drogę do zjednoczenia Niemiec i współpracy rosyjsko-niemieckiej. Mariażu nowoczesnych technologii i surowców.

Takie były rachuby rządzącej w Moskwie ekipy. Ale też jej władza była chybota, w każdej chwili

wszystko mogło się odwrócić, czego zresztą dowodem był późniejszy pucz Janajewa.

I Okrągły Stół, i czerwcowe wybory były więc drogą w nieznane. Przy czym nie chodziło nawet o to, że Wojciech Jaruzelski nie orientował się, gdzie są granice jego pola manewru, bo orientował się dość dobrze. Rzecz

jeszcze w pełni demokratyczne, ale zostało już obiecane i ogłoszone, że w pełni demokratyczne będą wybory następne. A te ustalone na 4 czerwca 1989 r. zapewnią taki układ w parlamencie, że opozycja dalej będzie opozycją, ale już legalną, wygodnie usadowioną, mającą możliwości i czas na ewentualne przejęcie władzy.

Solidarność zignorowała kontrakt zawarty przy Okrągłym Stole.

w tym, że te granice były płynne, inne każdego dnia.

Andrzej Gdula, współpracownik Jaruzelskiego, opisuje tamte dylematy: „Generał wiedział, że będzie musiał wziąć to na siebie. Że będzie w naszym środowisku oskarżany, że wszystko źle przeprowadził. Ale – jak mówił – najważniejsze, żeby się Kreml w to nie wdał i żeby Gorbaczow dotrzymał słowa”.

Elementem tego marszu w nieznane były uzgodnione podczas obrad Okrągłego Stołu wybory. Nie były one

Wyszło inaczej i, co ciekawe, ani władza, ani Solidarność w czasie Okrągłego Stołu nie potrafiły ocenić, jak potoczą się wydarzenia.

Mówili o tym w książce „Polska Ludowa” Karol Modzelewski i Andrzej Werblan. „Karol Modzelewski: (Opozycja) najpierw w ogóle nie uważała, że dostaje, tylko uważała, że ją wciągają, i się opierała. Trudno, mówiono, skoro dają nam legalizację naszego związku, to musimy zapłacić tę cenę, że zgodzimy się kandydować w wyborach. A gdy się okazało, że w wyborach nastąpiła klęska władzy...”

(...) Pojawił się lęk. Żeby to tylko u nich! Także u nas! Bo strona solidarnościowa zdała sobie sprawę z własnego zwycięstwa. Zdała sobie sprawę, że to jest kapitał polityczny. I on może zostać utracony wskutek tego, że przepadła lista krajowa, że powstał impas konstytucyjny, bo nieobsadzona jest część mandatów. I można, teoretycznie rzecz biorąc, unieważnić wybory. (...) I w tej sytuacji Wałęsa i Geremek zdecydowali się podzyrować zmianę ordynacji wyborczej w toku wyborów! Żeby w drugiej

czasowymi rządami czy za opozycją? Okrągły Stół, jego ustalenia, a potem kampania wyborcza – to wszystko zbudowało w społeczeństwie obraz dwubiegunowy. Była komuna i była Solidarność, a poza tym nic. Ten stan pokazuje wyniki wyborów, w których polegli kandydaci niezależni, nieraz o bardzo znanych nazwiskach. Choćby Andrzej Gwiazda czy mecenas Władysław Siła-Nowicki.

Ten proces przekonywania ludzi, że oto naprzeciw „komuny” stoi realna siła, trwał wiele miesięcy.

My kontra oni. „Gazeta Wyborcza” drukowała instrukcję, jak skreślać listę krajową, publikowano listy „solidarnościowych” kandydatów startujących z miejsc koalicji rządowej, przed lokalami wyborczymi ochotnicy Solidarności instruowali, jak głosować.

Patrząc okiem historyka – w tej kampanii role się odwróciły. To Solidarność oszukiwała „komunę”. To Solidarność rozpoczęła grzebanie w życiorysach, dzielenie ludzi na naszych i nie naszych, wreszcie podział Polski na dwa bloki.

Wynik Solidarności, 99 mandatów w Senacie, upadek listy krajowej – to wszystko dawało

„Gazeta Wyborcza” drukowała instrukcję, jak skreślać listę krajową.

turze wystawić do wyboru po dwóch nowych kandydatów na jedno nieobsadzone miejsce.

Andrzej Werblan: W 10. tomie Dzienników Rakowskiego jest tekst mojego listu do niego, pisanego w połowie marca, długo jeszcze przed wyborami. Otóż jak przeczytałem w gazecie, że jest zamiar powołania Senatu wedle tej dziwnej większościowej ordynacji, oceniłem to mniej więcej tak: Bóg chce was pokarać i odebrać wam rozum. Przy tej ordynacji wyborczej nie dostaniecie ani jednego mandatu. Jeśli już chcecie wolnych wyborów do Senatu, zróbcie je według przedwojennej ordynacji. Czyli proporcjonalne. Dostaniecie 30% mandatów. Senat będzie odwrotnością Sejmu. Będzie to jakaś równowaga. I co zrobił z tym Mietek? Ten list posłał Barcikowskiemu i Jaruzelskiemu. Jaruzelski odczytał to na Biurze Politycznym i zaczęła się dyskusja. Nade mną. Że Werblan jest dawno odsunięty od władzy, że jest rozgoryczony. Dlatego czarno widzi. Ale to dobry towarzysz, warto z nim porozmawiać. Dlatego Zygmunt Czarzasty, sekretarz KC, podjął się nawrócić mnie na optymizm. Rzeczywiście, zaprosił mnie na kawę. Na tej dłoni mam, towarzyszu Werblan – mówił mi – 60% mandatów do Senatu! Tylko się obawiam, żeby Solidarność za wielkiej klęski nie poniosła, bo to też nie byłoby dobre w tej sytuacji.

Ja tego wysłuchałem i pomyślałem: nie ma rady, przepadłem ja i pchły moje, jak mawiał Zagłoba”.

4 czerwca stało się to, co Andrzej Werblan przewidywał jeszcze w marcu. Nie było wyborów – był plebiscyt. Z prostym pytaniem: jesteś za dotych-



29 maja 1989 r. Tadeusz Mazowiecki ze szczotkami pierwszego po wznowieniu numeru „Tygodnika Solidarność”, którego był redaktorem naczelnym. Trzy miesiące później został premierem.

To były szeroko relacjonowane obrady Okrągłego Stołu. Oznaczały one natychmiastowe wyjście Solidarności z podziemia na powierzchnię – bo przecież nie można wsadzać do więzienia tych, z którymi negocjuje się w obecności kamer. To była kampania wyborcza przed czerwcowymi wyborami. Jeszcze przy Okrągłym Stole mogło się wydawać, że będzie ona formalnością. Wszak wybory miały być „niekonfrontacyjne”, a podział wpływów w przyszłym parlamencie już wcześniej ustalony. Nic z tego! Solidarność ten kontrakt zignorowała, przekazując społeczeństwu prosty komunikat – że wybory to plebiscyt.

jej potężny mandat. Lud chciał nowego. Ale czy lud mógł to dostać?

Siła Solidarności i wola ludu miały swoją wagę. Ale nie były jedynymi elementami, które musiał uwzględniać Wojciech Jaruzelski. Były także inne siły. Była Moskwa, która milczała i obserwowała. I był Zachód, również bardzo powściągliwy. Wiadomo – Polska stanowiła element większej gry.

„Upieram się przy tym, że to dwa hegemoniczne mocarstwa odegrały w tej przemianie decydującą rolę, im też zależało na uniknięciu awantury, więc skutecznie to przeprowadziły – mówił prof. Werblan w „Polsce

► Ludowej”. – Wszędzie, nie tylko w Polsce. A w Polsce, gdy groziła awantura z powodu wyników pierwszej tury, skutecznie to uspokoił. Gorbaczow miał dziewięć spotkań z przywódcami amerykańskimi. Ich rezultatem był szereg pisanych porozumień dotyczących rozbrojenia. Natomiast musiały temu towarzyszyć niepisane porozumienia dotyczące wycofania się z Jałty. To oczywiste. Był to rodzaj nieformalnego traktatu pokojowego po przegranej przez ZSRR zimnej wojnie. Wydaje mi się, że zakładano, że w strefie Jałty powstanie coś pośredniego i w drodze pokojowej. Wiele za tym przemawia. W dwóch tylko krajach przemiany miały swój

była przeciw, gdy Wojciech Jaruzelski kandydował na prezydenta RP.

Dodajmy, że jej liderzy, Lech Wałęsa, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, byli przez przywódców Zachodu namawiani do umiaru i współpracy z rządem. Jednym z wielu dokumentów o tym mówiących są materiały z rozmów Margaret Thatcher i Michaiła Gorbaczowa w Londynie, dzień po podpisaniu porozumień Okrągłego Stołu. Dokumenty z tych rozmów zostały opublikowane parę lat temu przez George Washington University. Thatcher mówiła: „Najbardziej interesujące rzeczy dzieją się w Polsce. Spotkałam się z Wojciechem Jaruzelskim. Jest znaczącym i uczciwym

nością, albo on i jego współpracownicy podają się do dymisji. Oszem, byli działacze, którzy wołali, że to zdrada i kapitulacja, i koniec ustroju. Stanowili jednak garstkę.

Resorty siłowe? Generałowie Florian Siwicki i Czesław Kiszcak trzymali podległe im służby w twardym uścisku. Z drugiej strony wiadomo było, że na powtórkę stanu wojennego ani wojsko, ani milicja już nie dadzą się namówić. Że tego już nie da się powtórzyć.

„200 tys. ludzi oddało władzę bez mrugnienia okiem – opowiada Andrzej Ankiewicz o Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w tamtych miesiącach. – Nie przypominam sobie, a pracowałem w Gabinetie Ministra, jakichkolwiek rozmów podważających to, co się dzieje. Wszyscy uważali, że to się jakoś utrząśnie... Że, oczywiście, podzielimy się władzą, przyjdą nowi, będą się uczyć”.

W zasadzie jedyną siłą zdolną przeciwstawić się polityce dogadania się z Solidarnością było Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Zresztą ówczesny szef OPZZ Alfred Miodowicz przez kilka godzin blokował podpisanie umów Okrągłego Stołu. Był nawet moment, że gen. Jaruzelski chciał przełożyć podpisanie umowy, skoro w jego obozie są wątpliwości. Ale sprawa została rozwiązana.

Drugi moment, kiedy można było się spodziewać zawahania u generała, miał miejsce po ogłoszeniu wyników pierwszej tury wyborów, gdy okazało się, że padła lista krajowa. Pojawiały się wtedy głosy, że to znakomity pretekst, by wybory unieważnić. By je odsunąć w czasie.

Ale i Wojciech Jaruzelski, i jego współpracownicy natychmiast wszelkie wątpliwości rozwiali. „Uznajemy wynik wyborów”, brzmiał oficjalny komunikat.

Ten obraz obozu władzy byłby niepełny, gdybyśmy nie dodali do niego jeszcze jednego elementu. Bo obóz władzy to nie tylko działacze PZPR, którzy wołali o zdradzie socjalizmu. Tych była garstka. Obóz władzy to nie tylko wojsko i MSW. To także rosnąca w siłę grupa reformatorów, która popierała Okrągły Stół i w demokracji oraz prorynkowych zmianach widziała swoją przyszłość.

PZPR po stanie wojennym długo szukała swojej tożsamości, legitymi-

Moskwa milczała i obserwowała. Zachód też był bardzo powściągliwy. Polska stanowiła element większej gry.

wewnętrzny silny napęd – w Polsce i na Węgrzech. W pozostałych – nie. Ale wszędzie tam, gdzie nie miały, Związek Radziecki użył własnych wpływów, żeby je pobudzić. W NRD po prostu zorganizował antyhonckerowski pucz. A przedtem zdestabilizował, w porozumieniu z Węgrami, sytuację wewnętrzną w NRD, umożliwiając emigrację przez Węgry”.

Był więc nacisk zewnętrzny, żeby zmianę przeprowadzić płynnie, bez zaburzeń. By nie drażnić twardogłowych, nie tylko tych w Moskwie.

A w kraju? Tu także sytuacja, mimo że kolejne dni przynosiły zaskakujące wydarzenia, nie wymykała się z rąk. Solidarność? Rzuciła linę ratunkową władzy po klęsce listy krajowej. Nie

politykiem, który robi wszystko dla swojego kraju w tym bardzo trudnym momencie rozwoju. Spotkałam się z przywódcami Solidarności i wielokrotnie radziłam im, aby dążyli do dialogu z rządem i nie ograniczali się do konfrontacji”.

A pozostała część opozycji? Ta kontestująca Okrągły Stół? Była na marginesie. Jej fasadowość pokazały wyniki czerwcowych wyborów.

A co z sytuacją wewnątrz obozu władzy? Można powiedzieć, że Jaruzelski miał to opanowane. Wszelkie możliwe bunty w partii spacyfikował podczas styczniowego plenum KC, przed Okrągłym Stołem. Wtedy to postawił sprawę jasno – albo partia daje mu zgodę na rozmowy z Solidar-

Z ogromnym żalem żegnamy

JANA GUZA

Wybitnego związkowca. Człowieka bez reszty oddanego sprawom pracowniczym.

Wieloletniego przewodniczącego OPZZ.

Człowieka dialogu.

Łączyła nas wspólnota poglądów i troska o ludzi pracy.

**Rodzinnie, Bliskim i środowiskom związkowym
składamy wyrazy głębokiego współczucia**

Elżbieta Zakrzewska

przewodnicząca Rady Krajowej Unii Pracy

Waldemar Witkowski

przewodniczący Unii Pracy



Przewodniczący Rady Państwa i I sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski głosował razem z żoną Barbarą.

zacji. Ogłaszano rozmaite linie porozumienia i walki, powrót do leninowskich zasad itd. I niczego to nie zmieniało. Te doświadczenia, że tak dalej być nie może, plus pierestrojka Gorbaczowa, rezygnacja z doktryny Breżniewa, otworzyły pod koniec lat 80. drzwi reformatorom, którzy zaczęli zdobywać w obozie władzy coraz ważniejsze pozycje. Symbolem tego były zmiany w rządzie. Premierem został Mieczysław Rakowski, a kluczową rolę w jego ekipie odegrał Aleksander Kwaśniewski.

Gdy więc doszło do Okrągłego Stołu, to właśnie partyjni reformatorzy narzucili ton, to oboz władzy part do zmian, i politycznych, i gospodarczych, a Solidarność zachowywała się podejrzliwie i nieufnie.

Jeżeli więc Wojciech Jaruzelski decydował się iść w nieznaną, rozmawiać z opozycją, akceptować rynkowe reformy rządu Rakowskiego, uznać

Solidarność i przeprowadzić czerwcowe wybory, to także dlatego, że miał w tych działaniach poparcie znaczących sił w aparacie władzy. Młodego

Margaret Thatcher: Wojciech Jaruzelski jest znaczącym i uczciwym politykiem, który robi wszystko dla swojego kraju w tym bardzo trudnym momencie rozwoju.

pokolenia, które edukację polityczną przeszło w organizacjach młodzieżowych, otwartego na Zachód, chcącego zmian. Ci ludzie nie bali się wolnych wyborów, a prorynkowe reformy przyjmowali jako coś oczywistego.

To był zresztą wielki paradoks tamtego czasu. Bo tak naprawdę jedyną grupą przygotowaną do zmian, wystarczająco wykształconą, znającą języki, byli reformatorzy z PZPR. Ale oni rządzić nie mogli, bo lud – co pokazały

czerwcowe wybory – chciał Solidarności. Z kolei sama Solidarność, pisali o tym w „Gazecie Wyborczej” i Karol Modzelewski, i Tadeusz Mazowiecki, nie miała kadr, by rządzić.

Mieliśmy więc w latach przełomu paradoksalną sytuację. To Solidarność firmowała zmiany, jej liderzy je dekretowali, ale w ich otoczeniu istotne role odgrywali ludzie PZPR, z tego ostatniego zaciągu. I to oni, jeżeli popatrzymy na główne reformy III RP, je realizowali. Tak było z reformami Balcerowicza, tak było z nawiązaniem współpracy ze Stanami Zjednoczonymi (polski wywiad szybciej dogadał się z CIA niż szefowie MSW), tak było z wejściem Polski do struktur zachodnich, od OECD, poprzez NATO, po Unię Europejską.

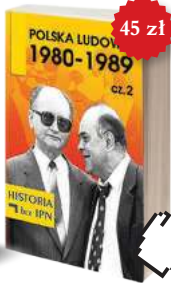
Wybory 4 czerwca 1989 r. były więc tylko z pozoru półdemokratyczne. Nadzieja, że będą prostym przyklepaniem umowy Okrągłego Stołu, podziału wpływów, okazała się utudą. Od roku 1989 to lud decyduje, w którą stronę ma zmierzać Polska. Ale czy decyduje tak do końca?

Wtedy, w roku 1989, kartka wyborcza zepchnęła PZPR do defensywy, zmieniła sytuację w kraju. Wymusiła powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego. To na pewno podobało się zwycięskiej większości. Ale czy tym samym wyborcom podobało się to, co nastąpiło później: reformy Leszka Balcerowicza, zamykanie zakładów przemysłowych, likwidacja PGR-ów, prywatyzacja? A to też był efekt 4 czerwca.

Robert Walenciak



44 zł



45 zł

4 TOMY W PAKIECIE TANIEJ
„Polski Ludowej” 145 zł



43 zł



42 zł

Zamów już dziś na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

lub skontaktuj się z nami: tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Polska cnota – każdemu otworzyć wrota

W Azji na polskie wizy czeka rzesza ludzi, na których z kolei czeka wielu pracodawców w Polsce

Anna Brzeska

Wieczór, lubelska starówka. Amit, Hindus mieszkający w Polsce od przeszło 20 lat, obecnie prowadzący restaurację w Lublinie, idzie ulicą z przyjacielem, również Hindusem. „Ciapaty, wracaj do swojego kraju!”, słyszy od pijanej dziewczyny w mijającym ich samochodzie.

Do podobnej sytuacji dochodzi innego dnia. Tym razem takie słowa padają z ust dwóch nietrzeźwych mężczyzn. Amit nie daje się sprowokować. Uważa, że nasilenie podobnych ataków w ostatnich latach ma związek z atmosferą w polskiej polityce. Przypomina mocne, antyimigranckie wypowiedzi Dominika Tarczyńskiego. Choćby tę z czerwca 2018 r. dla brytyjskiej telewizji Channel 4, w której poseł PiS zasugerował niemieckiej posłance, by wszystkich uchodźców „wzięli sobie do Niemiec”, i oświadczył, że „nie obchodzi go” to, że jesteśmy uważani przez świat za rasistów.

Kilka miesięcy później wiceminister inwestycji i rozwoju Paweł Choraży zostaje zdymisjonowany przez premiera Morawieckiego za stwierdzenie, że Polska potrzebuje większej liczby imigrantów, by osiągnąć dobrobyt. „Zagalopował się”, wyjaśnił wtedy swoją decyzję Mateusz Morawiecki, mimo że Choraży powiedział coś, czego nikt już nie może kwestionować i co się dzieje na naszych oczach bez względu na narrację rządu.

Liczba imigrantów zarobkowych w Polsce stale rośnie. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie potrzebowali ich polscy przedsiębiorcy. Według rządowych raportów w 2018 r. wydano 328,8 tys. zezwoleń na pracę. Ponad 70% otrzymali obywatele Ukrainy. Dla porównania w 2017 r. zezwoleń wydano 235,6 tys. Jednocześnie otwarcie na początku 2019 r. niemieckiego rynku pracy dla naszych wschodnich

sąsiadów budzi słuszne obawy polskich pracodawców, czy „nasi” Ukraińcy nie zaczną masowo wyjeżdżać za zachodnią granicę. Stąd coraz większe zainteresowanie pracownikami z innych krajów, m.in. z Białorusi. Ale nie tylko. Już drugie miejsce pod względem liczby zezwoleń na pracę zajmują Nepalczycy. Czy to znaczy, że staną się, po Ukraińcach, Wietnamczykach czy Hindusach, kolejną najpopularniejszą nacją w Polsce? Nie jest to takie proste. Nepalski „najazd” to wciąż mit.

Hindusi z Uber Eats

To pierwsze skojarzenie mieszkańców dużych miast, gdy mowa o Hindusach w Polsce. Logo popularnego dostawcy jedzenia stało się już symbolem imigracji z Indii. Przedstawiciele firmy nie bardzo chcą jednak rozmawiać o tym, dlaczego właśnie Hindusów tak chętnie przyjmują do pracy. Tłumaczą, że tak naprawdę nie są to nawet ich pracownicy, a jedynie zakontraktowani współpracownicy, mający własną działalność gospo-

Marcin, partner Uber Eats: – Przede wszystkim dlatego, że pracodawcy nie muszą za nich płacić ubezpieczenia, bo zwykle są studentami. Poza tym są sporo tańsi od Polaków.

Dlaczego Hindusi przyjeżdżają właśnie do Polski? Amit wyjaśnia: – To nie jest tak, że oni wybrali ten kraj i przyjechali. To polscy pośrednicy ich zaprosili. Niektórzy pracownicy zapłacili za to 4-5 tys. euro. Do tego procesu potrzeba dwóch stron. Chodzi przecież nie tylko o to, by obcokrajowcy chcieli przyjechać do Polski, ale też by przedsiębiorcy potrzebowali pracowników. Tańszych niż Polacy czy Ukraińcy.

Według Marcina ta „cena” przekłada się czasem na jakość ich pracy, choć oczywiście nie musi to być regułą. – Kilku pracuje dla mnie od czasu do czasu. Niektórzy są rzetelni, ale są i tacy, którzy do czegoś się zobowiązują, a potem znikają – stwierdza. – Generalnie to nie są konfliktowi ludzie, ale świadczą usługi na dość niskim poziomie. Na przykład potrafią włożyć pizzę ukośnie do torby i twierdzić, że ją dowiozą w całości.

Polscy i azjatyccy naciągacze żerują na imigrantach, biorąc po kilka tysięcy euro za pomoc w zdobyciu wizy.

darczą, lub są zatrudnieni przez tzw. partnerów. Dlatego Uber Eats nie prowadzi statystyk dotyczących hinduskich rozwoźcicieli i nie chce się wypowiadać jako ich pracodawca.

Sami Hindusi również nie chcą mówić o swojej pracy. Dostali się do Polski z niemałym trudem i potencjalnie problemy z władzą lub pracodawcami to ostatnia rzecz, na której im teraz zależy. O to, dlaczego właśnie Hindusów tak często widzimy śmigających na rowerach lub skuterach z charakterystycznymi pudłami z jedzeniem na wnos, pytam więc ludzi z branży.

Dobrej opinii Hindusom nie przysparzają też krążące w branży legendy na temat wielu fałszywych kont, zakładanych przez nich ponoć na portalach skupiających dostawców. Używają kilku telefonów, by zgarnąć dla siebie jak najwięcej zamówień.

Jakość usług rozwoźcicieli pracujących dla Uber Eats (i innych partnerów) oraz ich sposoby konkurowania ze sobą to jednak sprawa regulowana przez rynek. Co więcej, jedzenie oferowane przez hinduskie restauracje nie ma sobie równych, czego dowodzi sukces indyjskiej kuchni na polskim rynku. Obiad, którym częstu-



Zagraniczni pracownicy firmy Uber Eats to codzienny widok na ulicach Warszawy.

je mnie Amit, i jego wyjaśnienie ścisłych zasad przechowywania różnych produktów w odrębnych lodówkach, utwierdzają mnie w przekonaniu, że powinniśmy być szczęśliwi, że do nas przyjechali.

Wizowe bariery nie do pokonania

Tak zwany problem z imigrantami leży zupełnie gdzie indziej. Magdalena Derlacz-Popławska, właścicielka agencji pośrednictwa pracy Ontos: – Bardzo dużym utrudnieniem jest niesprawny internetowy system kolejkowy e-konsulat. Powstał w 2011 r. i miał ułatwić umawianie się na spotkania. Tyle że ten system nie działa. Osobna rejestracja dla imigrantów z Białorusi i Indii niewiele pomogła. Nawet jeśli aplikujący na stronie internetowej dojdzie do końca rozmaitych zagadek sprawdzających, czy nie jest robotem, i tak się okazuje, że nie ma wolnych terminów spotkań wizowych.

To nie wszystko. – Współczynnik odmów wizowych w konsulacie w Nowym Delhi (który obsługuje nie

tylko znaczną część Indii, ale też m.in. Nepal, Sri Lankę, Bhutan, Bangladesz czy Malediwy – przyp. red.) jest bardzo wysoki – mówi dalej właścicielka Ontosa. – Dodam, że konsulat wydaje wizę na podstawie zezwolenia na pracę, które pracodawca wcześniej uzyskuje w Polsce we właściwym urzędzie wojewódzkim. O pobyt czasowy z kolei pracownik może się ubiegać dopiero po przyjeździe do Polski, przed upływem terminu ważności wizy wydawanej zwykle na rok – wyjaśnia. – Wiem, że o pracowników z Azji starają się przedsiębiorcy nie tylko z Polski, ale także z Czech, Rumunii, Cypru. Konsulaty tych krajów mają bardzo niski lub zerowy poziom odmów wizowych, jeśli tylko dokumentacja przedstawiona przez osobę starającą się o wizę jest rzetelna i kompletna.

W założeniu ten trzystopniowy proces jest logiczny. Najpierw wola pracodawcy, by daną osobę zatrudnić, i idące za tym zezwolenie na pracę, potem wizy dla tych, którzy je otrzymali, a następnie prawo pobytu dla osób, które już legalnie pracują

i radzą sobie w Polsce. W praktyce okazuje się, że procedura imigracyjna stała się dla wielu murem nie do pokonania.

Jak twierdzi Magdalena Derlacz-Popławska, wizy otrzymuje jedynie niewielki procent aplikujących. Tak samo uważa Raj, Nepalczyk mieszkający w Polsce od kilkunastu lat i obserwujący imigracyjne losy rodaków. Ocenia, że wizę otrzymuje jedynie ok. 10% starających się o nią osób. Podobne trudności spotykają też Hindusów.

Oficjalne dane mówią jednak coś innego. Jak informuje mnie MSZ, w 2018 r. o wydanie wizy krajowej wnioskowało 6221 osób, a otrzymało je 3006 osób, czyli niemal połowa. Skąd ta rozbieżność między szacunkami a danymi ministerstwa?

Spójrzmy na inne dane. Według GUS w 2018 r. 6,1% zezwoleń na pracę wydano Nepalczykom. Biorąc pod uwagę ogólną liczbę, daje to ok. 20 tys. zezwoleń. Wniosków o wizę było zaś tylko ok. 6 tys. Gdzie się podziało 14 tys. wniosków wizowych? Czyżby Nepalczycy po otrzymaniu zezwolenia na pracę rezygnowali z aplikowania o wizę? Mało prawdopodobne, by tych, którzy porzucili marzenia o emigracji, było aż tak wielu, skoro – o czym niżej – często muszą oni płacić niemałe pieniądze za pośrednictwo w znalezieniu pracodawcy.

Według właścicielki Ontosa różnica ta wynika właśnie z zapchanego systemu e-konsulat. Większości osób nie udaje się skutecznie „wnioskować”, więc ich aplikacje nie są uwzględniane w statystykach. Polscy pracodawcy czekają zatem na 20 tys. osób z Nepalu, z czego tylko 3 tys. otrzymuje wizę. To już tylko ok. 15% chętnych, niewiele więcej niż sądzi Raj.

Jak wygląda sytuacja z Hindusami czy Banglijczykami? Otrzymali po 2,5% wszystkich zezwoleń, co daje każdej z tych nacji ok. 8,2 tys. Wydanych wiz krajowych dla Banglijczyków było w 2018 r. jedynie 803, czyli dla niecałych 10% chętnych. Hindusi otrzymali zaś ok. 1,5 tys. wiz.

Papierowe uczelnie i studenci w średnim wieku

Na wizy czeka zatem w Azji rzesza ludzi, na których z kolei czeka wielu pracodawców w Polsce. Jeśli nie ►

- pomaga im państwo, muszą szukać pomocy gdzie indziej. Często poza prawem.

Amit: – Wiele osób z Indii przyjechało tu jako studenci. Słyszałem to od innych, nie mogę więc powiedzieć, na ile jest to prawdą. Ponieważ studenci dostają wizę znacznie łatwiej, polscy pośrednicy wysyłają do Indii swoich agentów, reprezentujących rzekomo polskie uczelnie. Wielu ludzi, którzy przyjeżdżają do Polski, to zatem studenci tylko na papierze. Podobnie zresztą wygląda sytuacja z uczelniami. Wiele z tych, które rekrutują „studentów” z Indii, jest uczelniami również tylko z nazwy, choć nie umiem powiedzieć, jaka to część.

Amit twierdzi, że udziałowcem jednej z takich „uczelni” była podobno żona jednego z byłych ambasadorów Polski w Indiach. Restaurator broni jednak rodaków, tłumacząc, że oni po prostu chcą pracować. Skoro uczelnie i najwyraźniej urzędy przysmykają oko na ten proceder, a oni potrzebują wiz, wykorzystują tę możliwość. – Proszę zrozumieć, że ludzie zawsze będą przyjeżdżać tam, gdzie można zarobić więcej pieniędzy niż w ojczyźnie.

Są w Polsce urzędy, które wydają zezwolenia na pracę nawet po siedmiu miesiącach.

Fałszywi studenci to jednak nie największy problem. O wiele gorsze w skutkach jest to, że polscy i azjatyccy naciągacze żerują na imigrantach, oferując płatną (i kosztowną) pomoc w zdobyciu wizy. Amit twierdzi, że pośrednicy biorą od pracowników po kilka tysięcy euro opłaty.

Pośrednicy są jednak różni. Agencje pośrednictwa pracy, działające na terenie Polski, nie mogą pobierać opłat od werbowanych pracowników. Magdalena Derlacz-Popławska zaznacza, że koszty legalnego pośrednictwa ponoszą jedynie pracodawcy, podobnie jak w przypadku agencji pracy tymczasowej rekrutujących i zatrudniających Polaków w Polsce. Jednak to, co się dzieje w Indiach czy Nepalu lub w polskiej szarej strefie, pozostaje poza cząłkowalną kontrolą.

Raj: – Ja na szczęście nie stałem się ofiarą naciągaczy. Jednak gdy przyjechałem tu ponad 10 lat temu z wizą studencką, pewien nepalski agent robił wszystko, by wyciągnąć ode mnie pieniądze. Chciałem w Pol-

sce pracować, ale nie znałem języka i nie umiałem się odnaleźć. Zaproponował mi pomoc, a potem zażądał ode mnie pieniędzy. O ile dobrze go zrozumiałem, chciał 1000 zł za pomoc w znalezieniu pracy. Zostałem jednak ostrzeżony przez dwóch przyjaciół, którzy wcześniej padli ofiarą wyłudzenia, i trzymałem się od niego z daleka. Od nich agent wziął pieniądze, a potem zniknął. Ich pobyt w Polsce stał się nielegalny i musieli wracać. Ja zaś ostatecznie poradziłem sobie dzięki finansowej pomocy mojej rodziny w Nepalu.

Rajowi udało się skończyć studia, ma dobrą pracę w Warszawie. Mimo przygody, jaka spotkała jego znajomych, podkreśla, że w tamtym czasie łatwiej było przyjechać.

Obecnie przeszkodą są jeszcze większe pieniądze pobierane przez nepalskich agentów, prawdopodobnie nielegalnych. Według jego źródeł są to kwoty rzędu 500-800 euro.

Przyszli imigranci, o ile nie mieszkają w Nowym Delhi czy Mumbaju (tam mieści się druga placówka dyplomatyczna obsługująca imigrantów indyjskich – przyp. red.), ponoszą też

koszty podróży do konsulatu. – Z Nepalu jadą tam około trzech dni – opowiada Magdalena Derlacz-Popławska. – Z kolei obywatele Sri Lanki muszą wcześniej otrzymać wizę do Indii. Dlatego z reguły czekają na wizę w Nowym Delhi, często nawet dwa tygodnie. I oczywiście mogą otrzymać odmowę. Od tej decyzji można się odwołać, ale znów muszą czekać na miejscu.

Miesiące czekania na pozwolenie

Magdalena Derlacz-Popławska: – Dużym problemem – tym razem dla pracodawców – jest też brak możliwości uzyskania zezwolenia na pracę w terminie administracyjnym (30 dni), przynajmniej w niektórych województwach. Są urzędy, które wydają zezwolenia na pracę nawet po siedmiu miesiącach. Poza tym pracodawca, który chce zatrudnić cudzoziemca z państw takich jak Nepal czy Indie, musi najpierw uzyskać tzw.

informację starosty, potwierdzającą, że lokalny urząd pracy nie ma zarejestrowanych bezrobotnych chętnych do podjęcia pracy w danej firmie. Dopiero taki dokument pozwala pracodawcy ubiegać się o zezwolenie na pracę dla cudzoziemca.

Właścicielka agencji Ontos wyjaśnia, że wielomiesięczne oczekiwanie na zezwolenia na pracę nie pozwala pracodawcom na planowanie produkcji czy polityki kadrowej. – Mamy klienta, który złożył wnioski o zezwolenia na pracę we wrześniu, a dostał je w kwietniu – opowiada. – Przez pół roku może się zdarzyć wiele – i w firmie, i u kandydata. Nie każdy będzie chciał tak długo czekać. A za wnioski się płaci – 100 zł za każdy. Jeśli firma chce zatrudnić 100 osób, to spory wydatek.

Potem, jak już wiemy, zezwolenia wędrują do konsulatu w Indiach, gdzie wiele osób spotyka się z odmową wizy. Wnioski o zezwolenie na pracę okazują się dla wielu pracodawców bezowocną inwestycją.

Dalszy ciąg absurdów

To wciąż nie koniec. Magdalena Derlacz-Popławska ujawnia więcej smutnych szczegółów: – Urząd wojewódzki, zanim wyda zezwolenie na pracę, dokonuje weryfikacji pracodawcy. To nie może być nowa firma ani taka, która nie zatrudniała dotychczas pracowników. Nie może mieć zaległości w ZUS czy w urzędzie skarbowym. I słusznie. Tyle że cała ta weryfikacja dla konsula niewiele znaczy. Dlatego pracodawcy do wniosków dołączają plik dokumentów – częściowo wymaganych przez konsulat, a częściowo wyprzedzających jego możliwe żądania. Na przykład – kolejne potwierdzenia, że pracodawca naprawdę chce tego pracownika zatrudnić. Ale przecież jeśli pracodawca dla kogoś uzyskuje zezwolenie na pracę, to potwierdza, że chce go u siebie. Mimo to ambasada odpisuje niektórem, że „pracodawca nie jest stroną w postępowaniu wizowym”. Wiem, że niektórzy nasi pracodawcy taką informację dostali. Albo taką, że „dokumenty dostane e-mailem nie będą brane pod uwagę”. A potem konsul wydaje aplikującemu odmowę wizy i uzasadnienie. Co piszą najczęściej? Punkt dziewiąty: „Nie uzasadnił pan celu ani warunków pobytu”.



Volontariusze grupy Smile Warsaw, składającej się głównie z cudzoziemców, co tydzień rozdają przed Pałacem Kultury i Nauki ubogim i bezdomnym żywność oraz ubrania.

Na moje pytanie dotyczące przyczyn odmowy MSZ odpowiada suchą formułą: „(...) decyzja w sprawie wydania wizy cudzoziemcowi za granicą lub odmowy jej wydania należy do wyłącznej kompetencji właściwego konsula – konsul jest jedynym uprawnionym organem do podejmowania decyzji w sprawach wiz dla cudzoziemców przebywających za granicą. Każdy złożony wniosek wizowy konsul rozpatruje indywidualnie, dokonując oceny, czy wnioskodawca spełnia łącznie wszystkie kryteria otrzymania wizy (...). Przesłanki do odmowy wydania wizy określone są w art. 65 ustawy o cudzoziemcach oraz art. 32 Kodeksu cudzoziemiego”. MSZ informuje też, że starającym się przysługuje prawo ponownego ubiegania się o wizę.

Konsul zatem może odmówić wizy – bo może. Jaki ma w tym interes? Nie wiadomo. Mimo że pierwotnie wysłałam moje pytania do konsula, po odpowiedzi odesłano mnie do biura prasowego MSZ, które z kolei powołuje się na kompetencje konsula. I koło się zamyka.

Kto traci? Polska

Amit zaznacza, że zgadza się z częścią polityki polskich władz. Podobają mu się program 500+. Rozumie nawet hasła typu „Polska dla Polaków”. – Zdaję sobie sprawę z tego, że

niektórzy Polacy wciąż widzą to tak, że obcokrajowcy zajmują im miejsca pracy.

Jednak rasizm jest dla niego nie do zaakceptowania.

Magdalena Derlacz-Popławska: – Bardzo na tym tracimy wizerunkowo. Nie wygląda to dobrze z punktu widzenia Nepalczyka, Hindusa czy Lankijczyka, który sądził, że Polska może być dla niego krajem do życia. Ma swoją lokalną agencję, która ręczy za jego wiarygodność. Dostaje zezwolenie na pracę, będące gwarancją, że jest tu dla niego praca, a pracodawca zostaje sprawdzony przez polskie władze. I niepojęte jest, że on wtedy nie jest w stanie umówić się na wizytę w ambasadzie przez to, że system e-konsulat nie działa. Rozmawiam z naszymi agencjami partnerskimi, które obsługują różne kraje – od Zjednoczonych Emiratów Arabskich przez Japonię, po kraje europejskie. Mówią, że dla nich to też absurd.

Na swojej stronie internetowej ambasada w Indiach chwali się: „Nowe drogi pozwalają nam poruszać się szybciej, wydajniej i bezpieczniej. Od momentu przystąpienia Polski do UE zbudowano lub zmodernizowano ponad 13 tys. km dróg w całym kraju (...)”. Pod spodem komentarz: „Proszę pana o spotkanie w sprawie wizy. Moje pozwolenie na pracę wkrótce wygasa. Proszę o pomoc. Linku (cho-

dzi o wejście na dalszą podstronę, aby umówić się na wizytę – przyp. red.) nie da się otworzyć od sześciu miesięcy”. Inny: „Mam wyznaczony termin spotkania na dzisiaj, ale biuro jest zamknięte. Mam przyjść w poniedziałek?”.

Komentarze dotyczą głównie wiz, nie cukierkowych wieści z Polski. Trudno je czytać bez emocji, zwłaszcza wiedząc, że piszą je często biedni ludzie, którzy za pośrednictwo w znalezieniu pracy zapłacili znaczne sumy.

Amit czuje się w obowiązku wyjaśnić mi, w jaki sposób imigranci pracują na korzyść naszego kraju: – My jako obcokrajowcy płacimy na ZUS, co umożliwia nam korzystanie z tutejszej służby zdrowia. Ale jeśli zapytać imigrantów z Azji, czy kiedykolwiek byli w polskim państwowym szpitalu, znajdzie się może jeden na dziesięciu. Wszystko dlatego, że w Indiach nie mamy sprawnie działającego systemu publicznej opieki zdrowotnej. Wszyscy leczą się prywatnie. Taką mamy mentalność. Z naszych składek korzystają zatem Polacy. Co więcej, zatrudniamy również Polaków i im też opłacamy ZUS.

Właścicielka Ontosa przyznaje, że te wszystkie bariery dla imigrantów zaczynają mieć realny wpływ na gospodarkę: – Współpracujemy z małymi, średnimi i dużymi firmami. Jeszcze rok temu każda z nich zapewniała, że ma dużo pracy i wakatów. Jednak po roku bezowocnego odbijania się pomiędzy urzędem wojewódzkim a konsulem, gdy nie udało się im ściągnąć pracowników z Azji, dziś mówią, że nie mają już tylu miejsc, ponieważ przez brak pracowników byli zmuszeni zmniejszyć liczbę zamówień.

Czy jest szansa, że proces zostanie usprawniony? Jest światełko w tunelu. MSZ informuje, że podjęło prace nad wprowadzeniem outsourcingu wizowego na terytorium Republiki Indii, właśnie ze względu na duże zapotrzebowanie na wizy i ograniczoną przepustowość istniejącej sieci placówek konsularnych. Przetarg na usługi przyjmowania wniosków wizowych został ogłoszony 1 lutego. To jednak tylko system, nie decyzje konsula. Jeśli utrzyma się tendencja do odmawiania wiz obywatelom krajów azjatyckich, trudno oczekiwać, że Nepalczycy czy Lankijczycy tłumnie przybędą do Polski.

Anna Brzeska



O ROSJI INACZEJ

„O Rosji inaczej” to najnowsza książka prof. Andrzeja Walickiego opublikowana przez Fundację Oratio Recta, wydawcę PRZEGŁĄDU. Wokół jej zawartości oraz poglądów autora toczyła się dyskusja, której przysłuchiwało się ponad 60 osób. Niestety, bez udziału prof. Walickiego, który w dniu promocji nieszczęśliwie doznał urazu kręgosłupa.

Prof. Janusz Dobieszewski, prof. Paweł Kozłowski i dr Jarosław Dobrzański omówili treść książki, szczególnie akcentując poglądy prof. Walickiego na temat współczesnej Rosji, Władimira Putina, a także naszej obecnej polityki wschodniej. W dyskusji profesorowie Andrzej Werblan, Jerzy Wiatr, Stanisław Bieleń, Andrzej de Lazari, Stanisław Obirek, Tadeusz Iwiński oraz Mirosław Karwat podkreślali wielki wkład Andrzeja Walickiego w światowy rozwój wiedzy o historii Rosji i marksizmie, w Polsce niezauważany, wręcz specjalnie przemilczany. Dyskutanci mówili o narzucanym przez polityków i większość mediów wymogu traktowania Rosji tylko jako imperium zła, które zaraz napadnie na Polskę. O braku zgody na rusofobię, na zrównywanie obecnej Rosji z ZSRR. Mamy teraz sytuację, w której ktoś, kto powie o Rosji coś obiektywnego, już nawet nie po-



zytywnego, naraża się na uznanie za agenta Kremla, rosyjską V kolumnę, a w najlepszym wypadku za pożytecznego idiotę Putina.

A przecież głupotą jest niedostrzeganie pozytywnych zjawisk, które zachodzą w Rosji. Warto też się zastanowić, czy Putin dobrze robi, zbliżając się do Cerkwi, i dlaczego szuka porozumienia z eurosceptykami. Właśnie takiego chłodnego oglądu Rosji bardzo dziś brakuje. A lukę tę znakomicie wypełnia dzieło prof. Walickiego.

Podczas spotkania wiele słów krytyki padło pod adresem polskiej polityki i polityków, od lewa do pra-

wa, którzy mając wpływ na relacje polsko-rosyjskie, postępują w sposób niezgodny z polską racją stanu. W interesie Rzeczypospolitej są bowiem co najmniej poprawne stosunki z Rosją, a nie bycie w pierwszym szeregu jej nieprzyjaciół.

Dyskusji przysłuchiwał się ambasador Rosji w Polsce Siergiej Andriejew.

Wydanie książki prof. Walickiego wsparły Fundacja im. Róży Luksemburg i Fundacja Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL.

Niebawem nagranie ze spotkania będzie można obejrzeć w internecie.

Paweł Dybicz

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Biedni i niemoralni

Jest tajemnicą poliszynela, że system świadczeń socjalnych uległ korupcji w stopniu niemającym odpowiednika w żadnej innej dziedzinie. Zasiłki i renty w olbrzymiej liczbie przypadków są wypłacane na podstawie oszukańczych danych. Pojawia się coraz więcej odmian zasług patriotycznych płatnych z budżetu.

Z kondycją podopiecznego państwa socjalnego związany jest przywilej nie tyle domniemanej, co dogmatycznie założonej niewinności. Wolno poddawać krytyce i metodycznemu zawstydzaniu polityków, intelektualistów, księży, a przede wszystkim biznesmenów, nigdy jednak i pod żadnym pozorem niczego nie wolno wymagać od tych, którzy z tytułu rzeczywistego lub umownego ubóstwa biorą pieniądze wypracowane przez innych. W pluralistycznym społeczeństwie wszystkie grupy interesów obserwują się nawzajem z większym lub mniejszym krytycyzmem, wytykają sobie wady i nadużycia, starają się na siebie oddziaływać. Jest to szczególnie system narodowej pedagogii. Z tego systemu wyłączeni są jedynie biocy wszelkiego rodzaju rent i zasiłków. Nie ima się ich szyderstwo, nie adresuje się do nich żadnej moralistyki. Jak to interpretować? Czy ubogi w Polsce potęgą jest i basta, czy może z racji swojego ubóstwa reprezentuje jakiś rodzaj świętości?

Na olbrzymich wydatkach z budżetu sprawa się nie kończy. Spekulujący ubóstwem podopieczni państwa socjalnego, nie czując na sobie krytycznego spojrzenia ani podatników, ani moralistów, zaczynają wierzyć, że to oni stanowią sól tej ziemi. Ich kondycja staje się dla innych, tych ciężko pracujących i słabo opłacanych, przedmiotem zazdrości, a kto wzbudza zazdrość, ten ustanawia wzór do naśladowania.

Ich symbioza z politykami jest prawie doskonała i trzeba się obawiać, że będzie ciążyła na przyszłości gospodarki i całego społeczeństwa. Ten wpływ z pewnością

nie ustanie przed nieznanym na razie terminem upadku państwa socjalnego.

W systemie zepsutej demokracji politycy nie wahają się wmawiać ludziom socjalnych uprawnień, mimo że niekiedy przynosi to im trochę kłopotów. Korzyści jednakże są większe, ponieważ jako rzecznicy tych uprawnień politycy zapewniają sobie głosy wyborców niezbędne im do wspinania się na wysokie stanowiska. A więc ratunek przed nadciągającą powolą, ale nieubłagane katastrofą nie przyjdzie od polityków.

Irving Kristol, znakomity amerykański pisarz polityczny, napisał kiedyś, że myśl, aby ubogim pomagać, nie stawiając im żadnych wymagań moralnych, jest zasadniczo bezbożna. Ilustrował swój pogląd Legendą o Wielkim Inkwizytorze z „Braci Karamazow”, gdzie obietnica, że ubodzy tego świata będą nakarmieni bez pytania ich o jakiejkolwiek zasługi, jest dana przez Antychrysta. Państwo socjalne wydaje się pod pewnym względem nadspodziewanie udaną realizacją dobroczynnych zamysłów Wielkiego Inkwizytora. W sposób wyrafinowany przewrotny kpi sobie z ludzi, rozdając za darmo to, co na mocy praw tego i tamtego świata może być zdobyte jedynie w pocie czoła. Myśl Kristola jest na tyle mocna, że nic nie traci, jeśli oczyścić ją z literackiej paraboli. Jest to myśl zdroworozsądkowa. Ludzie bez zasług dla jakiegokolwiek społeczeństwa, nieznający poczucia obowiązku, niehonorowi, niestowni, a przy tym hałaśliwi – jakie mają prawo do dóbr wypracowanych przez innych? Tę sprawę trzeba szczególnie rozpracować i wyjaśnić. Niektórzy podejrzewają gigantyczną aferę socjalną.

Pisałem o tym obszerniej w książce „Szkice antyspołeczne”.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

Zadbaj, by Twoje dzieci również miały stały dostęp do rzetelnej wiedzy

W prezencie otrzymają też e-book „Zakłamana historia powstania”

GRATIS w formatach



Wykup e-prenumeratę **PRZEGLĄDU**



Sprawdź na www.sklep.tygodnikprzeklad.pl



Helena Leman

19 maja. Paweł Skorupa z Ciecierzyc nad Wartą długo nie otwiera mi furtki. Jakby w ten sposób chciał mnie zniechęcić, odegrać, a samemu uciec od tego szumu, którego bohaterem stał się wbrew woli. To do niego należy stado 180 krów, o których ocalenie walczyło wiele osób. Przemierzamy w milczeniu podwórkę, po którym biega gromadka kur. Wchodzimy do małej kuchenki przyklejonej do starego, niemieckiego budynku gospodarczego z cegły.

– Jestem zdesperowany. Najbardziej mnie boli to, że zrobiono ze mnie przestępcę, który znęca się nad zwierzyną, a przecież to ja sam zawiądomłem gorzowskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami – wybucham. – Dla mnie przyroda to całe życie, moja druga rodzina. Krowami, choć były na wolności, opiekowaliśmy się z bratem, jak umieliśmy, do dziś się opiekujemy. One za mną jak psy chodzą. Wystarczy, że zawołam: Łasuska, Briaczka, Rudka, Munia, Lizuńka, a już do mnie lecą. Gdyby nie zabrano nam łąk, które moja rodzina użytkowała od lat, inaczej by było. Jak zaczęliśmy na nich wypasać, to były tereny zalewowe, bez większej wartości. Ale gdy nastąpiła Unia i wprowadzono dopłaty i środki z programu Natura 2000, wszystko się pozmieniało. Nowi, co tutaj przyszli, zagrodzili łąki, przeganiając nasze bydło terenówkami. Co krowa wyjdzie, na policję dzwonią i zaraz mandat – 200, 300, 500 zł. Nie żeby który przyszedł, zapytał, w czym rzecz. Sąsiedzi także się odsunęli.

Niespokojnie krąży między westfalką a białym kredensem pamiętającym jeszcze niemieckie czasy. Wyjmuje z szuflady pisma, decyzje, wyroki, mandaty. Z sieni przynosi dwa worki kolczyków dla bydła, zakupionych w 2017 r. Żeby kolczyk krowie założyć, trzeba ją zagnać do kojca, tam też może zostać przebadana. Paweł Skorupa mówi, że w sprawie tego kojca monitował wiele razy w gminie Deszczno, ale zbywano go i zwodzono. Dwa lata temu chcieli z bratem postawić kojec sami, bezskutecznie prosili gminę o pomoc w zakupie drzewa. Nikt nie chciał również im odstąpić kawałka łąki w rezerwacie. – Chyba tych moich zwierząt nie zabiją – zastanawia się nagle głośno,



Nie wiem, czy bez zwierząt potrafię żyć

Na zabicie krów państwo znalazło 350 tys. zł.
Wcześniej rolnikowi nikt nie chciał pomóc

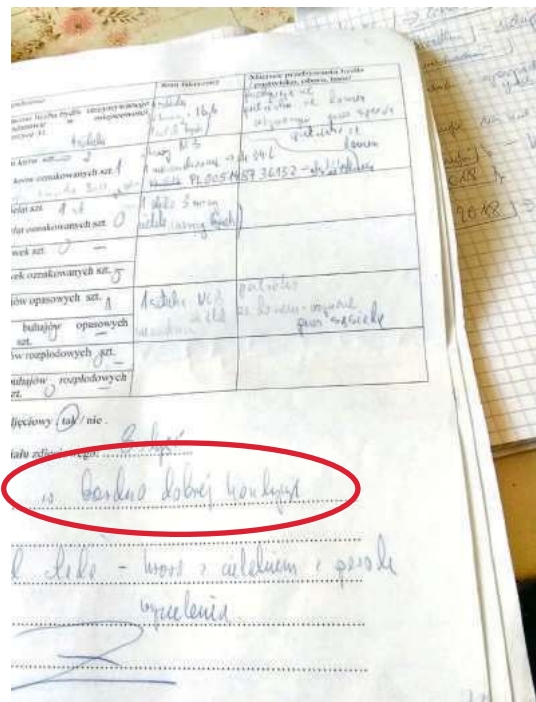
jakby szukając u mnie potwierdzenia. – Te krowy to wszystko, co mam. Mój jedyny dochód. Jak ich nie będzie, nie będę miał po co żyć.

Bracia Paweł i Marian Skorupowie hodowlę prowadzą wspólnie. Są bliźniakami, nie założyli rodzin. Długo opiekowali się chorą matką. Nie palą, nie piją, nie mają samochodu, żyją skromnie. Na rolniczą emeryturę będą mogli przejść za osiem lat.

Dla mnie nie było nic

Trzyhektarowe mniej więcej gospodarstwo po rodzicach Paweł Skorupa przejął w 1984 r. Miał wtedy 22 lata. Jego ojciec, by utrzymać pięć dzieci, poszedł do pracy w fabryce w Gorzowie. On z matką i bratem uprawiali warzywa i hodowali bydło mleczne. Z wykształcenia jest hydraulikiem, ale zrobił też uprawnienia rolnicze. Był jeszcze w zawodowce, gdy zaczął dorabiać sezonowo jako traktorzysta w gospodarstwie rolnym i w spółdzielni kótek rolniczych. Potem odrabiał wojsko w szpitalu, jako pielęgniarz na chirurgii, bo jego rodzina należy do świadków Jehowy, którzy nie uznają służby wojskowej.

– Człowiek zawsze jakieś pracy się czepia, żeby zarobić parę groszy na książki do szkoły, na własne wydatki – mówi. – Łąki, jak wszyscy tu we wsi, dzierżawiliśmy bezumownie od PGR Wawrów, zakład Ciecierzyc.



Fragment opinii weterynarz Krystyny Michalskiej.

Nasze bydło mleczne było wiązane. Potem przeczuliśmy się na hodowlę mięsną. Przez wiele lat wykaszaliśmy te tereny, likwidując chwasty – ostry, wierzbę, zbieraliśmy siano. Gdy w 1998 r. na tych łąkach założono rezerwat Santockie Zakole, przyjeżdżali różni specjaliści od ochrony przyrody i zachwycali się, że moje krowki „tak pięknie się pasą”. Ich zdjęcia do dziś



Marian Skorupa: – Najlepiej, żebyśmy zniknęli, przepadli. Jesteśmy za słabi. Nikt się z nami nie liczy.

można oglądać na tablicach rezerwatu. A teraz wszystkim wadzą.

Aby uregulować stan prawny, 17 maja 2010 r. Paweł Skorupa napisał w sprawie przedłużenia dzierżawy: „(...) zwracam się z uprzejmą prośbą do urzędu, któremu podlega rezerwat Santockie Zakole, w sprawie wypasu bydła. Mieszkam koło rezerwatu, posiadam stado bydła 60 sztuk i nie mam innej możliwości, żeby te zwierzęta miały karmę. Zwierzęta te wypasam na terenie rezerwatu kilka lat (...). Zwracam się o wczucie się w moje położenie i pozytywne rozpatrzenie mojej prośby”.

Dziewięć lat temu Paweł Skorupa chciał uregulować sprawę dzierżawy łąk. Do dziś nie dostał odpowiedzi.

Pismo wpłynęło do urzędu 18 maja 2010 r., o czym świadczy zielona pieczęć, ale odpowiedź na nie nigdy nie nadeszła. – Próbowałem się dopytywać, ale nie jestem przebojowy. Trzy lata później okazało się, że łąki, o które się starałem, dostali inni – z Poznania, Krakowa, Gorzowa. A dla mnie, który jestem hodowcą stąd, nie było innej. Straciłem też 10 ha pastwisk za lasem, które obrabiał jeszcze mój dziadek, przejął je rolnik z mojej wsi. W odpowiedzi usłyszałem tylko: „Przecież nie chcieliście tych łąk”. Załamałem się, pogubiłem, lecz z hodowli nie zrezygnowałem. Bo to moje zamięłowanie i pasja. Jeśli człowiek

nie ma zamięłowania, to co jest wart? – pyta.

Szok

Przez wiele lat trwały przepychanki. Przybywało skarg, że bydło zagraża ludziom, że wchodzi na drogę. Było przeganianie krów, wzywanie policji. Pawłowi Skorupie zarzucono 200 wykroczeń związanych z brakiem należytej opieki nad stadem. Były również kontrole weterynaryjne. Jedna z nich, z listopada 2017 r., ustaliła, że według danych Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa do rejestru zgłoszono 38 sztuk, a niezgłoszonych jest 98.

6 czerwca 2018 r. kolejną kontrolę przeprowadziła weterynaryz Krystyna Michalska. W dokumencie pokontrolnym napisała: „Do grupy zwierząt nie dało się podejść, gdyż przemieszcza się swobodnie między grzędzawiskami”, jednak część bydła, która „przebywała na pastwisku użyczonym przez sąsiada, jest w bardzo dobrej kondycji”.

Na początku kwietnia tego roku do Pawła Skorupy zgłosiła się kurator, informując, że toczyła się przeciwko niemu sprawa w sądzie. Zaskoczony rolnik udał się do prawnika. Okazało się, że w aktach jest decyzja 204/2018 z października 2018 r. wydana przez powiatowego lekarza weterynarii, nakazująca mu zabicie wszystkich zwierząt bez odszkodowania. Miesiąc po niej, 19 listopada 2018 r., zapadło postanowienie Sądu Rejonowego w Gorzowie, które zabrania Pawłowi

Skorupie posiadania bydła przez okres trzech lat, wprowadza dozór kuratora i ustala wpłacenie kwoty 2 tys. zł na rzecz Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. O postanowieniu sądu Paweł Skorupa także nie miał pojęcia.

– To był szok. Mam skrzynkę pocztową, nie znalazłem w niej żadnego pisma ani awiza z weterynarii ani z sądu. Latem 2018 r. przesłuchiwało mnie w prokuraturze, ale nikt mi nie mówił, że sprawa pójdzie do sądu. Przecież bym się dopytywał. Odebrano mi prawo do obrony, prawo do sądu. Nie spodziewałem się tego. Po ostatniej kontroli weterynaryjnej czekałem raczej na wiadomość, kiedy

będę mógł wreszcie zapędzić krowy do kojca w celu zbadania i zakolczykowania. Zwłaszcza że taki boks na terenie gminy powstał.

Walka

11 kwietnia tego roku Paweł Skorupa złożył odwołanie od decyzji 204/2018 do wojewódzkiego lekarza weterynarii. W uzasadnieniu kilka razy podkreślał, że chce się podporządkować wszystkim stawianym mu wymaganiom, że zakupił kolczyki w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, a z ich założeniem związane są paszporty dla krów. „Moje zaniebdanie i w tej kwestii zostanie jednocześnie naprawione”, przekonywał.

Tłumaczył, że stado jest zdrowe, a to, że nie zostało jeszcze gruntownie przebadane, wynikało z braku warunków, czyli odpowiedniego kojca, z przyczyn od niego niezależnych.

Jeszcze raz podkreślił to w piśmie z 26 kwietnia do TOZ w Gorzowie Wielkopolskim: „Jest możliwość zbadania moich krów. Walczę na wszystkie możliwe sposoby, aby tak się stało, ale mówią mi, że decyzja jest ostateczna i nic nie zdziałam”.

Skarga rolnika na powiatowego lekarza weterynarii skierowana do Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi została odesłana do wojewódzkiego lekarza weterynarii. Na list do prezydenta RP Andrzeja Dudy nie dostał odpowiedzi.

Sąd, który nieuiszczoną grzywnę zamienił rolnikowi na 20 dni aresztu, po opłaceniu należności uwzględnił jego zażalenie i uchylił postanowienie 9 maja tego roku.

Od końca kwietnia stado było zganiane do zagrody na łąkach w pobliżu Ciecierzyc. Wójt odpowiedział rolnikowi, że chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom oraz przekazanie stada do dyspozycji powiatowego lekarza weterynarii, który jest władny podjąć dalsze działania. W połowie maja zwierzęta przegoniono na łąki w rezerwacie Santockie Zakole, które kiedyś użytkowali Skorupowie, a teraz inny rolnik.

Z Marianem Skorupą jedziemy sprawdzić stado. Po drodze mijamy tablice rezerwatu ze zdjęciami jego krów. Tuż obok pasie się ogromne stado czerwonego bydła należące do hodowcy z Gorzowa. – Najlepiej, żebyśmy zniknęli, przepadli. Jesteśmy

► za słabi. Nikt się z nami nie liczy – mówi Marian Skorupa.

Zostawiam go ze stadem, które wygląda na zadbane i zdrowe, a na przystani promowej w Santoku, naprzeciw której się pasie, rozmawiam z miejscowymi. Mówią, że zdarzało się im uciekać przed bykami Pawła i Mariana, ale braci im żal. – To nieprawda, że o te krowy nie dbali. Zaglądali i zaglądają do nich codziennie, nawet po kilka razy. Po prostu z łak ich wypchnęli bogatsi i bardziej operatywni. Nie dość, że bracia nie biorą grosza z Unii, to jeszcze gdy zostaną obciążeni 350 tys. zł za zabicie zwierząt, mogą stracić dach nad głową i całe swoje gospodarstwo.

Nie mogliśmy dłużej czekać

– Ciężko pomóc komuś, kto nie daje sobie pomóc – kwituje sprawę braci Skorupów zastępca wójta gminy Deszczno Aleksander Szperka. Wyjaśnia, że problem monitoruje od ponad czterech lat, że już w 2010 r. podczas powodzi ich krowy musiało ratować wojsko, że w związku z licznymi skargami mieszkańców od 2015 r. na Zakolu jest kilka razy w tygodniu.

– Ci rolnicy zatrzymali się w latach 70. – tłumaczy. – Są przyzwyczajeni do trzymania zwierząt luźno i bezumownego użytkowania łąk. A teraz tak się nie da. Trzeba było stanąć do przetargu na łąki w Agencji Nieruchomości Rolnych Skarbu Państwa. To przecież nie gmina zabrała im tereny do wypasu. W telewizji słyszę, że bydło jest niekontrolowane, a jednocześnie,



Paweł Skorupa: – Najbardziej mnie boli to, że zrobiono ze mnie przestępcę, który znęca się nad zwierzyną.

Skorupów. Zaznacza, że służby, z którymi jest w kontakcie, próbowały pomóc rolnikom. Dodaje, że boks do badania zwierząt gmina aktualnie nie ma, bo umowa podpisana z miejską spółką się zakończyła.

– Najlepszym rozwiązaniem dla rolników i dla nas byłoby przekazanie przez nich stada jakiemuś hodowcy. Uniknęliby w ten sposób kosztów zabicia i utylizacji zwierząt, które rzeczywiście mogą ich pogryźć – podsumowuje Aleksander Szperka, deklarując, że gmina może zatrudnić obu mężczyzn jako robotników gospodarczych. Gmina nie chce też obciążać rolników kosztami utrzymania stada.

Z łak wypchnęli ich bogatsi i bardziej operatywni.

że jest jedynym źródłem ich utrzymania. To znaczy, że prowadzą nielegalny handel bydłem? Wiele razy im mówiłem: „Zakolczykujcie jakoś to stado i sprzedajcie. Będziecie mieli te 400-500 tys. zł, które wystarczą wam do końca życia”. Ale puszczały to mimo uszu, ciągle licząc, że jakoś się uda. Nie mogliśmy dłużej czekać. Stado się rozrasta. Co będzie, jeśli byk kogoś strati? Co będzie, jeśli pojawi się choroba? To gmina odpowiada za bezpieczeństwo mieszkańców.

Zastępca wójta podkreśla, że władze gminy ani przedstawiciele służb weterynaryjnych nie chcą krzywdy

z miłością i zaangażowaniem. Czy to zacyfowanie? Czy przepisy są ważniejsze niż ludzie i zwierzęta? – pyta.

Żeby tylko udało się je ocalić

W obronie życia dzikiego stada bydląt wystąpiły różne organizacje zajmujące się prawami zwierząt, od gorzowskiego Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt po Polskie Towarzystwo Etyczne. 9 maja odbył się protest pod Lubuskim Urzędem Wojewódzkim pod hasłem: „Wojewodo, ocal krowy”. 24 maja pod Głównym Inspektorem Weterynarii i Ministerstwem Rolnictwa odbyła się kolejna manifestacja. Był też apel do premiera. Trwała internetowa akcja „Ratujmy krowy znad Warty”. Organizacje zebrały ponad sto zgłoszeń chętnych do przysięgnięcia krów. Mimo to decydenci twardo stali na stanowisku, że stado trzeba zlikwidować, gdyż doszło w nim do chowu wsobnego. Pojawiły się doniesienia, że krowy zostaną wybite po wyborach.

We wtorek, 28 maja, dzwoni do mnie Paweł Skorupa z informacją, że stado zostanie zlikwidowane w piątek, 31 maja. Gdy pytam o to zastępcę wójta, mówi, że nic o tym nie wie. Tymczasem na łąkach w pobliżu miejsca wypasu zwierząt powstaje miasteczko namiotowe obrońców krów. Wszyscy czekają na rozwój sytuacji.

– Jestem załamany. Zrozumiałem już, że dłużej błąkać się z moimi zwierzątkami nie mogę – przyznaje Paweł Skorupa. – Żeby tylko udało się je ocalić, odstąpić komuś, choć za część wartości, aby spokojnie mogły dożyć swoich dni. One nie są chore, wychowane są na słońcu, na świeżym powietrzu, na naturalnej paszy.

29 maja po południu minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski oświadczył, że krowy nie trafią do uboju. Jak zapowiedział, stado będzie odizolowane w jednym z państwowych gospodarstw. Wcześniej mieli w tej sprawie interweniować prezes PiS Jarosław Kaczyński i prezydent Andrzej Duda.

Rolnik odetchnął. – Ja na nie nawet kija nie podniosłem nigdy, dobrze, że nie zostaną potraktowane jak śmieci – mówi dzień później. Na razie nie wiadomo, gdzie dokładnie trafi stado, nie wiadomo też, czy Paweł Skorupa otrzyma za nie jakiegokolwiek pieniądze.

Helena Leman

Z Galicji



Jan Widacki

Smutek, ale nie rozpacz

Ogłoszenie wyników wyborów do Parlamentu Europejskiego wywołało panikę w kręgach liberalnych. PiS znowu wygrało wybory, i to z taką przewagą! Koalicja Europejska dostała o ok. 7% głosów mniej! A Koalicja Europejska to przecież połączone siły Platformy Obywatelskiej, PSL, SLD, Zielonych... Wiosna Biedronia, jak to wiosna w tym roku, niezbyt udana. Poparło ją zaledwie ok. 6% wyborców.

Scena polityczna spolaryzowana jak nigdy dotąd. PiS wygrywa ze zjednoczonym anty-PiS! Wszyscy czujemy, że wynik tych wyborów to fatalny prognostyk dla jesiennych wyborów parlamentarnych.

W szeregach koalicji panika i pierwsze szukanie przyczyn klęski. To dopiero może źle się skończyć!

Spójrzmy na to wszystko bez emocji. Przegrana to niekoniecznie klęska. Na PiS zagłosowało 45,38%, na Koalicję Europejską 38,47%. Na Wiosnę (też anty-PiS, ale niestowarzyszony z Koalicją Europejską) – 6,06%. Czyli w sumie: na PiS – 45,38%, na nie-PiS 44,53%. Tylko 0,85% różnicy. W przeliczeniu głosów na mandaty w Brukseli PiS zdobyło ich 27, anty-PiS 25. To oczywiście przegrana, ale żadna klęska. Bez paniki!

Poszukajmy plusów. W wyborach przepadły, nie przekraczając progu, skrajnie prawicowa Konfederacja, Kukiz'15 i Lewica Razem. Nie zdobył mandatu coraz bardziej kabaretowy, ale także coraz bardziej żenujący i kompromitujący nas w Europie Korwin-Mikke. To też jakaś wartość. Można przewidywać, że Konfederacja się rozpadnie, a Kukiz'15 ze swoim wodzem już nie zatrzymają się na równi pochyłej. No i plus najważniejszy. Ponad 40% poparcia dla opozycji to za dużo, by PiS udało się wprowadzić rządy monopartyjne. Już więc samo utrzymanie takiego poparcia będzie dla Polski korzystne.

Mądrzej przeprowadzona kampania wyborcza na jesieni nie pozostawia dzisiejszej opozycji bez szans na wygraną w wyborach do Sejmu i Senatu. Trzeba nie tylko ratować naród przed niegodziwościami PiS, rujnującego system prawny, trójpodział władz, ograniczającego demokrację, spychającego Polskę na margines Europy. To wszystko prawda, ale te zagrożenia są dla przeciętnego mieszkańca wsi czy małego miasta zupełnie abstrakcyjne. Trzeba w kampanii mówić o rzeczach zrozumiałych dla ludzi i im bliskich. O rosnących cenach, o aferach pisowskich dygnitarzy, o zarobkach partyjnej nomenklatury w spółkach skarbu państwa, o tym, jak marne będą dostawać emerytury ci, którzy

teraz tak się cieszą ze skrócenia wieku emerytalnego. Trzeba przedstawić jakiś pozytywny program poprawy edukacji, służby zdrowia. Program zrównywania szans młodzieży z metropolii i prowincji. Zakończenie nonsensownego „zwracania” kamienic, pałaców, dóbr ruchomych o wartości muzealnej dalekim kuzynom prawników dawnych właścicieli albo oczywistym spekulantom i oszustom.

A z wielkich projektów politycznych – zapowiedzieć likwidację Senatu lub uczynienie z niego izby samorządowej, by mniej było rządu, a więcej samorządu, by samorząd miał wpływ na politykę państwa. I trzeba z kampanią ruszyć w Polskę. Do małych miast, na wieś! Co po imponujących konwencjach w iście amerykańskim stylu, gdy transmitują je tylko komercyjne stacje telewizyjne, do których programu nie ma dostępu połowa Polaków?

Jeśli w polityce można zrobić coś głupiego, można być niemal pewnym, że będzie to zrobione.

Ale rzecz najważniejsza. Podobna koalicja – jakkolwiek będzie się nazywała – musi istnieć także na wybory jesienne. Nie jestem pewien, czy w chwili, gdy ten felieton się ukaże, PSL już z niej nie wyjdzie, a SLD nie zapowie, że właśnie zamierza to zrobić. Jeśli w polityce można zrobić coś głupiego, można być niemal pewnym, że będzie to zrobione.

Obawiam się, że do jesiennych wyborów członkowie obecnej koalicji pójdą osobno. Część z nich nie przekroczy progu 5% i zniknie ze sceny politycznej. Może i strata nie będzie duża. Ale zanim zniknie, każda z tych partii zabierze ze sobą do grobu po prawie 5% głosów bez pożytku na nią oddanych i straconych. Obawiam się też, że Biedroń, zauroczony salonami Brukseli, zostanie tam, odpuszczając ciężką pracę w kampanii wyborczej w Polsce, w konsekwencji czego Wiosna jesienią może przeżyć swoją jesień.

Przewaga PiS będzie wtedy większa niż w wyborach europejskich i osiągnięcie przez tę partię większości konstytucyjnej stanie się wysoce prawdopodobne.

A to już będzie prawdziwy powód do rozpacz.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Katarzyna Wierzbicka

„Nie chcesz mieć dzieci, to po co żyjesz?”. Albo: „kto ci na starość poda szklankę wody?” – przytacza pytania otoczenia Natalia, niewysoka, czarnooka 32-latką, robiąc przerwę na tyk wody. – Nie wiem, czy trudniej mi słuchać o tym, jaka jestem biedna i niespełniona, czy o tym, jaką jestem nieczułą egoistką.

O tym, że nie zechce zostać matką, Natalia wiedziała mniej więcej od połowy studiów. – Mój ówczesny chłopak snuł wizję małżeństwa i dzieci, a ja zdałam sobie sprawę, że przecież tego nie chcę. Że wszystko, czego w życiu chcę, z dziećmi się wyklucza. Że musiałabym wszystko oddać. Nie chcę oddawać. Nikt mnie nie zmusi do heroizmu.

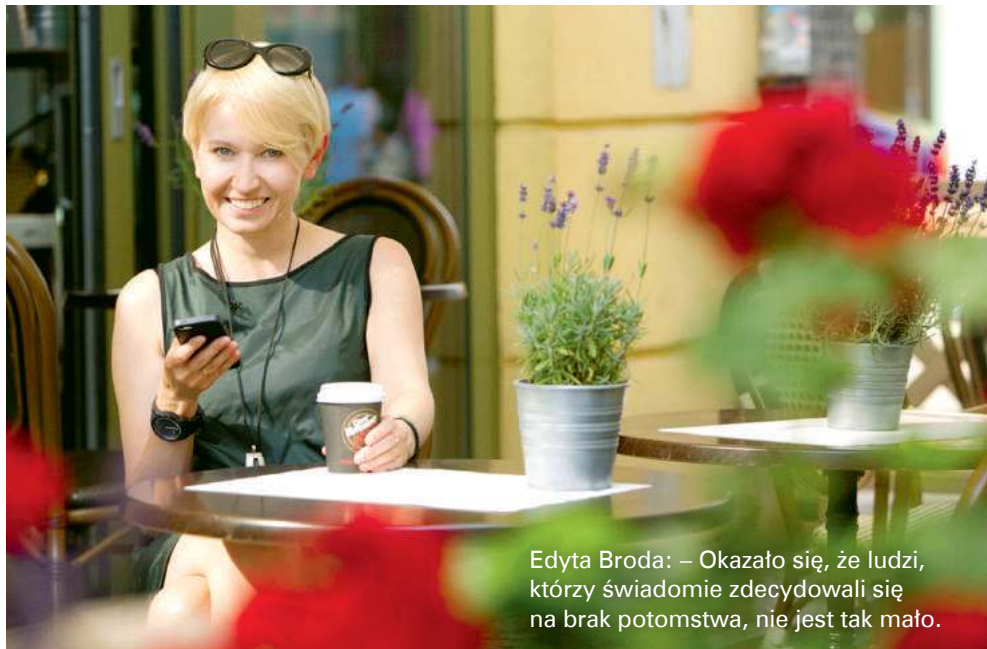
– Po co mi dziecko, żeby żyć w nędzy? – pyta retorycznie lwona, długowłosa 30-latką, pracująca w restauracji. – Mam umowę-zlecenie. Nawet jeśli trafiłabym na wystarczająco dobrze zarabiającego chłopaka, nikt mi nie da gwarancji, że będzie dobrze. Koleżanki, które są matkami, są uzależnione od swoich facetów albo spłukane. Nie chcę tak.

Z badania przeprowadzonego przez naukowców ze Szkoły Głównej Handlowej w ramach projektu FAMWELL wynika, że liczba kobiet, które nigdy nie zostaną matkami, rośnie z pokolenia na pokolenie. Wśród tych, które urodziły się w latach 1945-1955, odsetek kobiet, które nigdy nie urodziły dziecka, wynosił 8%. Natomiast wśród urodzonych w roku 1970 – już 17%. „Polska charakteryzuje się jednym z najwyższych poziomów bezdzietności w Europie Środkowo-Wschodniej – czytamy w podsumowaniu badania. – Według niektórych prognoz wśród kobiet urodzonych w 1975 r. nawet 25% będzie prowadziło bezdzietne życie”.

Jednak świadoma bezdzietność w Polsce jest wciąż zjawiskiem trudnym do uchwycenia. – W najmłodszej grupie kobiet pytanych o plany reprodukcyjne, np. między 18. a 25. rokiem życia, odsetek deklarujących, że nie chcą mieć dzieci, bywa rzeczywiście wysoki i sięga czasem nawet 34% – mówi dr Paula Pustułka, socjolożka z Uniwersytetu SWPS. – Trzeba jednak pamiętać, że są to deklaracje, które nie zawsze realizu-

Bezdzietne z wyboru

Z pokolenia na pokolenie rośnie liczba kobiet, które nigdy nie zostaną matkami



Edyta Broda: – Okazało się, że ludzi, którzy świadomie zdecydowali się na brak potomstwa, nie jest tak mało.

Kobiety świadomie bezdzietne to ani skupione na pieniądzech wampy, ani infantylne imprezowiczki.

ją się w przyszłości – tym bardziej że wiek zostawania rodzicem wciąż się podwyższa. Kogo więc pytać? Jeśli pytamy za wcześniej, zbieramy jedynie deklaracje. Jeśli za późno – dane, które zbierzemy, nie uchwycą najnowszych zmian społecznych w tej kwestii.

Na pytanie o przyczyny niechęci do bycia matkami kobiety rzadko udzielają jednoznacznej odpowiedzi. Część z nich opowiada o wahaniu poprzedzającym podjęcie decyzji, inne mówią po prostu: „to nie moja bajka”. Jednak we wszystkich świadectwach słychać pewność: „tak wybrałam i to się nie zmieni”.

Bunt kobiet

– Jestem jedną z nielicznych kobiet w swojej branży i muszę robić

znacznie więcej niż moi koledzy, żeby dobić do takiej samej pozycji. Gdybym zaszła w ciążę, nigdy nie wróciłabym do zawodu. Dla mnie to też jest misja, tak jak dla niektórych macierzyństwo – wyznaje Magda, architektka, kilka lat po ślubie. – Dlaczego to, co chcę i mogę zaoferować jako architektka, ma być mniej ważne od tego, czego nie chcę i nie potrafiłabym zaoferować jako matka? Dlaczego wszystko, co w naszym kraju jest wartościowe, musi być wydane z trudem i poświęceniem? Jak dam coś z siebie z przyjemnością, to się już nie liczy?

Magda, sama wychowana z dwójką rodzeństwa, przyznaje, że o dziecku myślała jeszcze parę lat temu, kiedy została ciocią, a jej szkolne koleżanki masowo zaczęły brać śluby i zachodzić w ciążę. – Wszystko rozbija się tylko o to, co i dla czego możesz poświęcić. To nie jest wybór półbutów, tylko przemodelowanie życia na kilkanaście-kilkadziesiąt lat.

Dr Paula Pustułka: – Poza kobietami, które jednoznacznie chcą mieć dzieci, i tymi, które dzieci mieć na pewno nie chcą, jest grupa takich,

które wprowadzie potomstwa nie planują, ale ich decyzja wynika z czynników zmieniających się w czasie, np. obecności odpowiedniego partnera lub warunków ekonomicznych. Działa to również w drugą stronę: kobiety, które deklarują, że chcą mieć troje lub czworo dzieci, porzeczają na jednym lub dwojgu. Olbrzymie znaczenie ma polityka rodzinna, czyli np. to, jak rozkłada się odpowiedzialność i obciążenie związane z rodzicielstwem na oboje rodziców. Jednak na razie polityka społeczna w Polsce jest raczej antyreprodukcyjna: byłaby na pewno skuteczniejsza, gdyby – zamiast nakłaniania wszystkich kobiet do macierzyństwa – stworzyć do niego warunki tym kobietom, które dzieci rzeczywiście chcą.

Podobne wnioski można wysnuć z badania w ramach FAMWELL: odsetek kobiet bezwzględnie niechących dzieci wynosi nie więcej niż 5%. Autorki podsumowania analizy biografii niematek – Monika Mynarska z UKSW oraz Anna Rybińska i Anna Matysiak z SGH – o bezdzietności mówią jako o „rezultacie wielu decyzji podejmowanych w rozmaitych kwestiach, w zmieniających się okolicznościach i pod wpływem wielu czynników”. Dla badaczek pozostawanie w bezdzietności jest więc nie tyle faktem, ile procesem, któremu towarzyszy kilka powtarzających się motywów, m.in. brak stabilnego związku, niestabilność zatrudnienia lub – przeciwnie – wyższe wykształcenie i wysokie aspiracje zawodowe. Jak jednak twierdzą specjalistki, rola pracy zawodowej w rezygnacji z macierzyństwa nie jest jednoznaczna. „Wzrost bezdzietności w Polsce nie jest związany z aspiracjami zawodowymi kobiet – podkreślają badaczki. – Musimy lepiej zrozumieć, w jakich okolicznościach poziom wykształcenia oraz posiadanie lub brak pracy może prowadzić do pozostawania bezdzietnym”.

– Problem polega na tym, że przemiany w organizacji pracy opiekuńczej następują znacznie wolniej niż przemiany społeczne związane z potrzebą wyboru – twierdzi z kolei socjolożka Monika Helak z Uniwersytetu Warszawskiego. – Gdyby obie te rzeczy szły w parze, mielibyśmy po prostu inaczej zorganizowaną rodzinę. A tak kobietom, którym zależy na niezależności, pozostaje bunt:

nie chcą wchodzić w taki kontrakt rodzinny, który widzą jako ograniczenie. Wiele z nich zresztą mówi o odkładaniu planów związanych z dzieckiem na „lepszy moment”. Jeśli on nie następuje – niektóre po prostu pozostają bezdzietne.

Tymczasem wiele wskazuje na to, że polscy mężczyźni nie kwapią się do zmian. Według badania przeprowadzonego przed eurowyborami przez instytut Kantar dla „Gazety Wyborczej” światopoglądy młodych Polek i młodych Polaków są niemal biegunowo różne. „Wśród mężczyzn w wieku 18-30 lat liderem sondaży jest skrajnie prawicowa Konfederacja (...) z wynikiem 29%, drugie jest PiS – 22%. Wśród kobiet w tym samym wieku wyniki są przeciwne: Wiosna i Koalicja Europejska prowadziła w łeb, zdobywając po 27%. Młodzi mężczyźni i młode kobiety żyją w dwóch różnych światach – czytamy na stronie „Wyborczej”. – Jeszcze ciekawsze są organizacje, które wybierają: wśród kobiet prowadzi Ogólnopolski Strajk Kobiet z wynikiem 45%, a wśród mężczyzn – Ruch Narodowy z wynikiem 20%. (...) Młode kobiety chodzą na »czarne protesty« i Marsze Równości, młodzi mężczyźni – albo na Marsz Niepodległości, albo po prostu zostają w domu”.

– Kobiety wiedzą, że nie muszą już wybierać tej samej, utartej drogi życiowej z dzieckiem w roli głównej – dodaje Paula Pustułka. – Ich pozycja na rynku pracy poprawia się, są

Dr Paula Pustułka.



Polska charakteryzuje się jednym z najwyższych poziomów bezdzietności w Europie Środkowo-Wschodniej.

lepiej wykształcone niż mężczyźni. Mówiąc o macierzyństwie i o tym, że „trzeba zwiększyć dzietność”, rzadko się wspomina w Polsce o tym, co to tak naprawdę oznacza dla poszczególnych kobiet.

Monika Helak: – Jedno z badań przeprowadzanych zarówno w Polsce, jak i za granicą polega na zadawaniu parom pytania o plany reprodukcyjne przed urodzeniem pierwszego dziecka i po. Wyniki są interesujące: przed pierwszym dzieckiem to zazwyczaj kobiety chcą mieć szybciej i więcej dzieci. Po pierwszym dziecku ta proporcja się odwraca, i to dosyć drastycznie. Interpretuje się to jako rezultat obciążenia kobiet rodzicielstwem – przed urodzeniem pierwszego dziecka mężczyźni boją się ograniczeń i obowiązków z nim związanych. Jednak potem okazuje się, że koszty rodzicielstwa ponoszą przeważnie kobiety – one już „mają dość”, podczas gdy ich partnerzy nie odczuwają tak bardzo skutków bycia rodzicem.

Świadoma bezdzietność, świadome rodzicielstwo

Jedno wydaje się jednak pewne: niezależnie od tego, czy rezygnacja z macierzyństwa ma źródło w niechęci do całościowych poświęceń, czy do rodzicielstwa jako takiego, świadome decydowanie się na bezdzietność dowodzi, że macierzyństwo przestało być dla wielu kobiet jedyną słuszną rolą życiową. „W modzie” jest nie tyle bezdzietność, ile świadome podejmowanie decyzji – zarówno tych o braku dzieci, jak i ich posiadaniu.

– Świadoma decyzja o nieposiadaniu potomstwa jest rewersem tzw. świadomego rodzicielstwa – zwraca uwagę Monika Helak. – Warto pamiętać, że automatyzm posiadania dzieci często był równoległy z automatyzmem ich wychowywania. Teraz model wychowania jest inny, bardziej urefleksyjniony: dzieci ma się mniej, ale w te, które się ma, inwestuje się zazwyczaj więcej zasobów niż kiedyś – od wyboru pieluch po zajęcia dodatkowe. Rodzicielstwo jest znacznie bardziej zobowiązujące niż kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu.

Paradoksalnie podobne wnioski można wysnuć ze świadectw kobiet, które nie chcą mieć dzieci. – Nie chcę

► mieć dziecka, które wychowywałoby się z niańką, dla którego nie miała-bym czasu. Wolę nie być matką, niż udawać, że nią jestem i że mnie to cieszy – wyznaje Magda.

– Zaskakuje mnie czasem, że tylu moich znajomych głowi się nad tym, dlaczego nie chcę być matką, ale nikt nie pyta, dlaczego się matką zostaje – mówi Marianna, 42-letnia niem matka z wyboru. – Ja takie pytanie sobie zadałam. Nie żałuję.

– To, że kobiety coraz częściej zadają sobie takie pytanie, nastraja optymistycznie – twierdzi psycho-terapeutka i filozofka Joanna Dukiewicz. – Nieuleganie zewnętrznej presji, podjęcie decyzji na podstawie własnych przekonań i potrzeb

Zamiast nakłaniać wszystkie kobiety do macierzyństwa, lepiej stworzyć do niego warunki tym, które dzieci rzeczywiście chcą.

oznacza wzięcie odpowiedzialności za swoje życie. Dzięki temu można je przeżyć bardziej autentycznie i świadomie: bez dzieci lub z nimi. Ważne, żeby dokonując wyboru, nie idealizować żadnego ze scenariuszy, rozważyć, co zyskujemy i co tracimy. Kobiety coraz częściej mówią o tym, że macierzyństwo ma swoje cienie i – jak każdy wybór – coś nam daje, ale też czegoś pozbawia.

Polska przemoc rozródowa

W opowieściach kobiet decydujących się na bezdzietność powtarza się motyw wewnętrznego śledztwa, które doprowadziło je do decyzji o tym, że nie chcą mieć dzieci. Próżno szukać w nich tęsknoty, kompleksów, zawiści, poczucia niższości czy pogardy wobec tych, które wybrały inaczej. „Prawem matek jest możliwość i warunki do posiadania dzieci, moim – do ich nieposiadania”, powtarzają. A jednak nieposiadanie dzieci bywa trudne – nie ze względu na sam fakt bezdzietności, ale z powodu jego społecznego odbioru. Pół biedy, jeśli wynika ono z problemów z płodnością – gorzej, jeśli jest rezultatem decyzji.

– „Egoistki”, „niedojrzałe”, „wygodne”, „wrogo nastawione do rodziny” – wylicza Edyta Broda, autorka bloga Bezdziennik.pl i pierwszej w Polsce książki poświęconej bezdzietności z wyboru „Szczere o życiu bez dzieci”. – Kiedy rok temu zakładałam bloga, nie miałam pojęcia, że spotka się z aż tak szerokim odzewem. Okazało się, że ludzie, którzy świadomie zdecydowali się na brak potomstwa, nie jest wcale mało. Często brakuje im przestrzeni, w której mogliby porozmawiać, powymieniać się doświadczeniami. W rodzinnych domach często słyszą: „będziesz tego żałować” albo: „tracisz coś ważnego”. Ciekawe, że podobne rady dawane są tylko kobietom.



Joanna Dukiewicz: – Kobiety coraz częściej mówią o tym, że macierzyństwo ma swoje cienie.

Tylko kobiet dotyczą także oceny w rozmaitych internetowych źródłach, które wyszukiwarka Google wypływa w odpowiedzi na hasło „bezdziennik z wyboru”. Wedle mniej lub bardziej anonimowych internetowych moralistów kobiety decydujące się na bezdzietność to samolubne i niedojrzałe karierowiczki o pustym życiu albo pozbawione empatii egoistki z konsumpcyjno-hedonistycznym systemem wartości, które nie rozumieją własnej roli i „tego, co w życiu ważne”. Niektórzy internauci ograniczają się do dobrotliwego paternalizmu, zakładającego, że świadomie bezdzietna 30-latką zwyczajnie nie wie, czego chce. „Jeszcze ci się odmieni!”, pisze jeden z użytkowników forum do internautki deklarującej niechęć do macierzyństwa. „Kaźda tak mówi”, dodaje inny.

Gorzej, że podobny ton przybierają przedstawiciele rządu: „Co by było, gdyby kobieta odmówiła powinności macierzyńskiej. Nie byłoby nas tutaj”, powiedział Marek Jurek na zeszłorocznym spotkaniu komisji oceniającej projekt ustawy Ordo Iuris.

Z kolei bohaterka rządowej kampanii społecznej mającej zachęcić kobiety do rodzenia dzieci to za-można, nowoczesna trzydziestoparolatka, która wprawdzie „zrobiła specjalizację” i „była w Tokio”, ale zapomniała o tym, „co w życiu najważniejsze”. W spocie widzimy ją patrzącą z tęsknotą na swój wielki ogród, w tle słychać gaworzenie bobasów i smutne: „Nie odkładaj macierzyństwa na potem”. W fabule filmiku autorzy pominęli jednak potencjalnego ojca.

– Nie wiem, co gorsze: być egoistyczną karierowiczką czy dorosłą kobietą traktowaną jak 12-latkę – opowiada Magda. – Podczas konsultacji ginekologicznej poinformowałam lekarkę o tym, że nie chcę kiedykolwiek zachodzić w ciążę. „Zachcesz, zachcesz!”, usłyszałam w odpowiedzi.

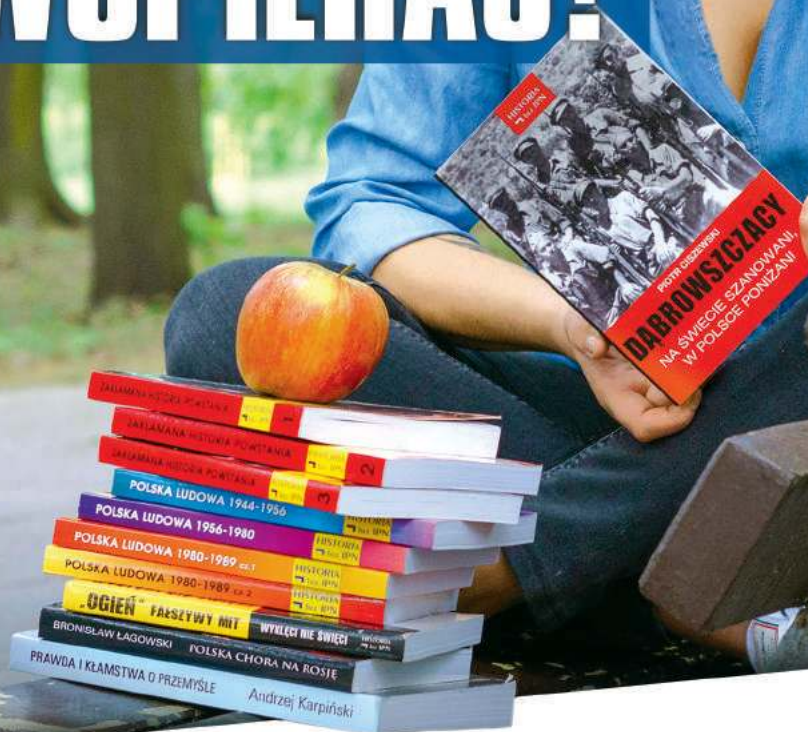
Edyta Broda: – Zaskakujące, jak często zasady dobrego wychowania ulegają unieważnieniu, kiedy przychodzi do rozmawiania o czyichś planach reprodukcyjnych. Przecież to, czy chcę mieć dzieci, jest tylko moją sprawą. Wydawanie opinii na temat sensu mojego życia, przechodzenie na ty czy wulgarne komentarze są absolutnym naruszeniem granic.

– Kiedyś odwiedziłam koleżankę, która ma małe dziecko. Posiedziałyśmy, a potem ona musiała odebrać telefon. Trochę pobawiłam się z jej córką w tym czasie, żeby nie płakała za mamą. Kiedy ona wróciła, była bardzo zdziwiona: „Nie sądziłam, że dasz sobie radę z dzieckiem” – opowiada Natalia. – Takie sytuacje są męczące. Trochę jakby się było kosmitą.

Iwona: – Przyjaźnię się z kilkoma matkami, czasem zostaję z ich dziećmi. O rodzicielstwie nie gadamy. Ja nie mam problemu z ich wyborami, one z moimi. Nikt nikomu nie zagraża. Odnoszę wrażenie, że łatwiej akceptować inność, kiedy jest się pewnym własnych wyborów.

Katarzyna Wierzbicka

CZYTAJ I WSPIERAJ!



Drodzy Czytelnicy,

Nie piszemy pod dyktando polityków, nie ulegamy dyktatowi reklamodawców, nie schlebiamy tanim gustom. Lekturę lekką, łatwą i przyjemną zostawiamy innym wydawcom.

To Wy ustawiacie nam poprzeczkę i wyznaczacie naszą wspólną niezależność. Każde Wasze wsparcie pomoże nam wydawać więcej książek i jeszcze lepszy PRZEGŁĄD.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy, wpłać darowiznę na konto fundacji PRZEGŁĄDU:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Wpłat darowizny można dokonywać także online na www.tygodnikprzeglad.pl.



**Zebrane środki przeznaczymy na sfinansowanie nowych projektów wydawniczych.
Dziękujemy, każda złotówka ma znaczenie!**



Zielona euforia

W eurowyborach partie rządzące CDU i SPD poniosły kolejną porażkę.
A gdzie dwóch traci, tam zielony korzysta

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego okazały się kolejnym policzkiem dla Wielkiej Koalicji. Najsilniejsi wprawdzie pozostają chadecy (28,9%), ale w porównaniu z 2014 r. stracili 6,4%. Znacznie więcej powodów do zmartwień mają socjaldemokraci, na których zagłosowało zaledwie 15,8%, co plasuje ich na trzecim miejscu. Na domiar złego SPD straciła także swój regionalny bastion, jakim od 73 lat była

Brema. W równocześnie przeprowadzanych wyborach lokalnych partia Andrei Nahles poniosła klęskę, zajmując drugą pozycję po CDU. Inna sprawa, że SPD przegrała w Bremie tylko o włos i porozumiewając się z Zielonymi i Lewicą, mimo porażki może jeszcze przedłużyć swoje rządy o kolejne cztery lata. Największymi wygranymi eurowyborów są bez wątpienia ponownie Zieloni, którzy z poparciem 20,5% wyborców znaleźli się na drugiej pozycji. Populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD) uzyskała 11%, a Die Linke i FDP odpowiednio 5,5% i 5,4%.

Roszący się SPD

Straty socjaldemokratów w Bremie (7,7 pkt proc. w porównaniu z 2015 r.) są nie tyle wynikiem kiepskich rządów lokalnej koalicji z Die Grünen, ile odzwierciedleniem pewnego ogólnokrajowego trendu, bo SPD od dawna traci poparcie. Tkwiąc latami w Wielkiej Koalicji, dała się sprowadzić do roli przystawki CDU i CSU. Stała się partią bezbarwną, niemogącą odzyskać lewicowego elektoratu. W prasie zaczęto wobec tego wieszczyc rychły kres SPD, jeśli Nahles nie poda się do dymisji. Nie-

Zieloni poszli z duchem czasu, stawiając na ekologię i udział w demonstracjach, np. Fridays for Future. Nz. marsz w Kolonii, 24 maja.

mieccy publicyści domagają się powrotu partii na drogę wytyczoną za czasów Willy'ego Brandta i Helmuta Schmidta.

„Najważniejsze pytanie brzmi teraz, czy szefowa partii i klubu parlamentarnego SPD się utrzyma. Pokusa, by nie czekać na to, że ją obalą, tylko wyjść z rządu, jest duża. Miałaby wtedy szansę na zachowanie przywództwa”, pisze dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, utrzymując, że poprzednik Nahles na fotelu szefa socjaldemokratów Martin Schulz i wicekanclerz Olaf Scholz depczą jej po piętach. Z drugiej strony dymisja Andrei Nahles może nie tylko rozsądzić rząd, ale i wyrządzić jeszcze większe szkody SPD. Zmiana kierownictwa krótko przed jesiennymi wyborami w Saksonii, Turynii i Brandenburgii może odkleić plastry, którymi Nahles opatrzyła rany zadane jej partii przed odsunięciem Schulza. Tymczasem w najnowszym wydaniu tygodnika „Der Spiegel” pojawiły się pogłoski, że byłby szef SPD przygotowuje wewnątrzpartyjny pucz, który może szybko się przeistoczyć w wojnę o władzę. Tyle że inny poprzednik Nahles, Sigmar Gabriel, niedawno rozwiął wątpliwości. „Jeśli państwo czytają o rzekomym puczu jeszcze przed jego rozpoczęciem, to najczęstiej wcale nie będzie miał miejsca”, tłumaczył były wicekanclerz w programie „Anne Will”, jednocześnie zaznaczając, że Nahles ponosi pełną odpowiedzialność za marny wynik SPD.

Ale być może wcale nie dojdzie do zamachu stanu. Oburzenie kolegów i wyborców Nahles gasiła dotąd stwierdzeniem, że „odnowa potrzebuje swojego czasu”. Po eurowyborach i stracie w Bremie przewodnicząca SPD w połowie ubiegłego tygodnia sama zasygnalizowała, że na przyspieszonej konwencji zrezygnuje przynajmniej ze stanowiska szefa klubu w Bundestagu. Możliwymi następcami byłiby Martin Schulz bądź sekretarz generalny SPD Lars Klingbeil. Każdy z nich może wprowadzić do frakcji nową jakość bez zakłócania pracy Wielkiej Koalicji.

„Wyniki ostatnich wyborów nie mogą pozostać bez konsekwencji”, przekonuje Klingbeil.

Kolejnym zagrożeniem dla partii są wewnętrzne wojenki o podział politycznych konfitur. Miesiąc temu szef młodzieżówki SPD Kevin Kühnert wywołał popłoch marzeniami o przezwyciężeniu błędów kapitalizmu dzięki upaństwowieniu prywatnych koncernów (pisaliśmy o tym w PRZEGŁADZIE nr 21). Zdaniem wielu członków SPD wystąpienie 29-latką wcale nie przyciągnęło lewicowych wyborców, zadziałało raczej jak wyłom w murach obronnych,

W najnowszym wydaniu „Spiegla” pojawiły się pogłoski, że byłby szef SPD Martin Schulz przygotowuje wewnątrzpartyjny pucz.

zachęcający do ataków. Jedno wydaje się pewne – zerwanie Wielkiej Koalicji może jeszcze pogłębić kryzys w SPD, choć także przyspieszyć kolejne roszady w CDU. W nowych wyborach obie partie rządzące prawdopodobnie osiągnęłyby te same wyniki i ugrzęzły w podobnej stagnacji jak w 2017 r.

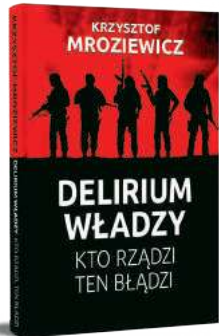
Słabnąca CDU

Wyniki eurowyborów powinny być więc również sygnałem alarmowym dla samych chadeków, mimo zwycięstwa w Bremie. Znamienne zresztą, że Angela Merkel od 26 maja uporczywie milczy. Kanclerka postanowiła kiedyś połączyć SPD (a przynajmniej jej program), a teraz jej następczyni Annegret Kramp-Karrenbauer (AKK) może się tym kąśkiem udławić. Merkel długo zakładała, że niewiążącą się z ryzykiem drogą

do maksymalizacji wyników wyborczych jest poszerzanie elektoratu w centrum przy równoczesnym spychaniu przeciwników do nisz. Przez kilkanaście lat zawdzięczała sukcesy głównie skonsumowaniu wszystkiego, co było na lewo od niej, osłabiając wprawdzie SPD, lecz oddalając się od swojego matecznika. Przesunięcie się od centrum ku lewej stronie dostarczyło tymczasem paliwa AfD, nawet jeśli wszystkie medialne burze urządzone przez populistów wciąż są mało skuteczne. „Sukces w Bremie nie może przysłonić faktu, że partia CDU jest wyjątkowo

słaba. Także AKK będzie musiała się zmierzyć z zarzutami, że jest słabym przywódcą”, wróżyła „Süddeutsche Zeitung” dzień po wyborach.

Tydzień później okazało się, że były to słowa prorocze. Tyle że Kramp-Karrenbauer z problemami zmagająca się właściwie już wcześniej. Echem odbił się w mediach film młodego vlogera Rezo, którym autor trafił w nastroje niezadowolonego elektoratu CDU. Na YouTube 26-latek żył na „kłamliwych polityków” oraz ich „jawną ignorancję i niekompetencję” w sprawach związanych ze zmianami klimatu. Reakcja AKK pokazała, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy wszystkie jej narzędzia się stępiły. W odróżnieniu od poprzedniczki szefowa chadeków co prawda nie przyjęła strusiej taktyki, za to zagalopowała się w przeciwnym kierunku. Annegret Kramp-Karrenbauer stwierdziła, że przedwyborcza ▶



Fundacja Oratio Recta, wydawca tygodnika PRZEGŁĄD
ma przyjemność zaprosić na spotkanie
z **Krzysztofem Mroziewiczem**
połączone z promocją najnowszej książki

**DELIRIUM
WŁADZY**
Kto rządzi, ten błądzi

3 czerwca (poniedziałek) o godz. 17.00
Klub Księgarza,
Rynek Starego Miasta 22/24
w Warszawie
Wstęp wolny



► propaganda w internecie powinna mieć granice. Potem próbowała się z tego wycofać, ale jej słowa zostały już usłyszane i wpisały się w wizerunek CDU jako partii zakazów. Oburzeniu, zwłaszcza młodych Niemców, nie było końca. „Błędne decyzje polityków dotyczą nie tylko eksploatacji naszej planety, ale też emerytur, oświaty i globalnych niesprawiedliwości. Młodzież, która się temu sprzeciwia, nie powinna spotykać się z pogardą, ale raczej stanowić powód do dumy”, sądzi dziennikarka „Süddeutsche Zeitung” Constanze von Bullion. Z kolei redaktor naczelny portalu netzpolitik.org Markus Beckedahl uważa, że AKK w kilku zdaniach zapowiedziała ograniczenie wolności słowa w sieci.

Tajna broń Zielonych

Cała afera wokół vlogera Rezo oraz postępowanie polityków CDU w tej sprawie sprzyja ugruntowaniu poglądu, że zamykają oni uszy na pomstowanie młodych ludzi. Co gorsza, niewiedza względnie tendencja do bagatelizowania istotnych dla młodzieży tematów, takich jak internet i klimat, rozlewa się na wszystkie skrzydła partyjne. Rządzący klepią młodych wyborców po plecach, a potem przechodzą do porządku dziennego nad ich potrzebami, zniechęcając ich do polityki. Modelowym przykładem przemiany zatroskanego działacza w aroganckiego polityka ze skłonnościami do zamykania się we własnym świecie stał się ostatnio premier Nadrenii Północnej-Westfalii Armin Laschet. Wiceszef CDU w rozmowie z wiceszefową Zielonych Annaleną Baerbock potraktował ją niczym niesforną uczennicę, a jej argumenty na temat polityki

tu. Baerbock jedynie się uśmiechnęła, ponieważ wie, że takie zachowanie jest wizerunkowym prezentem dla Zielonych. Znakomity wynik swojej partii 38-letnia liderka nazwała „sygnałem większej troski o ochronę klimatu”, a wysokonakładowy tabloid

CDU coraz częściej jest postrzegana w Niemczech jako partia zakazów.

„Bild” zauważył, że jej sprytny marketing przekłada się na realną siłę. Kiedy Nahles i Kramp-Karrenbauer nie mają ani sił, ani pomysłu na kolejną ofensywę, charyzmatyczny przewodniczący Die Grünen Robert Habeck jeździ po kraju i spokojnie odpowiada na pytanie, kiedy wreszcie zostanie pierwszym zielonym kanclerzem Niemiec: „Czy ja wiem...”.

Zieloni znaleźli odpowiedzi na pytania elektoratu, coraz bardziej ziryтовanego brakiem sukcesów Wielkiej Koalicji. Ponadto niemieccy wyborcy dostrzegali, że partia Die Grünen jest elastyczna i potrafi tworzyć koalicje niemal z wszystkimi ugrupowaniami – z chadekami, socjaldemokratami, liberałami, a nawet z postkomunistami. Przy czym Habeck bynajmniej nie siedzi okrzakiem na barykadzie. Na każdym lokalnym rządzie z udziałem jego partii odciska się wyraźny ślad Zielonych, ze szcztąkową choćby troską o środowisko.

A jednak, mimo wszelkich zasług Habecka, tajną bronią Die Grünen pozostaje nieodmiennie wiceszefowa Annalena Baerbock, która nie tylko zabezpiecza jego tyły w mediach, lecz także przyciąga nowych wyborców i członków, choćby



Vlogger Rezo na YouTubie zżymał się na „kłamliwych polityków” oraz ich „jawną ignorancję i niekompetencję” w sprawach związanych ze zmianami klimatu.

Habeck zrozumiał, dlaczego młodzi odrzucili oferty polityczne chadeków i socjaldemokratów. 49-letni polityk usiłuje aktywizować potencjał młodzieży, zamiast ją usypiać i dawać jej powody do nieufności. Chce także rozbudzać społeczny optymizm.

Nie można realizować społecznych przemian, nie ciesząc się zaufaniem młodych ludzi, uważa szef Zielonych.

klimatycznej tak poważnie jak reklamę szamponu. Co więcej, w przepływie szczerości Laschet dodał, że światowe manifestacje młodzieżowego ruchu klimatycznego Fridays for Future (Piątki dla Przyszłości) oraz przemówienia 16-letniej Szwedki Greta Thunberg są drugorzędne wobec palących problemów, np. brexi-

Zieloni poszli z duchem czasu, stawiając na ekologię i udział w demonstracjach, np. Fridays for Future. „Nie można realizować społecznych przemian, nie ciesząc się zaufaniem młodych ludzi”, wyjaśnia Habeck i właśnie ta strategia odwróciła sondażowe trendy. Zresztą już o wiele wcześniej notowania wskazywały, że

we wschodnich krajach związkowych, gdzie Zieloni z reguły musieli się obawiać, czy przekroczą w ogóle próg wyborczy. Młoda liderka potrafi niekiedy uderzyć w chadecką strunę (np. gdy mówi o deportacji afrykańskich przestępców), wlewając zarazem otuchę w serca tradycyjnych wyborców SPD (np. kiedy domaga się zmian w niemieckiej polityce zbrojeniowej). Bodaj najtrafniej opisała jej partyjną funkcję była szefowa Zielonych Claudia Roth: „Annalena jest korzeniem naszego drzewa. Bez niej kwiatki Roberta Habecka szybko by zwiędły”.

Tak czy inaczej, w przyszłym rządzie federalnym nie będzie już traktowana jak niesforna uczennica.

Wojciech Osiński

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nie byłem, nie jestem, nie będę wyborcą Prawa i Sprawiedliwości. Całe pakiety politycznych zachowań przywódców i decydentów tej partii wzbudzają we mnie niezgodę, niechęć i lęk. Praktyki polityczne, choćby takie jak technika zmian ustawodawczych (szalone tempo, niedopuszczanie do głosu oponentów, brak debaty, automatyzm głosowań i bezmyślne podpisywanie przez delegata na prezydenta), psują mechanizmy państwa. Problem w tym, że psują zepsute. Retoryka przywódcy i klakierów w kampanii wyborczej jest nieakceptowalna i groźna, szczucie na całe grupy ludzi (LGBT, Żydzi, uchodźcy...) to nieodpowiedzialne nadużycie i gdybyśmy mieli niezależną od rządu prokuraturę, której nie będziemy mieć przez najbliższe lata (dekady?), byłoby te działania po prostu przestępstwem. Ostentacyjne, w świetle dnia, choć przegłosowywane ciemną nocą, łamanie konstytucji jest karygodne. Problem w tym, że od lat konstytucja była martwym dokumentem, że całe obszary jej deklaracji nie obowiązywały, nie wyznaczały kierunków polityki ani zmian

będzie pewna stała, trudna do naruszenia) elity: to język pogardy, odczłowieczenia, wyższości. Wobec wyborców PiS. Powiedzieć, że jest to skandaliczne, obrzydliwe i groźne, to jakby nic nie powiedzieć. Ten rodzaj pogardy (często reprezentowany przez osoby, które chętnie odśpiewają piosenkę Natana Tenenbauma „Modlitwa o wschodzie słońca” ze słowami „Ale chroń mnie, Panie, od pogardy”) jest nie tylko niezrozumieniem, co w ostatnich 30 latach w Polsce się wydarzyło (samo się nie wydarzyło, zostało zrealizowane, zaplanowane, wdrożone) dla milionów osób wyrzuconych poza nawias przewidywalnego, stabilnego, zaspokajającego na podstawowym poziomie proste potrzeby życia. To, co dało im PiS, to nie tyle usunięcie tych wszystkich niedomagań, wykluczeń i biedy – na to trzeba potężniejszego i długotrwałego wysiłku – ile poczucie uwagi i realnego, trwałego wspomnienia. Że ze straszną retoryką? Żle. Że równocześnie obserwujemy niepotoczny awans materialny wąskiej grupy władzy? Powinno być inaczej. Że łamiąc konstytucję? Cóż, zbrukano ją też wcześniej.

Polacy mądrze wybrali

w prawach niższego rzędu. Otóż konstytucja przestrzegana nie była, teraz dołożono do jej nieprzestrzegania kolejne elementy.

Konstytucja obumarła głównie w rejonach rozstrzygnięć społecznych, opiekuńczych, zapewniających prawa słabszym grupom obywateli i obywateli. PiS, chciałem powiedzieć Jarosław Kaczyński (piszemy Kaczyński, myślimy – partia), doskonale to rozumie. Mało tego, rozumie, że nieobecność konstytucji jest przez całe grupy ludzi boleśnie odczuwana, że przekłada się na ich codzienność i problemy z zaspokojeniem podstawowych potrzeb. I że państwo, jeśli tylko zyska niezbędną motywację i determinację do działania, może skutecznie interweniować, bo – prawdę mówiąc – po to właśnie jest. A nie po to, żeby „nie rzucać kłód pod nogi” przedsiębiorcom, najbogatszym, wyprowadzającym pieniądze, zyski poza Polskę. I to do tych opuszczonych przez konstytucję, z całym mrocznym aparatem argumentacyjnym, ze wsparciem zawłaszczanych mediów publicznych i skorumpowanych zastrzykami państwowych pieniędzy prywatnych mediów, zwrócił się Kaczyński. Nie tylko słowem, ale konkretem, gotówką do ręki. Bez mówienia, na co ją wydać. Badania struktury wydatków najuboższych beneficjentów programu 500+ są zaś jednoznaczne – te pieniądze wydaje się mądrze, skrupulatnie, konsekwentnie. Na potrzeby dzieci, przede wszystkim te podstawowe: żywność, naukę, odpoczynek. Dlaczego miliony osób, które tak potrafią zagospodarować te niewielkie sumy (sporym wysiłkiem, wiedzą, umiejętnością), miałyby nagle dokonywać nieracjonalnych wyborów politycznych i głosować na tych, którzy publicznie oskarżają ich o przepijanie tych pieniędzy, lenistwo, wygodnictwo, koniunkturalizm? A to jest, był, dominujący przekaz środowisk politycznych wchodzących w skład przegranej koalicji w wyborach do europarlamentu.

W ogóle nie wchodzi na grunt języka, którego używają pokonane (pokonywane – to już nie jest wypadek przy urnie, to

Kiedyś, pewnie ponad 20 lat temu, jeden z moich przyjaciół wyjechał w dorosłym już życiu po raz pierwszy za granicę, tak się złożyło, że do USA, akurat chyba na Florydę. Przywiózł z tej wyprawy różne dziwne rzeczy, wśród których największe zdumienie (moje) budził długi, sięgający niemal do kostek, majestatyczny płaszcz z wielbłądziej wełny, którego zresztą nasz podróżnik prawdopodobnie nigdy na siebie nie założył. Zapytałem go, dlaczego w ogóle dokonał tego zakupu. Chłopak nie znał języka, znalazł się nagle w innym świecie, na dodatek był namiętnym palaczem tytoniu, a tam, gdzie się znalazł – nie wolno było niemal nigdzie palić. Szedł kiedyś, snuł się raczej w dojmującym upale, znękanym tym wszystkim, na głodzie nikotynowym, mijając małe sklepy. Przed jednym stał sprzedawca, który tę jego mękę jakby dostrzegł. Gestem zaprosił na krzeselko w sklepie. Więcej – podał mu ogień, żeby mógł sobie zapalić. W tym sklepie sprzedawał płaszcze z wielbłądziej wełny.

Polacy i Polki noszą w sobie mnóstwo niezaspokojonych potrzeb, odczuwają w rzeczywisty, intensywny sposób wycofanie się państwa ze swoich obowiązków, zobowiązań, roli. Kiedy na chwilę państwo (w tym wypadku Kaczyński i PiS) odegra rolę sprzedawcy z Florydy i pochyli się nad nimi – kupią niepotrzebny im płaszcz.

To, co przed nami – to polityczna odpowiedź lewicy na ich zapotrzebowanie, bez wciskania im płaszcza z wielbłądziej wełny. Być może wystarczy lepiej rozdysponowane pieniądze. Ale nie zaszkodzią lepsza służba zdrowia, wyższa emerytura, bezpłatna szkoła wyższa dla dzieci (konstytucja: „Władze publiczne zapewniają obywatelom powszechny i równy dostęp do wykształcenia” – he, he, he).

Chciałem pogratulować wyborcom PiS zwycięstwa w tych wyborach. Wybraliście racjonalnie. Mam nadzieję, że kiedyś dostaniecie naprawdę lepszą propozycję.



Zmowa tabletkowa

Władze 44 stanów w USA
chcą walczyć z gigantami
farmaceutycznymi
o uczciwe ceny leków

Mateusz Mazzini

Lista oskarżonych, która wpłynęła na początku maja do sądu stanowego w Connecticut, wyglądała imponująco. Wśród 20 podmiotów gospodarczych produkujących leki oraz 15 osób, którym władze 44 amerykańskich stanów zarzucają zмовę na rynku farmaceutycznym i nieuzasadnione podnoszenie cen, czasem nawet o kilkaset procent w ciągu pół roku, można znaleźć praktycznie wszystkie najbardziej znane marki w tej branży. Pfizer, Novartis, Mylan, Roche i przede wszystkim główny podejrzany, Teva Pharmaceuticals USA, miały według śledczych stworzyć kartel działający na podstawie niezgodnych z prawem pozarynkowych porozumień.

Celem było jak najszybsze podniesienie cen leków w taki sposób, by dominująca w danym segmencie rynku firma zyskała, ale jednocześnie pozostali członkowie układu nie stracili. Farmaceutyczni giganci stworzyli wehikuł zadowolający wszystkie strony. Każdy z nich bowiem, przynajmniej na rynku amerykańskim,

specjalizuje się w produkcji innych leków czy prowadzeniu badań nad innymi schorzeniami. Ich monopole pozostawały zatem nienaruszone, a zmowa gwarantowała jak najniższe straty, gdy na innym froncie zyskiwała konkurencja.

Największym poszkodowanym byli oczywiście pacjenci. Funkcjonowanie kartelu powodowało ciągły i jednocześnie skokowy wzrost cen na całym rynku farmaceutycznym. Przy i tak ogromnych kosztach leczenia w USA, wciąż powszechnym braku ubezpieczeń zdrowotnych (według Centralnego Biura Statystyki nieubezpieczonych jest 27,6 mln Amerykanów) i ograniczonym dostępie do opieki medycznej w niektórych częściach kraju podniesienie ceny regularnie zażywanego leku nawet o 1000% mogło być śmiertelne dla setek tysięcy chorych. Tym bardziej że kartel obejmował swoim zasięgiem naprawdę całe spektrum najpopularniejszych schorzeń. Kilkusetprocentowe podwyżki cen dotyczyły leków na cukrzycę i nadciśnienie, preparatów obniżających cholesterol i zmniejszających ryzyko zawałów.

Firma z listu pani ambasador

Sz szczególnie kontrowersyjne i moralnie wątpliwe było ustawianie cen leków generycznych. Najprościej mówiąc, chodzi o tańsze zamienniki drogich preparatów, o udowodnionym przez producenta składzie identycznym z zastępowanym lekiem. Ich istnienie na rynku jest kluczowe o tyle, że w wielu krajach są dotowane lub nawet w całości refundowane przez władze, chcące zapewnić chorym lepszy dostęp do leczenia. To właśnie leki generyczne, tańsze w produkcji, wspomagane publicznymi pieniędzmi i łatwiejsze do wprowadzenia w sprzedaży masowej, stanowią ogromną część przychodów największych producentów. Tiash Saha z amerykańskiego serwisu branżowego Pharmaceutical Technology pisze, że na lekach generycznych firmy farmaceutyczne zarabiają nawet 10 mld dol. rocznie. Co ciekawe, prawie wszystkie z 10 czołowych spółek zestawienia rocznych zysków z generyków zostały wymienione w pozwie do sądu w Connecticut.

Absolutnym liderem jest spółka Mylan, na konta której w 2018 r. wpły-

nęto 11,26 mld dol. pochodzących z samej sprzedaży generyków. Inni podejrzeni o odgrywanie kluczowych ról w kartelu, Sandoz i Teva USA, spadli niewiele poniżej granicy 10 mld. Nawet ostatnia w czołowej dziesiątce firma Sanofi zanotowała 1,69 mld dol. wpływów z leków generycznych. Wiele z tych marek prowadzi działalność na całym świecie, dlatego ich nazwy są doskonale znane również polskim czytelnikom. A nawet jeśli na którymś z zagranicznych rynków na pierwszy rzut oka ich nie ma, najczęściej oznacza to po prostu, że funkcjonują tam pod nazwą spółek córek, takich jak firma Genetech należąca do Roche. O tej marce głośno zrobiło się w naszym kraju na początku tego roku, kiedy ambasador USA Georgette Mosbacher interweniowała u ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego w sprawie wpisania leku onkologicznego produkowanego właśnie przez Genetech na polską listę leków refundowanych. Genetech również został wymieniony jako jeden z uczestników zмовы cenowej. W kontekście pozwu zbiorowego co najmniej dwuznacznie brzmią zatem słowa ambasador Mosbacher, która w liście do polskiego rządu powoływała się na „wątpliwości dotyczące sprawiedliwości lub przejrzystości” podejmowania decyzji o refundacjach.

Giganci zarabiają na generykach

Nie wszystkie oskarżane o ustawianie cen firmy przedstawiły już w tej sprawie oficjalne stanowisko. Część milczy, licząc na oddalenie pozwu z przyczyn formalnych. Ci z kolei, którzy do pozwu się odnieśli, argumentują, że należało zapewnić „uczciwe przychody z rynku” wszystkim funkcjonującym na nim podmiotom. Rzecznik prasowy Teva USA poinformował w oświadczeniu, że zarzuty zмовы cenowej i nielegalnych praktyk nie mają pokrycia w rzeczywistych danych płynących z rynku. Dodał też, że nawet jeśli inne firmy dopuszczały się niezgodnego z prawem ustawiania cen, to Teva w kartelu nie brała udziału i nie może ponosić odpowiedzialności za poczynania pozostałych graczy w branży. Wreszcie z wypowiedzi rzecznika można się dowiedzieć, że podwyżki cen leków spowodowane są rosnącymi kosztami pracy oraz koniecznością inwe-

stowania coraz większych środków w badania, rozwój, proces patentowania i późniejszą reklamę nowych leków. Zwłaszcza te ostatnie słowa brzmią nie do końca wiarygodnie w ustach przedstawiciela firmy Teva USA, która w praktyce (podobnie jak inni giganci) nie patentuje już nowych leków, a przychody osiąga dzięki całej gamie generyków.

Według śledczych stanowych z Connecticut, wspieranych w przygotowywaniu pozwu przez urzędników z innych części kraju, zмова cenowa trwa na amerykańskim rynku farmaceutycznym co najmniej od 2012 r., może nawet dłużej. Jednak to wtedy pierwszy raz zrobiło się głośno o skokowym wzroście cen. Z każdym kolejnym rokiem sytuacja wyglądała gorzej. W przeszło 500-stronicowym pozwie prokurator stanowy wymienia aż 86 wyprodukowanych przez Teva USA leków, głównie generycznych, których ceny w latach 2013-2015 wzrosły od kilkudziesięciu do kilkuset procent. Pozostali domniemani uczestnicy kartelu

Kilkusetprocentowe podwyżki cen objęły leki na cukrzycę i nadciśnienie, preparaty obniżające cholesterol i zmniejszające ryzyko zawałów.

mogli się pochwalić podobnymi statystykami. Za sprawą kilkuset specyfików o sztucznie zawyżonych cenach i przez brak skutecznej pomocy ze strony państwa (w USA nie ma federalnych rzeczników obywatelskich, takich jak np. rzecznik praw pacjenta) rynek kształtują nietykalne korporacje. Rynek, na którym bardzo często chodzi o ratowanie ludzkiego życia.

Rząd nic nie widział

Na tym etapie postępowania trudno mówić o szansach oskarżenia na zwycięstwo. Pozew może bowiem zostać odrzucony z powodu konfliktu między regulacjami stanowymi a prawem federalnym. Sędzia Andrew Napolitano, konserwatywny teoretyk prawa i ekspert stacji Fox News, zwrócił w tym kontekście uwagę na rozbieżności w kompetencjach organów administracyjnych. Jego zdaniem pozew złożony wspólnie przez władze 44 stanów wygląda co najmniej nietypowo w amerykańskim prawie, biorąc pod uwagę fakt, że

sprawą nie chciał się zająć Departament Sprawiedliwości, czyli śledcza instytucja federalna. Przy takim oskarżeniu, obejmującym prawie cały kraj, interwencja Waszyngtonu wydaje się konieczna. Tymczasem rząd federalny podnoszeniu cen leków generycznych się przyglądał, ale nieprawidłowości nie stwierdził.

Teraz jednak temat wrócił na pierwsze strony gazet. I, po części z powodu ruszającej już powoli kampanii prezydenckiej przed wyborami w 2020 r., zainteresował polityków z obu dominujących obozów. W obronie pacjentów stanęła Elizabeth Warren, senatorka Partii Demokratycznej i jedna z faworytek do opozycyjnej nominacji prezydenckiej w przyszłym roku. Warren, znana z wieloletniej walki z monopolami rynkowymi i pozaprawnymi układami m.in. firm ubezpieczeniowych i banków inwestycyjnych, zaapelowała do rządu federalnego o nowe regulacje cen leków i wsparcie śledztwa stanowego zasobami Departamentu Sprawiedliwości.

Przeciwko zmovie cenowej wystąpił też Donald Trump, choć z nieco innego powodu. Najbardziej dostało się oczywiście tym firmom, które nie mają większościowego kapitału amerykańskiego i nie lokują w USA dużej części swojej produkcji, jak chociażby szwajcarski Roche. Prezydent dodał też, że naturalnie sprzeciwia się kartelom, bo zawsze stoi w obronie wolnego rynku (choć mnóstwo jego decyzji w polityce gospodarczej wygląda dokładnie odwrotnie). Deklaracje polityków mogą jednak niewiele dać, bo lobby farmaceutyczne jest jedną z najpotężniejszych grup wpływu w Waszyngtonie. Niejedną z firm wymienionych w pozwie z Connecticut wpłaca wielomilionowe dotacje na kampanie polityków obu dużych partii. Zasiadający w Kongresie demokraci i republikanie doskonale zdają sobie sprawę, że pieniądze od farmaceutycznych gigantów mogą być kluczowe dla ich wyborczego sukcesu. I niewiele znaczy fakt, że czasem są to pieniądze zarobione dosłownie kosztem życia pacjentów. ■

Rebelia przeciw wymieraniu

Za 16-letnią Szwedką walczącą o zatrzymanie zmian klimatu idą setki tysięcy ludzi na całym świecie

Tomasz Borejza

– Prawdopodobnie nie mamy przed sobą przyszłości. Dlatego że przyszłość ta została sprzedana, aby mała liczba ludzi mogła zarobić niewyobrażalne kwoty pieniędzy. Jest nam kradziona za każdym razem, gdy powtarzacie, że wszystko jest możliwe i żyje się tylko raz – to fragment przemówienia, które 16-letnia Greta Thunberg wygłosiła niedawno w brytyjskim parlamencie. Mówiła o tym, że filozofia, która dziś napędza świat, powoduje, że przekraczamy granice wytrzymałości planety. Co oznacza, że dzisiejsze pokolenia żyją na kredyt przyszłych. Kiedy bowiem załamię się ekosystem, od czego jesteśmy o krok, zapłaci za to pokolenie Greta. Tak młoda Szwedka przemawia we wszystkich najważniejszych zgromadzeniach Europy. Słuchają jej, bo jest liderką jednego z najważniejszych europejskich ruchów społecznych.

Nasza niegdyś zielona i błękitna planeta stała się betonowo-plastikowym centrum handlowym.

W sierpniu zeszłego roku Greta zdecydowała, że wobec obojętności dorosłych na zmiany klimatu rozpocznie strajk i zamiast do szkoły, będzie chodzić przed parlament w Sztokholmie i tam protestować. – Byłam bardzo sfrustrowana, że nic nie zostało zrobione w związku z kryzysem klimatycznym, i czułam, że muszę coś zrobić, cokolwiek. A czasami NIErobienie niczego – jak siedzenie przed parlamentem – mówi o wiele głośniejszy niż krzyk – opowiadała później. Ten z pozoru drobny gest uruchomił lawinę. Informacja o proteście Greta, wraz z opublikowanym przez nią listem, którego tezy złożyły się na coś w rodzaju manifestu zainicjowanego przez nią ruchu, stały się interneto-

wym wiralem. W jej ślady wkrótce poszli inni.

Strajk dla klimatu

W grudniu 2018 r. został opublikowany raport IPCC (Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu), z którego – w największym skrócie – wynika, że jeżeli chcemy uniknąć katastrofalnych skutków zmian klimatu, musimy utrzymać jego ocieplenie się na poziomie 1,5 st. C w porównaniu do początku epoki przemysłowej. To z kolei oznacza, że do 2030 r. musimy o 45% zmniejszyć emisję dwutlenku węgla do atmosfery, a do roku 2050 gospodarka całego świata musi się stać pod tym względem neutralna.

Opisy tego, co będzie się działo, w miarę jak planeta będzie się ocieplać, przypominają katastroficzną *science fiction*. Nie są jednak fikcją, tworzą je poważni naukowcy. Prognozy zapowiadają m.in. rozpad ekosystemu. Dotyczą jednak przyszłości, więc można je od siebie odsuwać.

Szczególnie łatwo przychodzi to politykom, bo w ich fachu ponoszenie kosztów dzisiaj, by korzyści odczuć za 20, 30 lat, nie jest popularne.

A przynajmniej przychodziło łatwo, dopóki Greta Thunberg nie zmieniła perspektywy, z której patrzy się na zmiany klimatu. W liście-manifeście, który ogłosiła, rozpoczynając strajk, napisała: „Jeżeli dożyję 100 lat, będę żyć jeszcze w 2103 r. W 2078 r. będę obchodzić 75. urodziny. Jeżeli będę mieć dzieci lub wnuki, może będą chciały świętować ten dzień ze mną. Może opowiem im o was? Jak chcecie być zapamiętani? To, co teraz zrobicie lub czego nie zrobicie, wpłynie na całe moje życie i życie moich dzieci oraz wnuków”.

Te zdania zaczęła wkrótce powtarzać młodzież na całym świecie.

W grudniu 2018 r. – cztery miesiące po pierwszym, jednoosobowym strajku Greta w Sztokholmie – młodzi ludzie protestowali w 270 miastach. W styczniu tylko w Szwajcarii i Niemczech na ulice wyszło 45 tys. uczniów. W lutym w Wielkiej Brytanii naliczono 15 tys. protestujących, a strajki odbyły się też w Australii, Nowej Zelandii i Ugandzie. W marcu protest objął już ok. 1,5 tys. miast w ponad 70 krajach. Jednym z jego haseł było: „Zmienimy los ludzkości, czy wam się to podoba, czy nie”. Kiedy powtórzył się w maju, w samej Brukseli na ulice wyszło kilkadziesiąt tysięcy uczniów. W Polsce marsze w obronie klimatu zorganizowano 24 maja.

Mówcie prawdę!

Znaczenie ruchu młodych starano się umniejszać, wskazując brak doświadczenia, wiedzy oraz znajomości tematu. Zareagowali na to naukowcy i w kolejnych krajach zaczęto publikować listy otwarte, które wspierały postulaty młodzieży. 350 holenderskich naukowców stwierdziło po prostu: „Młodzież ma rację”. 224 pracowników brytyjskich uczelni zadeklarowało: „Młodzi mają wszelkie prawo być źli na przyszłość, którą im przekażemy”. Podobny list podpisał przeszło 700 badaczy w Niemczech. A w liście, pod którym podpisało się ponad 200 polskich naukowców, można przeczytać m.in.: „Niniejszym zdecydowanie potwierdzamy, że w środowisku naukowym panuje konsensus, wskazywany przez młodzież jako podstawa ich oburzenia i protestu: klimat się ociepla, a przyczyną tego jest działalność człowieka”. Ludzie związani z nauką dotaczali też do protestu młodych.

W Wielkiej Brytanii narodził się ruch o nazwie Extinction Rebellion, co najlepiej przetłumaczyć jako Rebelia Przeciw Wymieraniu. Inicjatorzy, szybko wsparci przez środowiska naukowe, wyliczają swoje cele: „Zatrzymać katastrofę klimatyczną, po-



24 maja młodzieżowy marsz w obronie przyrody zorganizowano w Warszawie i 15 innych polskich miastach.

wstrzymać utratę bioróżnorodności, zminimalizować ryzyko wymarcia człowieka oraz załamania się ekosystemu”. Metoda, po którą sięgnęli, to nieposłuszeństwo obywatelskie, a kieruje nimi przekonanie – zgodne z modną ostatnio teorią Eriki Chenoweth z Harvardu – że do wywołania zmiany społecznej nie jest potrzebne zdobycie poparcia ponad połowy obywateli. Wystarczy w swoją sprawę aktywnie zaangażować 3,5% społeczeństwa. By to zrobić, przeprowadzają spektakularne akcje.

Podczas jednej z kluczowych debat dotyczących brexitu członkowie Extinction Rebellion stanęli nago na galerii. Na ciałach mieli wypisane m.in.: „Mówcie prawdę!”. Prawdę o zmianie klimatu i wielkim wymieraniu gatunków, do którego dochodzi właśnie na Ziemi i które grozi rozpadem ekosystemu. To samo hasło było wymalowane na różowym jachcie, którego użyto w kwietniu do zablokowania ronda Oxford Circus w centrum Londynu. Jacht nazwano Berta Cáceres na cześć zamordowanej działaczki ekologicznej z Hondurasu, a zwolennicy Rebelii Przeciw Wymieraniu zablokowali wtedy na kilka dni cztery kluczowe skrzyżowania i mosty

Londynu. W wyniku tej akcji aresztowano ponad 1000 osób.

Dziś na kredyt jutra

Obojętność polityków na zmiany klimatu jednoczy strajkującą młodzież i uczestników Extinction Rebellion. Gdy Greta Thunberg mówiła o pięciu najważniejszych sprawach, które powinny decydować w wyborach do Parlamentu Europejskiego, wyliczała: „1. Kryzys klimatyczny i rozpad ekosystemu. 2. Kryzys klimatyczny i rozpad ekosystemu. 3. Kryzys klimatyczny i rozpad ekosystemu. 4. Kryzys klimatyczny i rozpad ekosystemu. 5. Kryzys klimatyczny i rozpad ekosystemu”. Jeżeli nie znajdą się one w centrum europejskiej polityki, to nic innego nie ma znaczenia. Pieniądzy, dodawali jej zwolennicy, nie da się przecież jeść, a jeśli polityka światowych liderów się nie zmieni, być może niedługo łatwiej będzie o pieniądze niż o jedzenie.

Z kolei po ogłoszeniu przez ONZ dramatycznego raportu o wymieraniu gatunków i rozpadzie ekosystemu, zagrażających istnieniu ludzi na Ziemi, Greta Thunberg pytała: „Gdzie są żółte paski w telewizjach? Gdzie są

pierwsze strony gazet? Co może być ważniejszego?”.

Jednak nie tylko tematy łączą ruchy klimatycznego protestu. Ich wspólnym fundamentem jest przekonanie, że obecny porządek społeczno-gospodarczy doprowadzi planetę do katastrofy. Dlatego oprócz walki ze zmianami klimatu – bo to byłoby wyjątkowo płytkie spojrzenie na ich aktywność – domagają się głębokiej przebudowy systemu społecznego i odejścia od neoliberalnych wartości, które zdominowały świat.

Ich diagnoza sytuacji jest zbieżna z tą, którą stawia Yuval Harari. W „Sapiens” izraelski historyk pisał: „Aby przeżyć, współczesna kapitalistyczna gospodarka musi stale podnosić poziom produkcji. Niczym rekin, który do życia potrzebuje wody, ludzkość musi produkować, inaczej bowiem czeka ją upadek. Nie wystarczy jednak tylko produkować. Ktoś musi kupować towary, w przeciwnym razie przemysłowcy i inwestorzy pójdą z torbami. Zapobieganiu tej katastrofie i gwarantowaniu, że ludzie zawsze będą kupować wszystkie nowe wytwory przemysłu, służy nowa postać etyki: konsumpcjonizm”. To powoduje jednak, że przekraczamy granice

► możliwości środowiska naturalnego, uruchamiając procesy, które mogą je zniszczyć.

„Nasza niegdyś zielona i błękitna planeta stała się betonowo-plastikowym centrum handlowym”, krótko streścił to Harari. Odpowiedzią coraz większej liczby ludzi, szczególnie młodych, jest więc antykonsumpcjonizm. Mówią: „Nie chcę mieć więcej, bo nie potrzebuję więcej. Chcę żyć lepiej, ale nie mogę, bo świat każe biec za rzeczami, których nie tylko nie potrzebuję, ale których produkcja niszczy w dodatku zasoby naturalne naszej planety. Zasoby, których będziemy potrzebować w przyszłości, a których nie będzie, bo ludzie kupują kolejny niepotrzebny telewizor, samochód lub parę butów”.

Towarzyszy temu podkreślanie, że logika współczesnego świata polega na budowaniu dobrobytu kosztem młodego pokolenia. Konsumujemy nie tylko więcej, niż potrzebujemy, ale też więcej, niż może nam dać Ziemia. A to prosta droga do katastrofy, za którą zapłacą nasze dzieci i wnuki.

To rewolucyjny przekaz. Rewolucyjny, bo podważa istotę obecnego systemu społeczno-gospodarczego opartego na oprocentowanym kredycie. Jedyną gwarancją spłaty takiego kredytu jest nieustanny wzrost gospodarczy. Ten zaś wymaga klientów nastawionych na ciągle rosnącą konsumpcję, a nie takich, którzy zadają proste skądinąd pytania: „Po co mi kolejny telewizor?”

Coraz więcej młodych ludzi mówi: Nie chcę mieć więcej, bo nie potrzebuję więcej.

Dlaczego muszę mieć samochód, skoro są autobusy? Czy muszę lecieć na plażę na drugi koniec świata, skoro i tu są plaże?”. To ostatnie, znów za sprawą Greta Thunberg, stało się zresztą symboliczne. 16-letnia Szwedka odmawia latania samolotami, tłumacząc to ich wysokim śladem węglowym. Zamiast tego po Europie jeździ pociągami. Szczególnie uderzające było, kiedy zdecydowała się na taką podróż na Światowe Forum Ekonomiczne w Davos, by mówić do światowych

liderów, którzy przylecieli tam prywatnymi odrzutowcami.

O tym, jak nośny jest to przekaz i jak duży ma potencjał dla młodego pokolenia, najlepiej świadczy liczebność protestów. Trudno zresztą się dziwić, bo świat, w którym ludzi ocenia się po zawartości portfela i stanie posiadania, nie jest specjalnie atrakcyjny. Widać już, mówią młodzi, że

obecny model jest nie do utrzymania, bo nie wytrzyma go planeta. I wskazują, że im szybciej i bardziej świadomie od niego odejdziemy, tym łatwiej będzie zapanować nad skutkami zmiany. Co oznacza konieczność przyjęcia nie tylko nowych wartości, ale też nowego systemu. Trudne zadanie, ale młodzież twierdzi, że nie ponad jej siły. „Poza tym – dodaje Greta, kierując te słowa do dorosłych – nie zostawiliście nam innego wyjścia”.

Tomasz Borejza



LIVE NATION BY ARRANGEMENT WITH SOLO

SUZANNE VEGA

17 CZERWCA 2019
KLUB STODOŁA • WARSZAWA

BILETY: STODOLA.PL | LIVENATION.PL

STODOLA

WWW.SUZANNEVEGA.COM

LIVE NATION

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Lizanie ran

WTeatrze Dramatycznym w Pałacu Kultury piękna uroczystość przyznania Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za Reportaż Literacki, nie bez akcentów politycznych, i to mocnych. Daję głowę, że w tej wypełnionej po brzegi sali nie ma ani jednego wyznawcy PiS, a jakby wszedł minister kultury, zostałby wygwizdany. Od razu wpadam na Maćka Bielawskiego, kilka felietonów temu pisałem z entuzjazmem o jego książce „Dom z dwiema wieżami”. Ściskamy się, mówi (kokiet): „Wiedziałem, że mnie nie opuścisz w biedzie”. Obok Michnik, który nadal się na mnie dąsa, ile to lat... Od roku '88? Ma kondycję w gniewaniu się, dożywocie.

Przedstawianie kandydatów do nagrody, wiele mądrych słów, dobra literatura, muzyka. Jest werdykt. Bielawski zdobywa nagrodę! Zrywam się na równe nogi albo tak mi się zdaje – na jedno wychodzi. Jego książka to psychologiczne śledztwo – autor tropi losy rodziców, ich korzenie, ojciec słynny psychiatra, szlachecka tradycja, matka z żydowskiej rodziny. W czasie wojny on w luksusowym oflagu, ona w getcie. Ta opowieść przypomina misternie rzeźbione pudełko pełne błyskotliwych refleksji. Niezwykłe połączenie chirurgicznej precyzji z poetyckością opisów. Bielawski pisze: „Polski antysemityzm, tak należy mówić. Nie antysemityzm w Polsce. Zupełnie własna paranoja, uszyta na miarę dla Polski. Ekstremalnie odporna na zużycie. Przeżywająca, okazuje się, w każdych warunkach, nawet bez Żydów. Tak dopasowana, że musiała powstać w laboratorium”. Nic dziwnego, że tak go interesuje antysemityzm, skoro dlatego musiał opuścić Polskę, by stać się cenionym szwedzkim publicystą. Czuję pokrewieństwo z jego sytuacją psychologiczną, moje korzenie są lustrzanym odbiciem: ojciec żydowskiego pochodzenia, matka z korzeniem polskich tradycji wolnościowych, jej ojciec był legionistą, zawodowym żołnierzem, bohaterem trzech wojen, w tej ostatniej zginął. Obaj dowiedzieliśmy się o swoim jednym żydowskim korzeniu już niemal jako dorośli. Maciek wyjechał, tak chciała matka. Mnie ta sytuacja chyba tylko uwrażliwiła na wszelkie odmienności. On przeżył szok emigracji i dramat zagubienia tożsamości. Ta książka jest walką o jej odzyskanie.

Wychodzę w nocy z Pałacu Kultury, las wieżowców wyrósł obok daru Stalina, niektóre fantastycznie oświetlone. Poruszający wielkomiński widok. Wszędzie dużo młodości, knajpy, światełka elektrycznych hulajnóg. Jakby to był normalny, zamożny kraj.

Celnie powiedział Michnik ze sceny: „PiS udało się stworzyć antysemityzm bez Żydów, niechęć do islamu bez muzułmanów, nienawiść do inteligencji już być może wkrótce bez inteligencji”. To prawda, PiS obudziło w Polsce chyba wszystkie demony z naszej kolekcji demonów i nawet kilka dodało. Z kronikarskiego obowiązku wyliczam wszystkie dopływy rzeki wygranej PiS: straszenie ludzi, że „oni” zabiorą to, co dało PiS, wprowadzą euro i wszystko podrożeje, będą tym LGBT uczyć seksu dzieci, atakują wiarę i nasz Kościół, Żydzi przyjdą i zabiorą kamienice. Ważną rolę odegrały kłamstwa telewizji publicznej. Dzięki dobrej koniunkturze gospodarczej PiS mogło dawać cudowne prezenty. Ma też swój udział w porażce koalicji brak charyzmatycznego przywódcy i brak wizji. Obdarowany i wdzięczny lud poszedł do urn wyborczych, babcie wiejskie pocztowały bronić Kościoła, przecież nasz proboszcz dobry dla dzieci. Symboliczne jest to, że najlepszy wynik wyborczy miała Beata Szydło. Jak się pojedzie na polską prowincję, to we wsiach i w miasteczkach na każdym kroku spotykamy

PiS obudziło w Polsce chyba wszystkie demony z naszej kolekcji demonów i nawet kilka dodało.

klony Szydło, lud głosował na swoje sąsiadki. Pociesza, że Parlamentu Europejskiego nie zdominowali populiści i wrogowie Unii. Wrażenie robi tam świetny wynik Zielonych. Znak, że ludzie na Zachodzie zrozumieli, że zmierzamy da samozagłady. A jak jest w Polsce? Słabiotko. PiS myśli Starym Testamentem: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi”. To jest „nowoczesne” kredo rządzących. Polska węglem stoi. A globalne ocieplenie? Może tak, a może nie, jakoś to będzie.

Ranek po wyborach, budzę się zgnębiony. Trochę zimno, trochę obco we własnej ojczyźnie. Wiem od dziesiątków moich znajomych, że budzili się w poczuciu, jakby im ktoś umarł. Umarła nadzieja, że nie zakończymy życia w kraju rozdartym i skłóconym, w toksycznej atmosferze pełnej nienawiści i gniewu.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Europejski pochód populistów

Wygrana PiS potwierdza ogólnoeuropejski trend przesuwania się sympatii opinii publicznej coraz bardziej na prawo

Radostaw S. Czarnecki

Wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego nie pozostawiają złudzeń. Prawo i Sprawiedliwość wygrywa zdecydowanie, a wszelkie nadzieje, że budowany od Sasa do Lasa alians polityczny pod hasłem anti-PiS może przełamać monopol rządów ultrapravic w naszym kraju, spaliły na panewce. Najgorsze jednak, że liderzy tej „koalicji rozpaczy” znów nic nie rozumieją z tego, co dzieje się wokół. Zwłaszcza kierownictwo Platformy Obywatelskiej. No ale trudno o inne wyniki, kiedy pozostaje się pod wpływem neoliberalnych miazmatów w rodzaju przemówień Ronalda Reagana czy książki Margaret Thatcher. A na tym opiera się guru Koalicji Europejskiej Grzegorz Schetyna, o czym w jednym z wywiadów raczył poinformować opinię publiczną, na co mało kto zwrócił uwagę. Czyli rynek über alles, prywatyzacja, wyścig szczurów



Przywódcy partii nacjonalistycznych spotkali się przed eurowyborami w Mediolanie. Nz. od lewej Geert Wilders (Holandia), Gerolf Annemans (Belgia), premier Włoch Matteo Salvini, Marine Le Pen (Francja), Boris Kollar (Słowacja) i Veselin Mareszki (Bułgaria).

Ale wszystkie te dywagacje, rozdieranie szat przez przedstawicieli Koalicji Europejskiej i nadwiślańskich komentatorów pomijają jeden, zasadniczy problem: nie widzą oni sukcesu PiS w perspektywie trendów, jakie daje się zaobserwować na naszym kontynencie. Co prawda, tzw. populiści i skrajna prawica

wokół Emmanuela Macrona, w Wielkiej Brytanii (a w zasadzie w Anglii i Walii) zdecydowany sukces Nigela Farage'a, w Austrii – *status quo* mimo afery korupcyjnej jednego z liderów ultrapravicowej FPÖ. We Włoszech zwyciężyła partia Salvini (na dodatek do Parlamentu Europejskiego z ramienia Forza Italia

O seksaferze w kręgach biznesowych przeczytajcie w nowym numerze tygodnika „NIE”.



Rosnąca w Europie popularność skrajnych ugrupowań jest efektem dogmatycznego wdrażania doktryny neoliberalnej.

nie zdobyli pozycji umożliwiającej sparaliżowanie prac Parlamentu Europejskiego i odwrócenie – nie tak jednoznacznie świetlanych, jak przedstawia to polski mainstream – dokonań brukselskiej technokracji, ale wyraźnie widoczne jest przesuwanie się sympatii opinii publicznej coraz bardziej na prawo. Choć z drugiej strony wzrosło zainteresowanie ruchem Zielonych wymykającym się z dotychczasowego podziału sceny politycznej.

We Francji zwycięstwo Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen nad establishmentem skupionym

dostał się Silvio Berlusconi), w targanej kryzysem i biedą Grecji rządząca Syriza przegrała z chadecką Nową Demokracją (neofaszystowski Złoty Świat dostał tyle głosów, ile radykalna lewica), w belgijskiej Flandrii quasi-faszystowski Vlaams Belang zdobył prawie 20% głosów (jest na drugim miejscu), w Hiszpanii do europarlamentu z ośmioprocentowym poparciem weszła nowo powstała ultrapravicowa partia VOX, na Węgrzech Viktor Orbán znokautował konkurentów, zdobywając 56% głosów. W Estonii utrzymała pozycję współrządząca partia panów Helme

– ojciec i syn to liderzy EKRE – atakowana z różnych stron za poglądy jawnie rasistowskie i ksenofobiczne, by nie rzec faszystowskie. No i Niemcy. Tu symptomatyczny jest nie sukces Zielonych wyrastających na drugą siłę polityczną nad Renem, ale zdobycie przez faszyzującą, ksenofobiczną partię AfD niewiele mniej głosów (ponad 10%) niż stateczna, do tej pory pozostająca ostoją europejskiej socjaldemokracji SPD.

Wyniku polskich wyborów, zwłaszcza na tle wyników ogólnoeuropejskich, nie można rozpatrywać w perspektywie lokalnej, nadwiślańskiej. Nie są one efektem jakiejś metafizycznej iluminacji wielkich grup wyborców. Rosnąca popularność w Europie ugrupowań

kowych, celebrytów ani mainstreamu to nie dotyka. Takie są masowe odczucia w Europie i nieważne, na ile są one prawdziwe, a na ile wykreowane i podtrzymywane populistyczną narracją. I właśnie te odczucia spowodowały określone decyzje wyborcze.

Narzekania na kiepską świadomość i niezrozumienie procesów społecznych oraz wyzwań dzisiejszego świata, na brak samodzielnego i krytycznego myślenia, rozlegające się wszędzie, w Polsce, w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, we Francji czy we Włoszech, związane są z lekarstwem zalecanym społeczeństwom przez mainstream. Prywatyzacja edukacji czyniąca spustoszenia w publicznej oświacie i zdobywaniu

We wszystkich państwach OECD obserwuje się spadek realnej siły nabywczej przeciętnego wynagrodzenia.

skrajnych, o szowinistycznym, często faszystowskim zabarwieniu, bierze się z dogmatycznego wdrażania od kilku dekad doktryny neoliberalnej, prowadzącej do gwałtownego rozwarstwienia społeczeństw, rozbijania wspólnot lokalnych, pauperyzacji mas ludowych i degradacji klasy średniej mającej być ostoją demokracji, wolności obywatelskich, tolerancji, swobody słowa i mediów, państwa prawa itd.

Tezę tę potwierdzają różne badania i raporty. 1% najbogatszych ludzi na świecie zgromadziło taki majątek jak ponad połowa ludzkości. W Polsce ok. 10% populacji skupia 40% PKB. Pogłębiają się stratyfikacja i hierarchizacja społeczeństw. Jest superbogata wąska elita i są ubożące masy, które jednak mają (jeszcze?) możliwość zamanifestowania czegoś kartą wyborczą.

We wszystkich państwach OECD obserwuje się spadek realnej siły nabywczej przeciętnego wynagrodzenia w ostatnich 40-50 latach. Bonusy w postaci obniżek podatków dla najbogatszych, zblatowanie polityków z sektorem finansowo-bankowym, flirt z wielkim kapitałem, niebawem ulgi dla najlepiej zarabiających przy równoczesnym ubożeniu społeczeństw – wszystko to sprawia, że ludzie tracą zaufanie do demokracji. Zaciskać pasa ma społeczeństwo. Elit finansowo-spekulacyjnych i ban-

wiedzy, stwarzająca barierę finansową dla coraz większej liczby młodych ludzi, przez co nauka na najwyższym poziomie staje się elitarna, to prosta droga do „wieków ciemnych”, jakie mogą ogarnąć masy ludowe i spauperyzowaną klasę średnią.

Wyjątkowo groteskowe są także komentarze i analizy o niestychanie istotnej, niemalże demonicznej, roli Kremla i jego medialnej propagandy w tych procesach, mających osłabić, a nawet rozbić Unię Europejską.

Pochód populistów, a raczej nacjonalistów, szowinistów i ksenofobów, często jawnych faszystów, jest pokłosiem ćwiczeń z doktryny neoliberalizmu, jakie elity polityczne zaordynowały społeczeństwom Unii. Oraz paraliżu intelektualnego i politycznego najszerzej pojętej lewicy. Lewica po upadku muru berlińskiego też zachłystnęła się tymi ideami, nie umiając przewidzieć efektów ultrarynkowych i hiperkapitalistycznych terapii. Tworzyła jakieś „trzecie drogi” (Blair) czy „agendy” (Gerhard Schröder), zapominając o korzeniach, bazie i zapleczu swojej politycznej egzystencji. Zgubiła w tej naiwności istotę myśli Johna M. Keynesa, że „kapitalizm to przedziwna wiara w to, że działania najbardziej pazernych ludzi motywowane najbardziej ordynarnymi pobudkami przyniosą korzyści całemu społeczeństwu”.

KSIĄŻKI

Alicja Wejner

Azymut wspólna Europa Jastrzębowski

Wydawnictwo Jagoda, Warszawa 2019



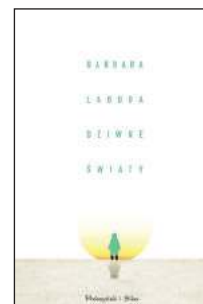
Bez ryzyka można napisać, że o bohaterze książki Alicji Wejner nawet nasi czytelnicy nie słyszeli. Żal. Bo powinien być w Polsce znany. I uznany. Jako autor pierwszej w historii „Konstytucji dla Europy”. Wojciech Bogumił Jastrzębowski napisał ją wtedy, gdy o Unii nawet nie marzono. Podczas powstania listopadowego 1830 r. Był wizjonerem. Pozytywistą. Botanikiem. Wynalazcą.

Wielkim fanem i popularyzatorem Jastrzębowskiego jest wybitny aktor Olgierd Łukaszewicz. Założyciel Fundacji „My Obywatele UE”, której patronem jest właśnie Jastrzębowski. Do grona osób przywracających pamięć o jego życiu i pracy dołączyła znana dziennikarka Alicja Wejner. Lektura obowiązkowa dla myślących. JeD

Barbara Labuda

Dziwne światy

Prószyński i S-ka, Warszawa 2019



Była opozycjonistka, działaczka na rzecz praw kobiet, minister i ambasador swoje poetyckie obserwacje zawarła w wierszach tworzących świat złożony z epok, przez które przechodzi droga człowieka. Stworzyła rodzaj poetyckiego poradnika dla ludzi wrażliwych. Książka zawiera też dedykowane bliskim opowiadanki filozoficzne o sensie życia. Czytelnik przekonuje się, że najlepszym przewodnikiem jest życzliwy uśmiech.

Wieczna szkolna prowizorka

Na wszelkie protesty środowisk nauczycielskich kolejne rządy pozostawały głuche przez 20 lat

Marta Michalicka-Ipnarska

Obserwując dyskusję o problemach w szkolnictwie i roszczeniach nauczycieli, warto przypomnieć sobie ciąg zdarzeń, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Dwie dekady zmian, a jedyne, co mają szkoły, to obowiązki, przeładowane programy i złe warunki pracy uczniów i nauczycieli: brak wyposażenia i pracowni przedmiotowych oraz niezapewnienie warunków socjalnych.

Dwie dekady to czas reform systemu oświaty opartych jedynie na wymuszaniu na nauczycielach przyjęcia nowego, niekonsultowanego z zainteresowanymi „proreformatorskiego” sposobu myślenia. Sposobu, który miał ukryć rzeczywistą nędzę przygotowanych ofert, jakimi cechowały się wprowadzane reformy. Na wszelkie protesty środowisk nauczycielskich kolejne rządy pozostawały głuche.

Zaczęto się od wprowadzenia gimnazjów. Była to dziwna reforma, bo najmniej o niej wiedzieli sami zainteresowani – nauczyciele i rodzice. Gdy istnienie gimnazjum stało się faktem, okazało się, że to właśnie nauczyciele mają przeprowadzić tę reformę. Istotne braki metodyczne zaczęto zastępować systemem nakazów i gróźb, rysując wizję ewentualnych konsekwencji personalnych skierowanych zarówno pod adresem dyrektorów, jak i nauczycieli. Reformatorzy oczekiwali natychmiastowego wykonania założeń reformy, a przy tym przekonywali nauczycieli o szczęściu, jakie ich spotkało w związku z reformą, która powinna motywować do pracy. W tym celu nasyłali na szkoły „trójki” – osoby „szkolące” rady pedagogiczne, które często obrażały nauczycieli.

Wprowadzana reforma wymusiła na nauczycielach aktywność w sferze, która nie była im znana, a często kolidowała z rzeczywistymi obowiązkami dydaktycznymi. Chodzi tu o tworzenie nowych statutów i regulaminów szkół. Nauczyciele stali się prawnikami rozpatrującymi swoiste kazusy czy

psychologami rozwiązyjącymi, dodajmy – bez właściwego przygotowania, problemy psychologiczne uczniów (brak etatów pedagogów szkolnych). Za te bezwartościowe w sensie edukacyjnym godziny ciężkiej pracy nigdy im nie zapłacono.

To, że w takiej sytuacji gimnazja zaczęły funkcjonować, nie jest zasługą ministerstwa, lecz nauczycieli, którzy w trosce o uczniów i ich przyszłość, mimo medialnej agresji, podjęli wysiłek urealnienia fantazji twórców reformy, wsparli uczniów i pomogli im odnaleźć się w nowej sytuacji. Za ten wysiłek także nie usłyszeli do dzisiaj nawet słowa dziękuję.

Reforma nie tylko nie wprowadziła do szkół nowoczesności i realnej przestrzeni do rozwoju uczniów, ale też – wbrew założeniom jej podstawy programowej – nie zapewniła wsparcia procesu dydaktycznego odpowiednim sprzętem czy stworzeniem pracowni przedmiotowych. Szkoły nie otrzymały żadnych finansowych środków, aby tę sytuację poprawić. To nauczyciele, poświęcając swój czas i środki, wspierali rozwój uczniów. Dzięki takim działaniom reforma gimnazjum się udała. Czy jednak praca nauczycieli ma polegać na doraźnym łataniu wszelkich edukacyjnych dziur? Opierać się na wiecznej prowizorce, na zastępowaniu lekcji laboratoryjnych „gadającą głową” nauczyciela i przekonywaniu uczniów oraz rodziców, że jakoś to będzie?

Reforma wprowadziła również do środowiska nauczycielskiego poczucie nieufności, bezsilności i atmosfery zastraszenia. Do tego spowodowała rozbięcie więzi społecznych nauczycieli poprzez obniżanie ich autorytetu. To grzechy tamtych czasów, jednak ten stan cały czas trwa i w obliczu wprowadzania nowej reformy podobnymi metodami nadal utrudnia rozwój szkół.

Należy też pamiętać, że stwarzanie właściwych warunków pracy w szkole jest warunkiem odpowiedniego poziomu procesu nauczania. To nie jest zachcianka współczesnego nauczyciela, absolwenta dobrej uczelni, który ma głowę nabitą ideałami, lecz konieczność wynikająca z potrzeb rozwojowych młodzieży. Jednak ani poprzednia, ani obecna reforma nie poprawiły warunków dydaktycznych w większości szkół. I co gorsza, nie ma też takich planów na najbliższą przyszłość, co w sytuacji nadchodzącego nowego roku szkolnego i kumulacji roczników jest sytuacją kuriozalną.

Wobec szkoły i nauczycieli konsekwentnie uprawia się czarny PR. Ogranicza to i tak już mocno zawężony obszar działań edukacyjnych na rzecz ogólnej roszczeniowości i agresji. Podnosi się argumenty o misyjności zawodu i obowiązkach wobec uczniów, a zapomina o złych warunkach pracy. Zapomina się, że nauczyciele nie mają właściwych pomocy dydaktycznych, że klasy są przeładowane i nie

ma szans na indywidualizację pracy.

Płacąc podatki, rodzice mają prawo oczekiwać, że ich dzieci będą się uczyły w dobrej szkole, w dobrych warunkach. Umniejszanie pozycji nauczycieli to także obrażanie rodziców, którzy podejmując wysiłek wychowawczy, mają prawo oczekiwać, że szkoła sprostaa ich społeczeństwu uzasadnionym wymaganiom.

Permanentny niedostatek w szkołach traktowany jest przez rządzących jako temat poboczny i marginalny, podobnie jak kwestia niskich wynagrodzeń nauczycieli. A przecież od tego zależy poziom wykształcenia i przygotowania do życia przyszłych obywateli. Sprawa kosztów edukacji traktowana jest przez rządzących jak balast, a powinna być traktowana jak ważna, korzystna lokata. Bo przecież – jak powiedział Staszic – „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

Marta Michalicka-Ipnarska jest nauczycielką fizyki i doktorem nauk społecznych w zakresie pedagogiki UW, ma 20-letni staż pedagogiczny



Echo serca Tuska

Edward Mikołajczyk

Podobno w książce Piotra Gajdzińskiego „Delfin. Mateusz Morawiecki” jest kilka nieprzyjemnych fragmentów, które dzisiejszemu (stan na 29 maja 2019 r.) premierowi RP utrudnią w przyszłości wyniesienie na ołtarze. Pewności nie mam, bo kiedy mogę wybrać między przeczytaniem czegoś nowego o Morawieckim juniorze a nowym Houellebekiem, wybieram „Serotoninę” Francuza. O „Delfinie” zaś wspominam tylko dlatego, że w związku z tą książką Polskie Stowarzyszenie Public Relations

zwróciło się do Rady Etyki PR z prośbą o ocenę kilku faktów. I wtedy zdarzyła się rzecz najciekawsza. Otóż Rada Etyki odpowiedziała swojemu branżowemu stowarzyszeniu, że nie zajmie się zgłoszeniem dotyczącym książki, ponieważ, i to już zacytuję, „nie dysponuje faktograficzną wiedzą pozwalającą na wydanie opinii”. W tłumaczeniu na język nieurzędowy znaczy to mniej więcej tyle: odwalcie się, koledzy, niby skąd mamy wiedzieć, czy to prawda, i niby kogo mielibyśmy o coś pytać?!

Oczywiście rady etyki nie muszą na co dzień zajmować się sprawdzaniem faktów opisywanych w książkach, ale tu mamy sytuację nietypową. Autor „Delfina” był wieloletnim rzecznikiem banku i współpracownikiem prezesa Morawieckiego juniora, wręcz jego PR-owcem. Należałoby się zatem dzisiejszym pracownikom *public relations* solidnie objaśnić-

TVPiS nadaje już bez żadnego trybu i poza porządkiem etycznym obowiązującym nie tylko w dziennikarstwie, ale także w PR i reklamie.

nie, czy były PR *man* może narobić w swoje opuszczone gniazdo, czy nie powinien. Czy istnieją okoliczności, którymi da się usprawiedliwić taki czyn? Czy wyłącznie zgoda zainteresowanego powinna rozstrzygać, co po latach (Gajdziński i Morawiecki nie mają już związków z BZ WBK, dzisiaj Santander Bank Polska) można ujawnić z historycznej strategii PR i osobistych dążeń prezesa, tak żeby nie ucierpiała sztuka *public relations*.

Żeby „dysponować wiedzą faktograficzną”, wystarczy wszystkiego się dowiedzieć. Po co komu taka rada, która wiedzieć nie chce i dlatego nie ma zdania, a dowiedzieć

się nie chce, bo np. boi się prawdy? Szanowne Panie i Tacyż Panowie, apeluję do wszystkich członków ciał etycznych, ale zwłaszcza do Grzegorza Szczepańskiego i Piotra Czarnowskiego, ważnych ludzi z branży, którzy już napisali jedenaścioro przykazań i chcą stworzyć jednolity kodeks etyczny. Proszę, bo jeszcze nie jest za późno, weźcie do ręki książkę waszego (byłego?) kolegi po fachu, podzielcie zawartość na kazusy i napiszcie sami, albo poproście o to znanych sobie specjalistów, wyczerpujące studium, które zostanie na długo kompletnym źródłem kodeksowych zasad etyki PR, a przy okazji dobrym *in plus* i *in minus* materiałem do objaśnienia lu-

dziom spoza waszej branży, czym PR jest w istocie i co go odróżnia od dziennikarstwa i od reklamy.

Ja byłem gotów już wcześniej pochwalić projekt panów Szczepańskiego i Czarnowskiego, zanim „Delfin” spadł im z nieba. Ich jedenaścioro przykazań od początku nadawało się na prezent dla Jacka Kurskiego, szefa byłej telewizji publicznej, wydzierżawionej chwilowo PiS do postugi propagandowej. Sądziłem, że da mu do myślenia, kiedy zobaczy, że nawet w branży *public relations* ludzie wpisują sobie jako najważniejszy obowiązek podawanie informacji

wyłącznie prawdziwych i pozbawionych manipulacji. Człowiekowi, który chyba nigdy nie przeczytał ustawy o zadaniach firmy, do której go postano, prezent mógłby przypomnieć w ogóle o istnieniu takich terminów jak rzetelność i obiektywizm.

„Delfin” nieoczekiwanie dał szansę branżowcom, by każdą ze stanowionych teraz zasad etyki podeprzeć bardzo współczesną opowieścią „faktograficzną”. Uczyni to ich kodeksowy zbiór katechizmem bez mała. Szkoda tylko, że już się nie nada na prezent dla Kurskiego, który popadł w recydywę. W roku 2005 uzupełnił rodzinę Donalda Tuska o dziadka z Wehrmachtu, a w piątek 24 maja br. zatrudnił jakiegoś podejrzanego kardiochirurga, który na oczach wyborców odkrył „bardziej Niemcy niż jakikolwiek inny kraj” w sercu przewodniczącego Rady Europejskiej.

TVPiS nadaje już bez żadnego trybu i poza porządkiem etycznym obowiązującym nie tylko w dziennikarstwie, ale także w PR i reklamie. Ciekawe, do kogo uda się w poszukiwaniu prawdy Komisja Etyki TVP, kiedy ktoś przyjdzie z echokardiogramem, który pokaże, że w sercu Tuska jest Mołdawia.



Rozbić namiot na Gobi, patrzeć, jak Bug płynie

Ciekawszy jest ten Wschód – od Podlasia, przez tę cudną i przeklętą Rosję, aż po szalone Chiny. Po prostu – ciekawszy

Rozmawia Piotr Brysacz

Nigdy nie korciło pana, żeby zabrać się z tych gór i postawić dom na Podlasiu?

– W pewnym sensie mam dom na Podlasiu. Rodzinny dom mojego ojca. Dom dziadków. Stoi i niszczeje. W starym sadzie, na skraju wsi. Oddalony. Wśród wysokich topól, jak wszystkie tamtejsze domy. Za wsią, „na kolonii”, jak się mówiło. Spędzałem tam każde wakacje. Teraz jest pusty. Podszyty już wiatrem. Ściany próchnieją, podłoga zapada się. Cała „kolonia” się wyludniła. Po niektórych domach nie ma już nawet śladu.

To ładna opowieść, że tam wracam i odbudowuję. Ale nie. Za ładna. Wbrew przeznaczeniu pewnie by było. Wbrew losowi. Musi się rozpaść, żeby go można było mocniej zapamiętać. Ale tam właśnie zaczynał się, wciąż zaczyna ten mój Wschód.

Na Wschodzie w ogóle umysł lepiej działa. Ma więcej miejsca.

Jeżdżę tam czasem. Niedaleko mieszka ciotka, siostra ojca. Na tej pustoszejącej kolonii. To były pierwsze wyjazdy w świat, samotne, bez rodziców. Na wschód. Dwie i pół godziny pakaesem. Z postojem w Kałuszynie, żeby faceci mogli zapalić. Z dworca „Stadion”. Tak było. Lata 60., lata 70. Nigdy nie chciałem jeździć na zachód. Może gdybym miał tam babkę, dom w starym sadzie. Z dawnym cmentarzem cholerycznym, z kościołem, który kiedyś był cerkwią, z wysokim brzegiem Bugu, wiejskim cmentarzem, gdzie leżeli Romaniuki, Trochimiuki, Iwaniuki, Stasiuk... No ale na zachodzie nie ma takich miejsc. Tak mi się wydaje.

Moja rodzina ze strony ojca pochodzi z Białorusi, ze strony matki – z Ukrainy. Tylko tyle wiem. Nie mam żadnego punktu zaczepienia, aby pojechać i zobaczyć. A jednocześnie odwracam głowę tylko w tamtą stronę... Dlaczego?

– Nie był Pan? Proszę jechać. Po prostu. Zobaczyć pejzaż, cokolwiek, co jest pożywką dla wyobraźni i już jest opowieść. Ludzie rodzą się w miejscach i te miejsca kształtują ich życie – nawet gdy odjadą bardzo daleko.

Z Białegostoku blisko. W Białymstoku jest się wręcz na miejscu. Ja się nigdy nie zastanawiałem „dlaczego”. Instynkt, intuicja, przyciąganie. Zachód mnie po prostu nie ciekawił. W końcu w jakiś sposób jesteśmy z tego Zachodu, a w ostatnich latach próbowaliśmy „wschodniość” wyprzeć, pozbyć się jej, stłumić. I zostaliśmy jak sieroty, jak zdrajcy, jak przeniewiercy własnej tożsamości.

Biedne wsioki udające „Europejczyków”, tak jak nasi wiejscy przodkowie, rodzice, udający mieszczan, którymi nigdy się nie stali. I wciąż cierpiący, bo rana po amputacji chłopskości wcale się nie zabiłiła. Kurde, ciekawszy po prostu jest ten Wschód – od Podlasia, przez tę cudną i przeklętą Rosję aż po szalone Chiny. Po prostu – ciekawszy. Ciasna jest ta Europa. Ciasna jak cholera.

Jak Pilchowi parę lat temu napisałem, że jeżdżę do Rosji, to mi odpisał: „...wiedziałem, kurwa, że to się tak skończy...”. Sam mi wiele lat temu przysłał małą biografię Płatonowa i kazał mi go czytać. To zacząłem. I to jest jeszcze jeden ślad

ANDRZEJ STASIUK

– poeta, pisarz, publicysta

Autor opowiadań („Mury Hebronu”, „Opowieści galicyjskie”), powieści („Biały kruk”, „Dukla”, „Dziewięć”, „Dojczland”, „Taksim”). Za książkę „Jadąc do Babadag” otrzymał w 2005 r. Nagrodę Literacką „Nike”. W 2010 r. wydał „Dziennik pisany później”, a w 2012 r. „Grochów”. Wraz z żoną Moniką Sznajderman prowadzi Wydawnictwo Czarne.

– Płatonow – żeby właśnie na „w” szukać – jeśli nie odpowiedzi – to sensownych pytań.

Poza tym, jak powiedział Daniel Kalder: ciekawe są tylko kraje apokaliptyczne.

No właśnie, przyciąganie. Ale dlaczego? Są przecież cztery strony świata, a pan wybrał „w prawo”. Co w tym świecie na prawo od nas jest lepszego, bardziej interesującego?

– Mnie pytanie „dlaczego” nie zaprząta, ponieważ bardziej zajmuje mnie opowiadanie niż odpowiadanie. Czyli bardziej synteza, odbicie, wrażenie niż analiza. Podobnie nie interesuje mnie „lepsze”. A niby dlaczego ma być „lepsze”? I w czym „lepsze”? „Lepsza” to jest Szwajcaria na przykład. I co z tego? Wyobrażenia z nudów zdycha i tyle. W moim przypadku to jest też śmiertelna niechęć do stada. Jak słyszę gadkę o „europeizacji”, to mam ochotę zebrać się w gacie.

Dlaczego, dlaczego? Proszę rozbić namiot na Gobi, na stepie i się wyjaśni dlaczego. Proszę czytać, rozbijać namiot na Gobi, patrzeć, jak Bug płynie – niczego innego nie będzie, nie ma...

Nawet jeśli niczego innego nie ma, to na Wschodzie mniej się tego boję.



zarazem przejmujące. Przywraca proporcje.

Przy tym Europa to obercywilizowany grajdół. My się tego Wschodu wyrzekliśmy i jesteśmy skończonymi prowincjuszami przez to. Jeżeli w naszej ojczyźnie działają się rzeczy epickie, szalone i szekspirowskie, to na Wschodzie. Sienkiewicz to ostatecznie zamordował, upupił i zrobił literaturę dla młodzieży i ciotek...

To wszystko bierze się również stąd, że w pewnym sensie jesteśmy bękartami Zachodu. Maria Janion ma rację, mówiąc, że „zostaliśmy źle ochrzczeni”. Ta nasza „zachodniość” to przecież wieczny pościg, wieczna próba dorównania, przypodobania, to wieczne merdanie ogonem, przebieieranki. Jednak gdy próbujemy budować samoistną tożsamość, to grzęzniemy w jakimś powiatowym nacjonalizmie, w jakiejś parafiańszczyźnie duchowej i Wschód służy jedynie jako pokarm dla idiotycznej narodowej wzdargy.

Ludzie wracali z Sybiru po dziesięcioleciach zsyłki i tęsknili. Po prostu

– Bo na Wschodzie w ogóle umysł lepiej działa. Ma więcej miejsca. Tak mi się wydaje. Jednych przeraża ta otchłań, a mnie nastraja medytacyjnie. Step – wie pan – to jest coś w rodzaju zmaterializowanej religii. W ogóle przestrzeń to jest przecież jakaś forma absolutu. A to się zaczyna właśnie na wschód od nas. Wisła to *limes*, nie? Dla nas. Dla Niemców pewnie Odra albo i Łaba?

Tam rzeczywiście jest większa zgoda, by się rozpuścić w tej przestrzeni – nawet jak ona skrywa jedynie pustkę. A może właśnie dlatego. **A dla Wolfganga Büschera, który szedł z Berlina do Moskwy, Wschód zaczął się wówczas, gdy przekroczył Narew. Coś musi być w tym podlaskim krajobrazie, jeszcze nie przestrzeń, ale...**

– Podlaski krajobraz to się ciągnie aż po Ułan-Ude i dalej. Z okien Transsi-bu widać domki naszych babć i dziadków. Jak wieczorem wyszedłem na spacer po Irkucku, to to jednak były Siedlce. Dość oddalone, ale Siedlce... **Przestrzeń jest chyba kluczowa w doświadczaniu Wschodu, ta zupełnie inna skala, niedostępna przeciętnemu Europejczykowi.**

– Jak się pojedzie do Rosji, daleko – Syberia, Daleki Wschód – i się to

Ciasna jest ta Europa. Ciasna jak cholera.

zobaczy, ten ogrom, otchłań materii, to przychodzi taka myśl, że ci co tak gadają o Rosji, że taka-śmaka-owaka i że raczej powinna być taka-owaka, czyli wszyscy, bo wszyscy się na jej temat mądrzą, po prostu nie wiedzą, o czym gadają. Nie wiedzą.

Przestrzeń jest ontologiczną podstawą „wschodniego światopoglądu”. Siedzi się w takiej Czystości i wszędzie jest tysiąc kilometrów. A i tak niewiele po drodze się zmienia. To jest nieludzkie, okrutne, ale

tęsknili. Bo ojczyzna jest fajna, ma smak, ale epiki to w tym krajobrazie nie ma. Liryka, smutek. Deszcz, Polska i myszy. Bo człek ma metafizyczną potrzebę uczestnictwa w czymś, co go przerasta, w czymś większym. Nie każdy oczywiście. Ale ta potrzeba jest i przestrzeń ją zaspokaja. Jak się ją raz zobaczyło, to nie można już oderwać myśli. Jako dzieciak siadywałem na wysokim brzegu nad Bugiem, drugi brzeg był płaski, stepowy, po horyzont i tam się było paść, a myśmy ▶

Odeszła

Walentyna Mikołajczyk-Trzcińska

pisarka, tłumaczka literatury rosyjskiej, znawczyni teatru, publicystka kulturalna. Aktywnie działała w polskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych, Klubie Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, Związku Literatów Polskich i Polskim Ośrodku Stowarzyszenia Kultury Europejskiej.

Najbliższym składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Jerzy Domański i redakcja „Przeglądu”

► z wiejskimi chłopakami wzdychali: tam jest Białostockie... Zupełnie jak „tam są Chiny” na przykład, albo „tam już Ussuria”...

Ta metafizyczna potrzeba uczestnictwa w czymś, co człowieka przetrasta, objawia się tam, na Wschodzie, zupełnie innym wymiarem duchowości. To nie jest jałowa, do bólu racjonalna ziemia, lecz ziemia, która rodzi mnóstwo sekt, wyznań, będących zaledwie ułamkiem tego innego, zupełnie od zachodniego różnego, a przez to może niezrozumiałego dla przeciętnego Europejczyka, wymiaru duchowości.

– Z tą duchowością Wschodu to ja nie wiem. Co jest w istocie, a co jedynie naszym wyobrażeniem i oczekiwaniem, któremu to oczekiwaniu owa duchowość sprytnie naprzeciw wychodzi. Nie wiem. W każdym razie tamta przestrzeń duchowości sprzyja. Chociażby i tym, że właśnie tam próbowano z duchowością tak radykalnie zerwać.

Takie doświadczenie innego wymiaru, innej przestrzeni, innej skali naznacza na całe życie. Nie bez przyczyny ludzie, którzy raz tam pojechali, ciągle tam wracają...

– No tak... Pojechałem do Włoch, do Toskanii, ładnie, pięknie, ale wracać mi się nie chciało. To samo Anglia. W Paryżu nie byłem. Ciągnęli, namawiali wydawcy, ale zawsze coś innego miałem do roboty. A tam, na Wschód, wciąż chcę wracać. W przyszłym roku może się uda autem do Mongolii pojechać. Tam mnie ciągnie i jeszcze do Ameryki. Byłem raz i chciałbym wrócić. No i Polska, wschodnia oczywiście.

Może na ten Zachód pana nie ciągnie, bo pan, mając dom dziadków na Podlasiu, czuje się tam „u nich”, w tych Szwajcariach nie u siebie?

– Ja się na tzw. Zachodzie, gdy mnie pytają, przedstawiam jako mieszaniec białorusko-ukraiński z elementami polskimi... Szczerze mówiąc, to mnie cały ten „europeizm” mierzi. Oni tam naprawdę uważają, że komunizm to nie była przygoda europejska, tylko awantura jakichś dzikich plemion ze Wschodu. I naprawdę uważają, że mają misję charytatywną oraz cywilizacyjną. W zeszłym roku w Lipsku był kolejny dęty festiwal o „zbliżeniu Wschodu i Zachodu”, że niby teraz jedność ma być. Jak ognia takich rzeczy unikam, ale Martin Polack, przyjaciel, nas poprosił.

Warto było: Zachód spał w wypasionych hotelach, Wschód (Białoruś, Ukraina i my) w młodzieżowym hostelu. Hostele są OK pod warunkiem, że śpią w nich jedni i drudzy. Zrobiliśmy z Moniką dużą awanturę, a cwaniactwo z miodem w uszach udawało, że nie wie, o co chodzi. Chcieli nas dwoje przenieść do czterogwiazdkowego... I tak to hula...

Pięciu złotych nie dam za cały ten Zachód. Jak przyjdzie co do czego, to nas załatwią bez mydła. Jak Bośniaków w Srebrenicy. Tak czuję, obym się mylił. Myślę też, że ta przepaść nigdy nie zostanie zasypana. Że naprawdę jesteśmy inni. Tyle że w tej „inności” nie mamy wsparcia, bo się na Wschód wypieiliśmy. Nasza „otwartość” na Ukrainę polega na tym, że ją namawiamy, żeby goliła nogi i kropiła się dezodorantem. **Nie dość, że sami jesteśmy inni, to tych „współlinnych” przykrawamy do swojej miary, a raczej do zachodniej maski, jaką nałożyliśmy, jak choćby Ukraińców. Ale też innych próbujemy swoją miarą mierzyć. Mariusz Wilk mówi, że nasz problem polega na tym, iż za żadne skarby świata nie potrafimy pojąć, że Rosjanin to też inny, chociaż ich inność trudno zauważyć, bo tacy podobni, też mają białe twarze, puby i pizzerie, dlatego więc, że tacy podobni, patrzymy na nich przez swoje zachodnie okulary i mierzymy europejską miarą. Coś w tym chyba jest.**

– My na siebie też patrzymy jak na Rosjan: też białe twarze, picernie (!) i paby, ale w tę własną białość to nie za bardzo wierzymy. Gombrowicz miał rację. Rządzi polityka wyższości-niższości, polityka wzgardy dla tego, co ze Wschodu. Ale jak się nawalimy, to śpiewamy po rosyjsku albo ukraińsku – tak nam się wydaje – a nie po angielsku ani po łacinie. Taki to i Zachód. No ale nie zamieniłbym tego kraju na inny. Chyba że na jakiś „wschód”. Ale czym bym wtedy karmił wyobraźnię?

KSIĄŻKA

KOMU DZWONIA DZWONY?



Myślenie i wiedza nie są, jak wiadomo, dobrem powszechnym. Tym bardziej warto doceniać tych, którzy są tymi przymiotami szczerze obdarowani. Z pewnością w tej elitarnej grupie jest **Sławomir J. Tabkowski**, socjolog i dziennikarz. Pamiętamy go z czasów, gdy był szefem KAW w Krakowie i redaktorem naczelnym „Gazety Krakowskiej”. I przez lata prezesem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. Wszędzie odcisnął swój stempel jakości. A kolejne wyzwania traktował jako ambitne zadanie do wykonania. Mam jednak wrażenie, że w gruncie rzeczy największą pasją Tabkowskiego jest polityka. Także ta realna. Był przecież tam, gdzie rozstrzygano o najważniejszych sprawach państwa. Dużo o tym wie jako kierownik Wydziału Polityki Informacyjnej

KC PZPR i uczestnik Okrągłego Stołu.

Książka, którą polecam, **„A dzwony dzwonią, dzwonią”**, to zbiór komentarzy, które Tabkowski publikował w „Dzienniku Trybunie”. Znajdziecie tam wszystkie tematy, które interesują homo politicus. Tabkowski nie odpuszcza. Dla niego nie ma tematów tabu. Niestety, choć przykro to pisać, ale lewicowi politycy nie sięgają po taką lekturę. Za trudna. Za mądra. Efekty tego umysłowego lenistwa widzimy co wybory. Na szczęście czytelnicy PRZEGLĄDU czytają. I to ze zrozumieniem.

Jerzy Domański

Rozmowa z książką
Piotra Brysacza **Patrzeć na Wschód. Przestrzeń, człowiek, mistycyzm**,
Państwowy Buriat, Kielce 2018



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

W szranki z szantami

Ogodz. 16 miałam czytać nad rzeką wiersze Roberta Stillera, ale jakiś facet dopiero rozkręcał swoje szanty. Stała przy nim wysoka, tleniona skrzypaczka w dżinsach. „Ja stawiam, ja stawiam”, śpiewał i walił w gitarę. Ludzie siedzieli na betonowych schodach. Słońce waliło prosto w twarze wykonawców i facet miał pretensję, że siedzi pod słońce i płaci za to gitara, która wariuje i trzeba ją stroić. Obok rozbito czarny namiot technicznych. Co chwila ktoś wychodził stamtąd z puszką Red Bulla. Przed namiotem chudzielec w stroju piłkarza odbijał kolanem piłkę. Za sceną straż przybrzeżna próbowała wtaszczyć coś ciężkiego z motorówki na brzeg. Tuż za nimi – lawirując między żaglówkami – sunął gigantyczny, biały wycieczkowiec. Wydał ponury dźwięk, przesunął się i odsonił zabytki Ostrowa Tumskiego. U szczytu betonowych schodów zaś odbywała się kielbasa, odbywała się wata cukrowa i odbywał się konkurs ustawiania wieży z plastikowych skrzynek po piwie. Słowem, odbywała się Polska Rozrywkowa.

Trudno jest wierszowi, z natury cichemu, wymagającemu uwagi i – jak to się mówi – niemiedialnemu, stanąć w szranki z szantami w plenerze. Już w zwykłej, dobrze wyciszonej sali mu trudno, nad rzeką nie ma szans – myślałam, pocąc się nerwowo. Czekałam na swoją kolej. – Przepraszam, długo jeszcze ten pan będzie śpiewał? – zapytałam. – Sama nie wiem. Wygląda na to, że się rozkręca. Chyba będzie obsuwa – rzekła sympatyczna wystanniczka instytucji. Siedziałam na betonie i gapiałam się na duet szantowy skrzypaczka z nieustraszonym uśmiechem plus wokalista z wkurwem utajonym. Na koniec miał pójść kawałek „o marzeniach”, ale głos pieśniarza stał się podwójny, jak z taniego horroru. – Może ktoś to naprawi? – ryknął do mikrofonu. – Zaraz mu przypierdolę – odparł techniczny na boku. – Co on powiedział? – pieśniarz zaniepokoił się. W tle zawył wycieczkowiec. Zaskwierczała kielbasa. Zapłakało dziecko. Zaczynał się Dzień Odry.

Nagłośnienie naprawiono. O marzeniach zaśpiewało. Przyszła moja kolej. Siadłam na fotelu z książką. Fani szanty opuszczali w pośpiechu betonowe schody. Obok mnie ktoś taszczył kontrabas (!!), piłkarz wytrwale podbijał piłkę, pieśniarz pakował graty, techniczni biegali w popłochu. I weź czytaj wiersze, akcentuj niuansy, dyskretne rymy eksponuj, kiedy słońce w oczy, a motorówka w plecy.

ka w plecy. – Jak w „Grze o tron”! – zawołałam, komentując perypetie bohaterów wiersza. – Obiecuję, będzie krew – dodałam cicho. Był to ruch desperacki, obliczony na przyciągnięcie uwagi. Kątem oka zaobserwowałam zamęt. Starsza, pulchna kobieta TURLAŁA SIĘ Z BETONOWYCH SCHODÓW. Ktoś rzucił się jej na pomoc. Jeśli była tam chociaż jedna osoba, która słuchała wiersza, proszona jest o kontakt z redakcją!

Upokorzenia nigdy się nie kończą. Pisał o tym Marcin Świetlicki, który rozumiał, że jedzie „ku pośmiewisku”, że tak się nazywa ta „ostatnia stacja” (zawsze sobie wyobrażam, że poeta jedzie odbyć wieczór autorski i o tym mowa). Kilka lat temu koleżanka malarka zaprosiła mnie do współpracy. Ucieszyłam się, bo to zawsze ciekawie przesunąć konteksty, połączyć siły, podzielać na innych polach. Cały dzień wybierałam wiersze, chciałam, żeby coś z nich przebito się do ludzi. Wieczorem wspierałam się

na trzecie piętro galerii. Dostałam mikrofon, przysiadłam na kaloryferku i czekałam na rozwój wydarzeń. Ludzie przyszli tłumnie, pili wino, oglądali obrazy. Na wysokości mojej twarzy podrygiwały w ciemności

ich nieźle dopasowane dżinsy. Stado dup, oto co wyznaczało mój horyzont tego pamiętnego wieczoru, kiedy nikt mnie nie słuchał nawet z uprzejmości.

Ale raz to my zrobiliśmy szanty. To było ze 20 lat temu: Warszawa, jakiś festiwal. Tymon Tymański wyszedł na scenę, żeby pokazać ludziom rock’n’rolla, potem ja koniecznie chciałam ludziom pokazać rock’n’rolla. Cokolwiek to znaczy. Miałam 20 lat, liczyły się brawura i – jak to się mówi – spontan. Nie pamiętam, czy w ogóle doszło do czytania wierszy. Pamiętam za to, że Tymański opuścił spodnie i chyba wszyscy zaczęliśmy zdejmować koszulki – ma się rozumieć w celach wolnościowych i performatywnych. Organizator nieźle się przestraszył. Staliśmy jeszcze na scenie, kiedy wpuszczono jakieś MODELKI i one zaczęły iść na nas, prezentując jakieś stroje. Najwyraźniej próbowano ordynarnie przerwać nasz eksces. Na bekstejdz wróciliśmy zbulwersowani. Przerażony impresario wyciągnął z kieszeni pieniądze i zaczął nam je wciskać, chyba ze strachu, że znów będziemy chcieli robić sztukę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

HEDDA ALBO TĘSKNOTA ZA PIĘKNIEM

Hedda Gabler jest stęskniona wzniosłości. Kiedy jej przyjaciel z lat minionych Eilert Løvborg (Mateusz Rusin) zamierza się zabić, Hedda dba tylko o to, aby ta śmierć była piękna. Gdy się okaże, że stało się inaczej, jej nadzieja, że w świecie można odnaleźć chwile wspaniałe, ostatecznie umiera. Dlatego sama wybiera śmierć.

Wśród dramatów Ibsena „Hedda Gabler” odznacza się pewną tajemniczością. W przeciwieństwie do większości jego sztuk ukazuje starcie indywidualności, a nie zderzenie problemów. Nic tu nie jest z góry przesądzone i od reżysera oraz aktorów zależy, w którą stronę potoczyć się akcja.

Spektakl Kuby Kowalskiego unika łatwych kategoryzacji, kto jest kim. Ucieka też od jednoznacznego ujęcia akcji w konwencji realistycznej. Od samego początku pojawia się wiele sygnałów charakterystycznych dla symbolizmu czy postmodernizmu, paleta znaków, którymi malowana jest rzeczywistość teatralna, przekracza ramy realizmu psychologicznego. Wiktoria Gorodeckaja jako Hedda zdobywa z roli wiele tonów, nie pozwala widzowi nawet na chwilę nieuwagi. Czasem bywa katem, ale częściej ofiarą sytuacji, konwenansu, nawet własnych uprzedzeń.

Centralne miejsce na scenie zajmuje lekko przechylony fortepian, przy którym od początku do końca siedzi pianista. Rezyduje przy nim Hedda, która wiele scen rozgrywać



będzie w swoistym partnerstwie z fortepianem i pianistą. Fortepian staje się dla niej schronieniem, sofą, sekretarzykiem. Wokół fortepianu krąży jak ćma, wabiona światłem, aby zginać – to świetna rola, na wpół baletowa, a na wpół dramatyczna.

Tomasz Miłkowski

Henrik Ibsen „Hedda Gabler”, tłumaczenie Anna Marciniakówna, reżyseria Kuba Kowalski, Teatr Narodowy, scena przy Wierzbowej, premiera 10 maja 2019

NA POWAŻNIE

MIĘDZY OKŁADKAMI

KOMEDIA MILITARNA

Już dwa razy melomani widzieli ją w retransmisji z Metropolitan Opera w Nowym Jorku, a teraz pokazana została we... Wrocławiu. Co prawda, w wersji półscenicznej, ale z jeszcze większym humorem. „Córki pułku” Donizettiego nie wystawia się często z uwagi na ogromne trudności wokalne. Tenor musi w jednej arii aż dziewięć razy zaśpiewać najwyższą nutę, czyli wysokie C, co jest porównywane z zimowym wejściem na K2. Niegdyś wspinał się tutaj popisowo legendarny Luciano Pavarotti, a teraz młodzi próbują tej sztuki. Są i kandydaci z Polski, w tym Jędrzej Tomczyk. Ale największą furorę zrobiła w tytułowej roli Katarzyna Oleś-Blacha. Na scenie zarożało się od mundurów, a dodatkowo warto wiedzieć, że melodia pieśni powstańczej „Marsz Mierosławskiego” została zaczerpnięta właśnie z tej opery. „Do broni, ludy, powstańmy wraz”.

Bronisław Tumiłowicz

Gaetano Donizetti, „Córka pułku”, dyrygent Nicolas Krauze, narrator Jerzy Snakowski, Opera Wrocławska, premiera 24 maja 2019



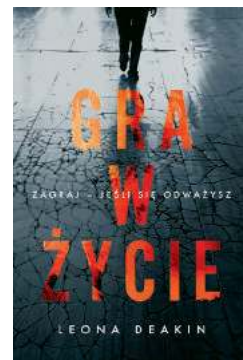
Leona Deakin GRA W ŻYCIU

tłum. Aga Zano

Burda Książki, Warszawa 2019

Na anielski wygląd Seraphine łatwo się nabrać, ale to byłby błąd, śmiertelny błąd. Zupełnie inna jest Jane – nad wiek poważna, opiekuje się matką traktującą życie nader bez troski. Pierwsza nastolatka była pacjentką dr Augusty Bloom. Drugiej chce pomóc partner zawodowy psycholożki sądowej, detektyw, były agent MI6, gdy matka Jane ulatnia się, pozostawiając jako jedyny ślad podejrzaną kartkę urodzinową. Szybko się okazuje, że takich zniknięć było więcej, a sprawa nabiera dziwnie osobistego charakteru. Leona Deakin, też psycholożka, umiejętnie straszy tym, na co jesteśmy wrażliwi. Podkopuje nasze zaufanie do bliskich. Bo co rodzice wiedzą o swoich dzieciach? A co dzieci wiedzą o rodzicach? Widzimy tyle, ile nam się pokazuje – albo tyle, ile chcemy zobaczyć. Sprytni manipulanci latami wodzą za nos otoczenie, ale i oni mają słabe strony. Co jest słabym punktem psychopaty? „Gra w życie” to fascynująca rozgrywka i obiecujący początek cyklu z Augustą Bloom.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

Zaczyna się od dramatycznej sceny w gabinecie medycznym, gdzie przystojny lekarz bada seksownego Léo, którego stan zdrowia wzbudza niepokój. Oględziny stają się coraz intensywniejsze, aż się orientujemy, że to żaden szpital, tylko zabawa w odgrywanie ról. Léo, który mieszka na ulicy, żyje ze spełniania fantazji zamożnych klientów. Kamera podgląda go i wtedy, gdy służy starszemu ukrywającemu orientację przed otoczeniem, i gdy spotyka się z sadystami, przekraczającymi kolejne granice bezpieczeństwa. Reżyser Camille Vidal-Naquet nie ma jednak radości z voyeurizmu. Bardziej zależy mu na odmalowaniu codzienności ludzi na

**SAUVAGE**

reż. Camille Vidal-Naquet,
prod. Francja,
już w kinach

marginiesie. W ich rzeczywistości nie ma ironii z książek Michała Witkowskiego. Jest za to bezwzględna walka z imigrantem, który oferuje seks za połowę stawki, i tytułowa dzikość, która sprowadza działania Léo do naj-

bardziej instynktownych odruchów. Vidal-Naquet zastanawia się, na ile chłopak jest błędem systemu, a na ile jego produktem odpowiadającym na zapotrzebowania mężczyzn.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

FOTOGRAFIE DAWNEGO LWOWA

Kolekcja Adama Dobosza

Ponad 40 fotografii dawnej stolicy Galicji pokazuje wyjątkową architekturę i życie codzienne Lwowa, jego przedwojenną wielokulturowość tworzoną przez Polaków, Żydów, Ormian i Niemców. Choć samo miasto nie zostało bardzo zniszczone, wraz z powojenną wymianą ludności straciło wyjątkowy klimat wynikający z różnorodności etnicznej i religijnej. Fotografie pochodzą z kolekcji Adama Dobosza. Oryginalne dagerotypy, w większości nieznanego autorstwa, z przełomu XIX i XX w., znajdują się w Muzeum Historycznym we Lwowie. Wstęp wolny!

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, DO 16 CZERWCA



W Muzeum Sztuki Współczesnej oglądamy materiały pochodzące ze spektaklu Łukasza Surowca „Przychodnia”, zrealizowanego w 2016 r. w Poznaniu. Jego bohaterami stali się nieuleczalnie chorzy alkoholicy, przeważnie bezdomni. W projekcie odegrali rolę pacjentów. Miejsce lekarzy zajęli zaproszeni przez artystę antropolodzy i badacze społeczni.

Ich zadaniem było przeprowadzenie wywiadów z uzależnionymi. Rozmów z gabinetu widzowie mogli słuchać na żywo przez znajdujące się na zewnątrz słuchawki, jednocześnie obserwując tych, którzy czekali na swoją kolej w przychodni. Za udzielenie wywiadu uczestniczkom i uczestnikom oferowano 21 zł.

KRAKÓW, MOCAK, DO 10 CZERWCA

WYDARZENIE

KOD MISTRZÓW

Agnieszka Duczmal

Agnieszka Duczmal, światowej sławy dyrygentka, założycielka Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus, jako pierwsza kobieta dyrygowała w mediolańskiej La Scali. Wraz z orkiestrą Amadeus, uznawaną za jeden z najlepszych zespołów kameralnych na świecie, brała udział w wielu festiwalach europejskich i odbyła liczne tournée po krajach Europy, obu Ameryk, Bliskiego i Dalekiego Wschodu, dokonała



nagrań radiowych dla rozgłośni polskich, niemieckich, belgijskich, angielskich, kanadyjskich, meksykańskich i japońskich oraz telewizji w Polsce, Francji, Japonii i Meksyku. Proponuje publiczności ciekawe projekty koncertowe, łącząc muzykę z baletem czy malarstwem. Od wielu lat prowadzi również działalność promującą młodych, utalentowanych polskich muzyków w stałych cyklach koncertowych.

KRAKÓW, TEATR GROTESKA, 11 CZERWCA, GODZ. 18.00

Dorota Bartosiewicz

Pogromcy kaca

Gałki oczne owiec? Nie! Bycze genitalia? Też nie!
W walce z syndromem dnia następnego pomóc ma
teraz głównie pogotowie na kaca

„Dyskretnie i anonimowo”, „Szybki dojazd 24/7”, „Duże doświadczenie. Profesjonalnie. Działamy w dogodnych godzinach” – jedno po drugim pojawiają się kolejne zapewnienia. Obok obietnice: „Skutecznie bez ryzyka. Natychmiastowa ulga”, „Błyskawiczna poprawa samopoczucia”, „Przywracamy równowagę organizmu”. „Zabiegi wykonują tylko lekarze. Jesteśmy w pobliżu. Stop delirace”, przeczytałem też w jednej z ofert pogotowia na kaca. Firmy z całej Polski. Duże i małe. Bardziej i mniej wyspecjalizowane. Każda zapewnia, że zrewolucjonizowała sposób, w jaki pijących (i nie tylko) szybko stawia na nogi. Na czym dokładnie polega ta usługa? Ile kosztuje? Kto z niej korzysta? I jak działa ten biznes?

Flaczki i alibi

– Przed chwilą przeglądałam państwa ofertę.

– Ale którą, bo mamy ich sporo – pracownik infolinii dopytuje rzeczowo.

Faktycznie, firma ma ich kilka, podstawowe są trzy. Pierwsza, prosta, przeznaczona dla tych, którzy chcą dojechać do siebie po lekkiej imprezie

Ale za granicą nie mniejszym fenomenem są obecnie także wyspecjalizowane firmy, które świadczą kompleksowe usługi w tym zakresie. W Los Angeles np. działają tzw. drip busy – pojazdy z obstawą medyczną, krążące po ulicach miasta od późnego wieczora do wczesnego ranka. Z kolei w Japonii otwierane są restauracje przeznaczone głównie dla osób cierpiących na kaca. Jedną z nich jest Hangout Hangover, w menu ma głównie flaki.

Ba, w USA są nawet agencje, które oferują pomoc w profesjonalnym przygotowywaniu usprawiedliwień. „Dzięki nam łatwiej o dzień wolny w pracy”, reklamuje się np. Alibi Network. Najpopularniejszą jest jednak Hangover Helpers, co można przetłumaczyć jako Kacowi Pomocnicy. Zapewnia nie tylko kroplówkę, ale też śniadanie i likwidację śladów po im-

w 75% przypadków wzywani byli – jak sami mówią – do osób pod wpływem alkoholu. A te skarżyły się głównie na kołatanie serca, bóle brzucha i głowy (w rzeczywistości zależało im na szybkim zwalczeniu syndromu dnia następnego). – Tyle że teraz przepisy się zmieniły. I jeśli pogotowie przyjeżdża do osoby pod wpływem alkoholu, to w większości przypadków wzywana jest też policja. A potem wystawiany mandat na 500 zł za nieuzasadnione wezwanie ambulansu. W myśl zasady: pogotowie jest dla ludzi chorych, a nie pijących – tak rosnącą liczbę firm niosących pomoc skacowanym tłumaczy ratownik medyczny Marcin Najbauer. By ulżyć pacjentom, cztery lata temu założył z kolegą pogotowie na kaca. Firmę nazwał Medyczny Detox.

Ale w tym biznesie nie bez znaczenia jest też forma świadczenia usługi – najbardziej przypomina wizytę domową lekarza. Z jedną tylko różnicą – pracownicy firmy przyjeżdżają nieoznakowanymi samochodami, w prywatnych ubraniach.

Najpierw następuje szczegółowy wywiad, potem mierzone są podstawowe parametry życiowe. Obowiązkowe są pytania o przebyte choroby i przyjmowane leki. Trzeba też wyrazić zgodę na zabieg, bez tego ani rusz – to ważne, bo po pogotowie na kaca nierzadko dzwonią osoby bliskie. Dopiero po dopełnieniu wszelkich formalności pacjent dostanie kroplówkę.

– To dzięki niej szybciej trzeźwieje – alkohol jest szybciej metabolizowany i wydalany z organizmu – tłumaczy Tomasz Hendzel, właściciel firmy KacDoktor (na rynku od dwóch lat). – Popularne tabletki na kaca, ale też wszystkie specyfiki podawane doustnie, wchłaniają się do organizmu nawet godzinę lub dwie. Do tego tylko 30-40% substancji jest przyswajane przez organizm. Dzięki kroplówkom ich absorpcja wynosi niemalże 100%, a pełne wchłanianie zajmuje od trzech do 15 minut.

Najstarsza pacjentka pogotowia na kaca miała 96 lat.

lub potrzebują dodatkowego zastrzyku energii. Druga – dla każdego, kto zabalował nieco dłużej. I trzecia, pełna – pomoże odtruć organizm po imprezowym weekendzie lub dłuższym wyjeździe. Pomoc ma polegać na dożylnym podaniu witamin i leków.

Usługa nie jest nowa. Pierwsze witaminowe kroplówki wprowadził ponad 50 lat temu lekarz z Baltimore John Myers. Skomponowany przez niego koktajl Myersa był niczym innym jak mieszanką witamin C i B oraz magnezu i wapnia. Miał zmniejszać napięcie mięśniowe, a także pomagać na chroniczne zmęczenie i przepracowanie. Pomyślany był jako sposób na wzmocnienie organizmu. Dopiero z czasem kroplówki zaczęto wykorzystywać w zwalczaniu syndromu dnia następnego. Teraz za oceanem zamówienie ich do biura czy innego miejsca pracy jest równie popularne jak dowóz pizzy.

prezie. Pracownicy firmy pozbierają butelki, wyniosą śmieci i odkurzą dywany, a w razie konieczności umyją ściany. Cena? Jedynie 15 dol. za jednego pracownika.

Zamiast mandatu

W Polsce usługi różnią się ceną – od 150 zł do nawet 1,5 tys. zł, czasem trwania – od godziny do trzech dni i składem mieszanki. W pakiecie podstawowym są: litr elektrolitów, leki przeciwbólowe i przeciwwymiotne. W rozszerzonym także: leki relaksacyjne, duże dawki witamin, magnezu i innych substancji o działaniu detoksykacyjnym. Niby nic specjalnego, jednak to takich usług szukają teraz Polacy. Czym to tłumaczyć?

Głównie tym, że pomoc świadczą pracownicy pogotowia ratunkowego. Czytaj: mają wiedzę i doświadczenie, bo przez 10-15 lat pracy w karetce



Efekt ma być widoczny w dwie-trzy godziny, w zależności od ilości alkoholu we krwi.

Droga na skróty

Podobnych firm oferujących kroplówki na kaca jest w Polsce wiele. Czym starają się wyróżnić? Jedne tym, że zatrudniają tylko lekarzy, ratowników medycznych i/lub pielęgniarki z wieloletnią praktyką. Drugie stawiają na dostępność 24 godziny na dobę przez 365 dni w roku czy na szybkość działania: dojazd w czasie krótszym niż 45 minut. I to bezpłatnie.

Takie zapewnienia przekonują zarówno kobiety (mają stanowić około połowy pacjentów), jak i mężczyźni. Jak duża to grupa, nie wiadomo. Zbiorczych danych o klientach pogotowia na kaca w Polsce nie ma. Z wypowiedzi właścicieli firm wynika jednak, że przekrój społeczeństwa jest pełny. Klientami są zarówno właściciele firm prywatnych, jak i menedżerowie oraz pracownicy

Pogotowie jest dla ludzi chorych, a nie pijących – tak rozwój firm niosących pomoc skacowanym tłumaczy Marcin Najbauer z Medycznego Detoksu.

korporacji, informatycy i kucharze, młodzi gniewni i duchowieństwo. Także politycy, w tym lokalni.

– Polacy bardzo cenią tę usługę, bo piją coraz więcej mocnych trunków – tak fenomen popularności usługi tłumaczy właściciel Medycznego Detoksu. Z danych GUS wynika, że ich spożycie w zeszłym roku wzrosło do 3,3 litra na osobę z 2,5 litra dwa lata wcześniej. Poza tym Polska jest jednym z krajów, w których zaburzone są kulturowe reguły picia. O ile w krajach śródziemnomorskich pije się głównie do obiadu, o tyle u nas przyjmuje się, że częste picie jest normalne. „Alkohol musi być, inaczej nie ma zabawy” – nie sposób zliczyć, ile razy pada to przy naszych stołach.

Podobnie jak w Polsce jest teraz również w USA czy krajach wschodniej Europy.

Rynek napędzany jest też modą lansowaną przez kolorowe magazyny i media społecznościowe. – Wiele osób publicznych wręcz chwali się tego typu „zabiegami” – zauważa jeden z właścicieli pogotowia na kaca (chce

Dzięki kroplówce alkohol jest szybciej metabolizowany i wydalany z organizmu.

zachować anonimowość). Promują kult młodości, pięknego ciała i gładkiej skóry, na której nie widać oznak zmęczenia po imprezie czy nieprzespanej nocy. Przekonują, że zawsze musimy być uśmiechnięci, odprężeni i pełni energii. Bo zawsze ma być dobrze i miło.

– Innymi słowy: nie dają zgody na przeżywanie trudnych emocji – lęku, smutku – ale również spadku energii czy stresu. A to oznacza, że kiedy jestem w gorszej formie, tym chętniej sięgnę po coś, co szybko poprawi mi

nastrój, np. po alkoholu. Ale też, że po przepiciu muszę szybko wrócić do formy – zauważa Joanna Gieldarska, psychoterapeutka i coach zdrowia z Uniwersytetu SWPS. – To nic innego jak droga na skróty.

Nic dziwnego, że do pogotowia na kaca dzwonią pacjenci, którzy żądają doprowadzenia ich do formy w ciągu zaledwie 30 minut. A tego nie da się zrobić. Poniedziałek, czwartek, niedziela – dzień nie ma znaczenia.

Alkohol plus

– Jedni oświadczają, że za kilka godzin muszą być w robocie, a są nawaleni jak stodoła. Drudzy przyznają, że się zagalopowali i potrzebują wsparcia – pracownicy firm przezucają się opowieściami. – A jeszcze inni mówią krótko: – To, co zawsze. Za godzinę.

– Pani zamawia usługę dla kochanka lub odwrotnie, bo nie są w stanie wyjść z domu, a mąż/żona zaraz wróci. Szybko potrzebują pomocy, żeby tylko prawda nie wyszła na jaw – opowiada Marek Nowak, lekarz z Detoks Feniks (pierwszy w Polsce prywatny detoks stacjonarny, prowadzi też pogotowie na kaca). I dodaje: – Ta grupa stanowi ok. 2% pacjentów.

Przezorniejsi zamawiają usługę, zanim jeszcze zaczną pić. Nierzadko tydzień czy dwa tygodnie wcześniej. Mówią wtedy: „Impreza będzie na 15 osób, proszę przyjechać następnego dnia rano, bo chcemy spokojnie wrócić do domu”. Pogotowie na kaca wysyła wtedy kilka osób, a cena spada – rabat może sięgnąć nawet 40%.

Część firm ma teraz w ofercie specjalne pakiety. Detoks Feniks wyjeżdża w trasy z muzykami, którzy dają koncerty w Polsce (z reguły na dwa tygodnie, pod opieką ma wtedy także ekipę oświetleniową i nagłośnieniową, łącznie jakieś 20 osób). Z kolei Praktyka24.pl z Wrocławia proponuje medyczną opiekę imprez zorganizowanych. „Usługa skierowana jest do klientów z całej Polski. Oferujemy zabezpieczenie medyczne imprez z uwzględnieniem skutecznego łagodzenia objawów zatrucia alkoholowego”

► go oraz kaca", można przeczytać na stronie.

Ale zdarza się i tak, że w to samo miejsce lekarz przyjeżdża kilka razy. – Zadzwonili do mnie nie tak dawno z osiemnastki rodzice, że syn im zaniemógł. Pojechałem, podałem kroplówkę, a po godzinie młody już żegna swoich gości; stoi na własnych nogach. To była duża impreza, ponad 90 osób. Godzina czwarta rano. Nie minęły jednak dwie godziny, a wezwali mnie ponownie. Okazało się, że kiedy sprzątali, zobaczyli, że jeszcze dwóch nie byłoby w stanie dojść do domu o własnych siłach. Byli po alkoholu, ale w grę wchodziły też inne używki – przypomina sobie Marcin Najbauer.

Z jego wyliczeń wynika, że pod wpływem alkoholu jest 60% jego pacjentów, pozostali także pod wpływem innych substancji („Po mefedronie zdarza im się nawet biegać po hotelu z siekierą”, przypominają sobie inni). Wiek nie ma przy tym znaczenia.

– Ostatnio pojechałem do 73-latk, która piła przez cztery dni. Po świętach też nie mogła przestać. Podaje jej kroplówki, jedną, drugą, a ona



nic. Zero reakcji, więc pytam wprost: „Pani Krystyno, niech mi pani powie, to był sam alkohol czy może coś więcej?”. Popatrzyła tylko na mnie i mówi spokojnie: „No dobrze, panie Marcinie, trzy dni był koksik, a ogólnie to palę trawę” – dodaje właściciel Medycznego Detoksu. Najstarsza do tej pory pacjentka firmy miała 96 lat.

To jedna grupa pacjentów, drugą charakteryzuje większa świadomość. Wiedzą, że obecny styl życia, ciągła praca, brak ruchu, słońca, „śmieciowa” dieta powodują niedobory podstawowych substancji. A taki stan sprawia, że stają się przemęczeni,

dwóch drinkach), ale w kilka godzin przepędza to rotawirusy, osłabienia, odwodnienia. Jeśli potrzebujemy super wyglądać w jakimś koszmarnym momencie życia, kiedy prawie niejemy i nie śpimy – półtora litra płynów dożylnie załatwia sprawę”.

Ale nie brakuje też głosów krytycznych. „Serio? Ktoś płaci za takie coś?”, zastanawia się Sandra Król. „Oczywiście, że głupotą jest tyle płacić za zwykłą glukozę i elektrolity, ale kto bogatemu zabroni”, „Naciąganie klientów. Jest sens takiego cocktailu dla bezdomnego po wielotygodniowym ciągu. Podanie młodemu, zdrowemu

Pod wpływem alkoholu jest 60% pacjentów, pozostali także pod wpływem innych substancji.

rozdrażnieni, senni, apatyczni, ospali. Kroplówki mają im szybko dostarczyć niezbędnych minerałów i witamin.

Odrutowanie kieszeni

Korzystał ktoś z pogotowia na kaca? Czy to w ogóle skuteczne? – rozpytuję wśród znajomych. Potem także w sieci.

– Działa – Karol Czernuszewicz nie ma wątpliwości. Joanna Jabłońska: – Sprawdziłam, polecam. „Wychodzenie z ciągów narkotykowych czy też alkoholowych to czysta rozkosz!!!”, napiszą w internecie jedni, podczas gdy drudzy będą bardziej racjonalni: „Jak kogoś stać, to polecam. Co prawda na kaca stosowałam to raz, pięć lat temu, a teraz już prawie nie piję alkoholu (również dlatego, że kaca giganta miałam nawet po

30-latkowi po weekendowym pijaństwie działa dobrze tylko na kieszeń podającego”, dopowiedzą inni. Zamiast kroplówki na kaca doradzą wypicie dużej ilości wody, najlepiej z elektrolitami (tabletki musujące w aptece od 10 zł), zimny prysznic i ewentualnie lekkie śniadanie. Dariusz Dobrowolski punktuje dalej: „Leczymy skutki i pogłębiany uzależnienie, dopiszcie”.

Tymczasem pracownicy pogotowia na kaca deklarują, że mają swoje zasady. Współpracują z psychologami, a kiedy widzą, że jedno odrucenie nie wystarcza i po kilku dniach przyjeżdżają do tej samej osoby, proponują wszystkie (disulfiram, czyli esperal) i rozpoczęcie terapii.

– I pacjenci z tego faktycznie korzystają? – nie dowierzam.

– Wychodzę z założenia, że nie ma lepszej metody – odpowiada jeden



z właścicieli pogotowia na kaca (nie chce podawać imienia i nazwiska).

– Ale w ogóle po to sięgają? – nie dają za wygraną.

– Tak, dużo osób. Także dlatego, że wśród dzwoniących zdarzają się i rozpaczliwe wołania o pomoc w wyjściu z ciągu alkoholowego.

Z szacunków firm wynika, że ponad 40% pacjentów pogotowia na kaca to jednak stali bywalcy.

– Raz na jakiś czas można oczywiście skorzystać z pogotowia na kaca. Ale jeśli ktoś baluje co weekend i w ten sposób próbuje sobie radzić,

nić proces leczenia. Żeby alkoholik zaczął się leczyć, musi ponosić koszty picia, w tym mierzyć się ze skutkami nietolerancji alkoholu, który sam w sobie jest przecież trucizną.

Gałki i genitalia

Niezależnie od tego, czy ktoś korzysta z pomocy pogotowia na kaca pierwszy czy kolejny raz, liczy się jeszcze jedno. Ma być dyskretnie i anonimowo. Bez względu na to, czy chętni dzwonią z domu czy np. z hotelu. Jedynie, co się zmieniło, to promocja firm.

Ponad 40% pacjentów pogotowia na kaca to stali bywalcy.

to taka strategia ma krótkie nogi. To nic innego jak leczenie objawów, a nie przyczyn – komentuje Joanna Gioldarska z Uniwersytetu SWPS. Zastrzega przy tym, że należy odróżnić alkoholizm od picia ryzykownego. – Bo kiedy wejdzie nam już w krew nawyk korzystania z kroplówki (jako stałego elementu doprowadzania się do stanu używalności), może to opóź-

Kiedyś telefony do lekarzy przekazywało się z ust do ust. I tylko w danym środowisku – takie zaufane osoby mieli zarówno aktorzy, jak i np. środowiska gejowskie. Dziś już tak dyskretnie nie jest. Co i rusz podczas pisania tego tekstu trafiam na reklamy. Głównie w internecie. Przykłady? „Jak udowodnili naukowcy, średnio każdy Brytyjczyk w swoim życiu wal-

czy z kacem prawie 2 tys. dni, czyli ponad 5 lat! Szkoda Ci czasu?” czy np. „Rzymski pisarz i historyk Pliniusz Starszy w swojej encyklopedii na kaca zalecał spożycie surowego siewego jaja. Jego alternatywną propozycją było spożycie smażonego kanarka. Wolisz bardziej konwencjonalne metody?”. Albo: „Wietnamczycy przekonują, że najlepszym sposobem na zregenerowanie sił po upojnej imprezie jest wypicie szklanki gorącej wody, w której rozpuszczono zmielone rogi nosorożca. W Mongolii stosuje się gotowane gałki oczne owiec, natomiast na południu Włoch – byczce genitalia. Jeśli nie masz akurat pod ręką żadnego nosorożca, weź telefon i zamów”.

Właściciel KacDoktor podsumowuje krótko: – Dostępność i rozwój internetu mają tutaj olbrzymie znaczenie. Podejrzewam, że gdyby nie to, nie założyłbym firmy, a pani by ze mną nie rozmawiała. Dzięki internetowi o tego typu usługach dowiedziało się bardzo wielu ludzi. Stają się coraz bardziej popularne, przestają być tematem tabu.

Dorota Bartosewicz

Szkolenia WORDPRESS

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl

Przychodzi człowiek do egzorcysty...

...i dowiaduje się, że jeżeli był u wróżki, ćwiczy jogę, słucha kapel deathmetalowych, to nie wyszedł z tego bez szwanku. I to nie jest kwestia wiary

Tomasz Kwaśniewski

Ksiądz Andrzej Grefkowicz (na zdjęciu), egzorcysta archidiecezji warszawskiej, spóźnia się. Już całe 15 minut. Jestem w Ośrodku Pomocy Psychologicznej Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich „Bednarska”. I już nie czekam na niego sam, bo przyszedł jakiś mężczyzna, siadł na krzesło obok, twarz ukrył w dłoniach.

Wreszcie jest, wysoki, w sutannie, z czarną dużą, ciężką, klasycznie księżowską teczką. Mówi, że już, już, zaraz, i znikną w sekretariacie, a potem z niego wychodzi, otwiera drzwi do swojego gabinetu...

– Pan Kwaśniewski – mówię.

Czyli to ja będę pierwszy, mężczyzna znowu skrywa twarz w dłoniach.

(...) Ksiądz Andrzej Grefkowicz egzorcystą jest od 1999 r.

– A co w ogóle musi się stać, żeby nim zostać? – pytam.

– Trzeba być księdzem. – Śmieje się. – A poza tym to zależy już od biskupa. A więc to nie jest tak, że o to zabiegałem, tylko on szukał kogoś, kto mógłby się takiej posługi podjąć.

– Jak to wygląda, gdy ktoś jest opętany?

– Można to porównywać do stanów padaczki. Ktoś leży czy siedzi i nagle zaczyna mieć drgawki, wije się, pieni.

– Zapytał: czy ksiądz by nie zechciał?

– Mniej więcej tak to wyglądało. Natomiast w tej chwili to już my, jako zespół egzorcystów warszawskich, jeżeli kogoś byśmy potrzebowali, to sami szukamy. I potem tylko kandydatów przedstawiamy księdzu kardynałowi do zatwierdzenia.

– Dużo was jest?

– W tej chwili w archidiecezji warszawskiej czterech.

– Jakie warunki musi spełniać kandydat na egzorcystę? Poza byciem księdzem oczywiście.

– Ja bym sobie warunki darował. Co prawda, w rytuale są one ściśle określone, to jest roztropność, pobożność, a nawet świętość. My się więc śmiejemy, że żaden z nas z pewnością tych kryteriów nie spełnia. Bo tam to jest bardzo idealistycznie określone. No jakoś w tym kierunku trzeba zmierzać, prawda?

Ja skończyłem Wyższe Seminarium Duchowne w Warszawie, potem zrobiłem czteroletnią specjalizację z katechetyki, co też, może nie wprost, ale jednak łączy się z tym, co teraz robię. Bo sporo tam było psychologii, ona jest przecież ważna podczas nauczania, pracy z młodzieżą, dziećmi. Natomiast to, co dla mnie rzeczywiście było ważne i bardzo pomocne, to w pierwszym rzędzie, poza zwyczajną formacją seminaryjną, uczestnictwo w Ruchu Światło-Życie. A zaraz potem w Odnowie w Duchu Świętym. Bo w związku z tym gdy ks. kard. Glemp poprosił mnie o podjęcie posługi egzorcysty, podejmowanie modlitwy wstawiennej, ale nie rutynowej, że odmówię różaniec czy jakąś litanie, było dla mnie chlebem powszednim. W ogóle dziś uświadamiam sobie,

posłucham, jest mi już dużo łatwiej, że tak powiem, wstrzelić się z diałozą. Zaczynam, jak każdy dobry lekarz, od wywiadu. W ramach którego szukam, czy w historii życia danego człowieka były sytuacje, które go mogły otworzyć i związać ze złym duchem. I jak już wiem, że ktoś korzystał z usług wróżek, jasnowidzów, uzdrowicieli itd., a zwłaszcza jak już podług tego ustawiał sobie życie, to jest pewne, że on jakiejś pomocy duchowej potrzebuje.

– No dobrze, a sam egzorcyzm, jakby tak krótko powiedzieć, to jest co?

– Modlitwa według rytuału.

– Która działa...

– Tak jak działa Pan Bóg, znaczy ja proszę, on działa.

– Czyli to jest prośba skierowana do Boga...

– Nie tylko do Pana Boga, bo to jest też wołanie do wszystkich świętych. O uwolnienie. I w końcu jest taki moment, taki tekst, tego już nie można nazwać modlitwą, kiedy ja do tego stopnia wchodzę w tę posługę Jezusa Chrystusa, że w jego imieniu, a w zasadzie imieniu Boga Ojca, Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego, zwracam się do złego ducha, nakazując mu odstąpienie od dręczącej osoby.

– „Ja ci mówię: wyjdź!”

– Tak, na obraz i podobieństwo sytuacji, kiedy Jezus mówił: „Milcz i wyjdź z niego!”. I ten milk i wychodził. Ale też bym tego momentu nie gloryfikował, to nie jest rzecz najważniejsza. Bo uwolnienie też często przychodzi podczas modlitwy wielbiącej Boga. Mam taką historię, która bardzo jest dla mnie ważna, a zdarzyła mi się ona, nim dostałem dekret do posługi egzorcysty.

A było to tak, że w ramach Odnowy w Duchu Świętym prowadziłem modlitwę o uwolnienie jednego z chłopaków, bo tyle jedynie mogłem wtedy zrobić. I wie pan, przychodzi moment, gdy prosimy, modlimy się

że Pan Bóg przygotowywał mnie do tego, co teraz robię. Bo w związku z Ruchem Światło-Życie, a potem Odnową w Duchu Świętym pojawiły się też u mnie studia podyplomowe z psychologii i psychoterapii na KUL. Bo tu bardzo istotna jest kwestia rozeznawania.

– Czyli?

– Rozpoznania, czy ten, kto do mnie przychodzi, sygnalizując jakąś dolegliwość, ma problem duchowy czy raczej psychiczny. Zewnętrznie to wygląda prawie identycznie, ale po latach doświadczeń, jak tak sobie



i w tym działaniu jakby dochodzimy do ściany. Właśnie wtedy miałem takie wrażenie, że ten chłopak jeszcze tak wolny nie jest, a to wszystko, co możemy zrobić, już się stało. I wtedy pamiętam, zapytałem go, co czuje. A on, że jakby coś mu mówiło w środku: „Zobacz, ile oni mogą!”. I to było dokładnie to, co wówczas czułem. Bezradność. Zacząłem więc mówić: „Panie Jezu, my nic tu nie możemy, tylko ty...”. I wtedy nastąpiło uwolnienie.

– Czyli?

– Chłopak dostał kilka takich jakby drgawek, a potem już razem z nami zaczął wielbić pana Boga.

– Czyli ksiądz wierzy, że w czasie egzorcyzmu...

– To nie jest kwestia wiary! Znaczący oczywiście wiary potrzeba do podjęcia tej posługi, natomiast dla mnie to jest już kwestia doświadczenia. Bo tych sytuacji uwolnienia widziałem mnóstwo. A wygląda to na przykład tak, że przychodzi człowiek dręczony albo wręcz opętany, czyli w sytuacji gdy coś nim rzuca, trzęsie, i ta nasza modlitwa sprawia, że on się nagle wycisza. Rzecz jasna, to nie jest tak, że modlitwa tu wszystko rozwiązuje. Bo najważniejsze jest późniejsze towarzyszenie temu człowiekowi, który się już zdecydował wejść na drogę nawrócenia. Czyli zerwania ze złym duchem.

– A więc egzorcyzm to tylko początek?

– Nie, nie początek. Bo egzorcyzm to nie jest punktowe zdarzenie, tylko proces. To jak z tym synem marnotrawnym, który zanim się zdecydował wrócić do ojca, musiał przede wszystkim uświadomić sobie, jak bardzo mu źle bez niego. „U mojego ojca to nawet świniom jest lepiej”, to jest ten pierwszy krok. Że mi jest źle i dlatego chcę wrócić.

– I wtedy taki ktoś trafia na przykład do księdza?

– Wszyscy chętni najpierw przechodzą konsultacje u różnych tujejszych psychologów. Wtedy też dostają przeróżne wskazania. Na przykład niektórzy dostają takie, że w związku z jakimiś zaburzeniami psychicznymi powinni podjąć psychoterapię. Ale oni potem i tak, jeśli chcą, mogą przyjść do mnie.

– Mogą?

– Oczywiście.

– I wtedy?

– Czasem udaje mi się ich namówić do podjęcia leczenia.

– Bo ksiądz im wtedy mówi: „To jest problem psychiczny”?

– Różnie. Generalnie są trzy możliwości. Pierwsza: przychodzi człowiek, którego cierpienie można wytłumaczyć czynnikami naturalnymi, i on oczywiście powinien się leczyć. Druga: przychodzi człowiek, który sygnalizuje udrękę, cierpienie, ale ono się nie tłumaczy w sposób naturalny. I taka osoba powinna skorzystać z mojej pomocy. Trzecia:

przychodzi człowiek, którego cierpienie w jakimś stopniu tłumaczy się czynnikami naturalnymi, ale tam jest jeszcze coś więcej.

– Czyli jeżeli przychodzi ktoś, kto ma już diagnozę wstępną, że jest zaburzony – upewniam się – to ksiądz mu mówi, żeby się poszedł leczyć?

– Dokładnie to jest tak, że wtedy badam, czy on mimo wszystko nie miał jakichś wydarzeń, sytuacji życiowych, które go mogły jednak na złego ducha otworzyć. Ponieważ to, co powiedział psycholog, nie jest dla mnie wiążące. Tak więc słucham, pytam, próbuję rozeznaczyć się dalej, bo może być właśnie tak, że ktoś ma i obciążenie psychiczne, i duchowe.

– O co ksiądz pyta?

– Na przykład: „A co twoim zdaniem mogło spowodować, że zły duch ciebie dręczy, w ciebie wszedł?”. Bo on przecież nie spadł z nieba, prawda? Musi być jakaś przyczyna. A więc: „Jaka tu mogłaby być przyczyna?”. I potem słucham, co ten ktoś mówi.

– A jak można złego ducha do siebie wpuścić?

– To jest na przykład uczestnictwo w seansach spirytystycznych. W ogóle cała gama tych wszystkich wróżb, jak również niekonwencjonalnych form leczenia. Wchodzenie w praktyki Wschodu. Poczynając od sztuk walk, przez jogę, po feng shui. Jeżeli bowiem my jako chrześcijanie w to wkraczamy... Znaczący jeżeli tylko w to wkraczamy i nic się w związku z tym nie wydarza, to pół biedy. Bo wtedy mogą sobie co najwyżej powiedzieć: „zgrzeszyłem”. Ale jak ktoś już widzi, że to działa...

– Chyba raczej: komuś się zdaje, że działa?

– Nie, nie, on to widzi. Wtedy to już wiadomo, że tutaj ta rzeczywistość duchowa doszła do głosu.

– Ale przecież...

– Nie, nie, to wystarczy pomyśleć, proszę pana! – ks. Grefkowicz podnosi głos. – Przecież jeżeli dzieją się pewne rzeczy, a ja nie znajduję dla nich wyjaśnienia racjonalnego...

– Ale jakie rzeczy się dzieją?

– No że ktoś na przykład idzie do bioenergoterapeuty i przestaje go boleć kręgosłup. Lekarz powie: „Tam nie ma nic, co leczy”. A jednak pomogło, prawda? To jest zdarzenie, które mnie natychmiast każe szukać przyczyny duchowej.

- ▶ – Czyli ksiądz wierzy...
- Ja nie wierzę, ja wiem! – ksiądz Grefkowicz znów podnosi głos – że w tego typu sytuacjach następuje ingerencja kogoś z tej rzeczywistości duchowej. Zresztą my, chrześcijanie, też przecież znamy przeróżne formy zwracania się do Pana Boga z prośbą na przykład o uzdrowienie. Ale to pochodzi wówczas od Boga. A jeśli to jest poza tym, to wniosek dla mnie jest prosty: mamy do czynienia z rzeczywistością duchową nie Bożą, czyli diabelską.
- A więc te momenty, w których istnieje ryzyko zaproszenia złego ducha...
- To są sytuacje, które my, egzorcyści, w ogóle chrześcijanie, określamy jako przekroczenie pierwszego przykazania, czyli grzech idolatrii.
- A tak po ludzku?
- Bałwochwalstwa.
- A jak to się ma do sztuk walki czy do jogi?
- Zaczniemy od tego, że coś takiego jak wróżenie, jasnowidzenie jest ewidentnie odwoływaniem się do złego ducha. Bo żaden człowiek sam z siebie nie ma możliwości poznawania rzeczy poza przestrzenią i czasem. Jeżeli więc pojawia się ktoś, kto zaczyna mówić o czymś, w czym sam nie uczestniczył, albo o czymś, co dopiero będzie, to wtedy wchodzimy w świat duchów. Bo informatorami są wówczas nie ludzie, lecz duchy. Ale żeby w ogóle tak się stało, żeby duchy zaczęły się dzielić z kimś swoją wiedzą, musi nastąpić jakiegoś rodzaju związanie.
- I to jest przypadek spirytyzmu?
- Tak.
- Ale też przecież mówi się o mistykach, że uzyskują wgląd w tę prawdziwą, boską rzeczywistość, prawda?
- Tak, ale wtedy przede wszystkim trzeba się rozeznać, czy rzeczywiście mamy do czynienia z mistykiem czy też z wróżbitą. W obu wypadkach jest to kontakt ze światem duchowym, tylko albo jest to kontakt ze światem duchów złych, albo kontakt czy relacja z Panem Bogiem bądź ze świętymi czy z Matką Bożą.
- No i jak to rozróżnić?
- Na pewno nie pan będzie to rozróżniał!
- A ksiądz potrafi?
- Powiedzmy, że w niektórych sytuacjach tak. To jest po prostu zupełnie inna forma, inna tradycja, też inny sposób funkcjonowania, jeżeli chodzi o wróżbitów, z jednej strony, a z drugiej, o Matkę Bożą czy Pana Jezusa Chrystusa. Jeśli ktoś zaczyna rozkładać karty i z nich mi coś mówi, to na pewno nie jest to Matka Boża. Jeśli ktoś zaczyna czytać w jakiejś kuli, w gwiazdach, to też na pewno nie Matka Boża ani Jezus Chrystus.
- Dlaczego wróżka nie może mieć kontaktu z dobrymi duchami?
- Bo te dobre nie wchodzą w taką relację.
- Dlaczego?
- Bo to jest niezgodne z Bożymi przykazaniami. Pismo Święte mówi wyraźnie: nie będziesz korzystać z wróżbitów, nie będziesz wywoływać duchów, kontaktować się z nimi. Złe duchy bardzo chętnie przekraczają wszystkie przykazania, bo na tym polega ich funkcjonowanie, ale nikt, kto jest w jedności z Bogiem, na takie numery nie pójdzie.

– No dobrze, a jak tu teraz, w tym gąszczu, rozróżnić zaburzenie psychiczne od opętania? Pytam, bo mam wrażenie, że to jest wielki problem.

– Tak, ma pan rację, dlatego to też wymaga czasu. I tu zwykle jednak być musi jakaś przyczyna obiektywna.

– Czyli właśnie zdarzenie typu, że ktoś czegoś dotknął?

– Jak ktoś czegoś dotknął, to jeszcze nie jest opętanie. Tylko uzależnienie. Które my określamy mianem zniewolenia. Człowiek po prostu doznaje jakichś dręczeń, ale zły duch jeszcze nie zawładnął jego ciałem. Czyli to ja ruszam ręką, ja ruszam nogą, a nie diabeł rusza mi ręką czy nogą.

Generalnie wyróżniamy trzy stany: kuszenie, zniewolenie, opętanie. To są trzy sposoby działania złego ducha w stosunku do nas. Kuszenie to jest coś, co każdy zna z autopsji, a mianowicie: „A nie pójde do roboty”. „A co tam, że ona jest żoną kolegi”. To są te podszepty, które później mogą prowadzić do konkretnych grzesznych już działań. Takich jak lenistwo, agresja, jakieś zachowania seksualne, kłamstwo, kradzieże itd.

Zniewolenie to jest jakby wyższy stopień kuszenia. Taki, który człowiek przeżywa jako imperatyw. No, muszę to zrobić. Kuszenie to taki jakby podszept, a tu jest rozkaz, w kontekście którego ta osoba już musi się jakoś zachować.

– „Masz iść do pracy!”

– Może akurat nie o taką dziedzinę chodzi. Ktoś na przykład czuje, że musi popełnić samobójstwo. A w związku z tym otwiera okno, staje na parapecie, ale jednocześnie wie, co robi i czym mu to grozi. Niemniej ten imperatyw jest na tyle silny, że on i tak to wszystko robi. I wtedy albo ktoś interweniuje z boku, na przykład ściągając tę osobę z parapeku, albo ten ktoś jednak skacze. To jest klasyczny przykład zniewolenia, bo są też inne, mniej widoczne.

Na przykład, że ktoś doświadcza w nocy koszmarów.

– To znaczy?

– Że będąc w pół jawie, pół śnie, ma poczucie, że ktoś koło niego stoi. Albo wręcz ściąga z niego kołdrę. Do tego dochodzą takie atrakcje, jak stukanie, pukanie, popychanie, zrzucanie przedmiotów. Co zły duch serwuje po to, żeby jeszcze bardziej

IKAR 2019 – Nagroda Sezonu Wydawniczo-Księgarskiego 2018/2019

Jury w składzie: Piotr Dobrołęcki, Janusz Fogler (przewodniczący), Jacek Oryl, Andrzej Palacz, Rafał Skąpski, Małgorzata Skowrońska, Elżbieta Stefańczyk, Antoni Sziperlich (sekretarz) na posiedzeniu 16 maja 2019 roku postanowiło przyznać Nagrodę IKARA 2019 w następujących kategoriach:

Twórca roku – Oldze Tokarczuk;

Wydawca/wydawnictwo – Społecznemu Instytutowi Wydawniczemu ZNAK;

Księgarz/księgarnia – Księgarni ATENA w Kamiennej Górze;

Biblioteka/bibliotekarz – Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu;

Wydarzenie sezonu – Big Book Festival;

Popularyzator/popularyzacja czytelnictwa, Nagroda im. Tadeusza Górnego – Ewie Świerżewskiej.

Jury postanowiło też przyznać dwa wyróżnienia Człowiek Książki: Grzegorzowi Bogucie i Andrzejowi Kurzowi.

zastraszyć daną osobę, doprowadzić ją do jeszcze większego zniewolenia.

– Czyli opętania?

– Opętanie wiąże się jednak z aktem woli ze strony człowieka, wejścia w relację ze złym duchem.

– Ktoś mówi: „Dobra, cześć, zapraszam”?

– Albo podpisuje cyrograf. Do słownie.

– To znaczy?

– No, sporządza taki dokument, a potem własną krwią go podpisuje.

– Widział ksiądz coś takiego?

– Nie, ale ludzie mi mówią, że coś takiego podpisali.

– Że jakiś głos im coś tam dyktował...

– Nie, nie, cyrograf można, nie polecam tego, ściągnąć z internetu. I potem już tylko wystarczy podpisać gotowiec.

– Czyli ten głos komuś mówi: „Ściągnij z internetu gotowy już cyrograf, a potem podpisz go własną krwią”?

– Nie wiem, czy tak jest, ale tak być może. I też niekoniecznie to

– To moje przeświadczenie jest takie, że nie wychodzi z tego bez szwanku. A konkretniej, bez zniewolenia. A co za tym idzie, z pewnością w przypadku tej osoby jest tytuł do modlitwy. I jeżeli to wciąż jest etap zniewolenia, to po podjęciu pierwszej modlitwy zwykle następuje uwolnienie, otwarcie na Pana Boga. I potem my już tego człowieka prowadzimy dalej. Znaczący nie my, tylko jakaś grupa formacyjna, bo tu chodzi o to, żeby mu pomóc odbudować relację z Panem Bogiem, Jezusem Chrystusem.

– A czy on nie powinien wrócić do psychoterapeuty?

– Jeżeli jest taka potrzeba, bo czasem jest, jakiejś terapii, to zachęcamy, żeby te postępowania działały się równolegle.

– Jak to w ogóle wygląda, gdy ktoś jest opętany? – pytam.

– Można to porównywać trochę do stanów padaczki. Ktoś po prostu leży czy też siedzi i nagle zaczyna mieć drgawki, wiję się, pieni. Albo wpada w niezwykłą furję...

– A jak można złego ducha do siebie wpuścić?

– To na przykład uczestnictwo w seansach spirytystycznych, niekonwencjonalne formy leczenia.

musi być głos, bo to może być jakieś pragnienie, dążenie. Ponieważ działanie złych duchów najbardziej wpływa na naszą sferę emocjonalną, prowadząc do zaciemnienia umysłu, a co za tym idzie, ingeruje w naszą przestrzeń poznawczą, nasze decyzje. Wejście w bezpośrednią relację ze złym duchem może się też odbyć za pośrednictwem utworów satanistycznych.

– Ktoś zaczyna słuchać tego rodzaju muzyki?

– Jak słucha, to jest jeszcze kwestia, powiedziałbym, jedynie zniewolenia. Ale jak zaczyna to śpiewać, tak jak my śpiewamy „Jezus Chrystus moim Panem jest”, tylko on tam się zwraca do złego ducha, jest to już z nim wiązanie się. Bo zły duch ma wówczas władzę i tytuł do tego, żeby zgodnie z decyzją człowieka, jego zaproszeniem, wejść w niego i zostać jego panem.

– Czyli jeżeli ktoś w swojej historii ma wizytę u wróżki, ćwiczenie jogi, słuchanie kapel deathmetalowych...

– Bo ksiądz wyciągnął krzyż i wtedy on...

– Z tym to bywa różnie. Nie trzeba tego wiązać z żadnym znakiem chrześcijańskim. Po prostu w pewnym momencie ten ktoś zaczyna się rzucać, drapać, wrzeszczeć, uderzać głową o ściany. Najczęściej jest to autoagresja.

– I wtedy?

– Próbuję tego kogoś jakoś przed tym osłonić.

– A takie coś jak plucie gwoździemi, lewitowanie?

– Przez 18 lat mojej posługi nic takiego nigdy nie widziałem.

– A co ksiądz myśli, kiedy słyszy o tego typu rzeczach?

– Że tak to może wyglądać na przykład w przeżyciu tego człowieka.

– Egzorcysty?

– Nie, tego, który jest opętany.

– Ale są też egzorcysty, którzy mówią, że widzieli tego typu rzeczy.

– Nie wiem, nie spotkałem takiego, który by powiedział, że się modlił i widział, jak ten człowiek, który

do niego przyszedł, na przykład się podnosi. Ale też tego nie wykluczam, bo istoty duchowe mają możliwość oddziaływania na rzeczy materialne, mogą więc z nimi różne rzeczy robić. Skoro czasem bez naszego udziału zapala się światło, zegar chodzi w odwrotną stronę...

– Takie rzeczy ksiądz widział?

– Nie, ale skoro takie rzeczy mają miejsce, to dlaczego nie mają mieć inne?

– Na początku naszej rozmowy powiedział mi ksiądz, że idzie w stronę egzorcyzmu wtedy, gdy to cierpienie, które odczuwa człowiek, jest niewytłumaczalne z punktu widzenia medycyny. Ale gdybyśmy cofnęli się w czasie, tobyśmy zobaczyli całą masę rzeczy, które były kiedyś niewytłumaczalne z punktu widzenia medycyny, a dzisiaj już są i wiemy, że to nie były żadne działania złego ducha.

– Mimo wszystko opieram się na tym, co my dziś jesteśmy w stanie poznać. Poza tym jest ileś symptomów, które pozwalają zrewidować...

– Gadanie językami...

– Nie tylko. Bo są też konkretne sytuacje życiowe, decyzje, które człowiek podejmuje. A więc jeżeli ktoś, powtórzę, wchodzi w okultyzm, wróżki, w ogóle w tego typu rzeczy, to nie ma wątpliwości: uzależnienie z pewnością tu następuje.

– Od złego ducha? – upewniam się.

– Tak.

– Czyli, jak rozumiem, z księdza perspektywy, w związku z postępującą jednak dziś sekularyzacją, przynajmniej w Europie, coraz więcej jest opętanych?

– Może nie tyle opętanych, ile zniewolonych. Choć tych pierwszych też jest znacznie więcej, niż do nas przychodzi – powiedział ks. Andrzej Grefkowicz i zakończył nasze spotkanie. A potem otworzył drzwi i wtedy ten mężczyzna, który siedział skulony na korytarzu, wyprostował się, odebrał ręce od twarzy, zdało mi się, że miał ją zapałaną.

Fragment książki
Tomasza Kwaśniewskiego
W co wierzą Polacy?
Znak, Kraków 2019



Kiedy dziecko zabija dziecko

Mary Bell w wieku 11 lat zamordowała dwóch chłopców. Jako dorosła kobieta dostała kilkadziesiąt tysięcy funtów za pomoc przy tworzeniu książki o swoim życiu

Paweł Drąg

Jest 26 maja 1957 r. W Newcastle upon Tyne w Wielkiej Brytanii przychodzi na świat dziewczynka, Mary. Jej mamą jest 16-letnia prostytutka Betty McCrickett. Do dzisiaj nie potwierdzono danych osobowych biologicznego ojca, chociaż Betty przekonywała, że to Billy Bell, drobny przestępca. Pewne jest jednak, że dziecko nie było owocem zdrowej miłości. Według późniejszych zeznań członków rodziny mająca poważne problemy z alkoholem Betty co najmniej raz próbowała

nicy robotniczej, podobne zdarzenia są codziennością. Opowiadano, że w przedszkolu miała gasić papierosy na twarzach koleżanek, a jedną z nich niemal udusiła. Twierdzono także, że zepchnęła z dachu schronu przeciwlotniczego trzylatka, co skończyło się poważnymi urazami. Trudno jednak wyrokować, co rzeczywiście miało miejsce, a co służyło ubarwieniu tragicznej historii.

Wiosna 1968 r., dzień po 11. urodzinach Mary. W opuszczonym budynku fabrycznym w Scotswood zostaje odnalezione ciało czteroletniego Martina Browna. Policja dopiero po jakimś czasie orzeka, że chłopiec

leżony martwy, niedbale przykryty trawą i mchem. Przyczyną śmierci również jest uduszenie, ale tym razem policja odkrywa więcej obrażeń – dziecko ma ślady cięć na udach i genitaliach, a także wyciętą literę m (jak się okazało, pierwotnie była to litera n, później przeprawniona). Niedaleko ktoś znajduje nożyce i pukiel włosów. Śledczy po analizie materiałów stwierdzają, że morderca wrócił na miejsce zbrodni już po uduszeniu, by dokonać dalszych okaleczeń.

Przesłuchiwanym jest wiele osób, wśród nich Mary i Norma, ale nikt nie zwraca na nie baczniejszej uwagi. Po jakimś czasie Mary wyznaje policji, że przypomniała sobie, jak w dniu zabójstwa Brian został zaczepiony i uderzony przez inne dziecko. Dokładnie opisuje też nożyce, których istnienie nie zostało podane do publicznej wiadomości.

Norma w trakcie przesłuchań wydaje się niezdrowo podekscytowana śmiercią dziecka, natomiast Mary uważa na każde słowo. Przed pogrzebem Briana Norma donosi funkcjonariuszom, że to Mary zabiła chłopca. Opowiada, że przyjaciółka zaprowadziła ją na miejsce zbrodni, by pokazać Briana i pochwalić się swoim czynem. Podczas kolejnego

Mary od najmłodszych lat była agresywna, dręczyła zwierzęta, kradła w sklepach i niszczyła mienie publiczne.

upozorować nieszczęśliwy wypadek skutkujący śmiercią córki. Dziewczynka była też o krok od przedawkowania leków nasennych, kiedy matka próbowała jej wmówić, że tabletki to słodczyce, które może jeść w nieograniczonej ilości.

Gnieźdzenie się w jednopokojowym mieszkaniu prowadziło do kolejnych tragedii. Mary przyznała po latach, że od piątego roku życia była zmuszana przez matkę do nierządu. Betty praktykowała BDSM, czyli subkulturę seksualną powiązaną z dominacją, sadyzmem, masochizmem i uległością. Dziewczynka niejednokrotnie stawiała się mimowolnym świadkiem i towarzyszką praktyk matki, co mogło mieć niebagatelny wpływ na umysł dziecka. Skomplikowane dzieciństwo pozostawiło ślady w jej psychice również z innych powodów. Na oczach Mary jej pięcioletni przyjaciel został przejechany przez autobus. Była też od najmłodszych lat agresywna, dręczyła zwierzęta, kradła w sklepach i regularnie niszczyła mienie publiczne. Nikt nie zwracał na to uwagi, ponieważ w Scotswood, biednej dziel-

został uduszony. W tym czasie Mary Bell przyznaje się dwa lata starszej koleżance, lekko opóźnionej w rozwoju Normie Bell (zbieżność nazwisk), że to ona jest sprawczynią zabójstwa. Podekscytowane dziewczynki włamują się do pobliskiego żłobka, rozwalając wszystko, co wpada im w ręce. Mary pozostawia tam cztery kartki z odręcznymi notatkami, odnoszącymi się bezpośrednio do zdarzenia. Funkcjonariusze policji

Rząd Tony'ego Blaira próbował powstrzymać wydanie książki o życiu morderczyni.

lekceważą ten sygnał, nie wiążąc z nim śmierci Martina. Jako zaledwie dziwną uznają także wizytę Mary w domu rodziców zamordowanego dziecka, gdzie poprosiła, aby pokazać jej Martina w trumnie.

Do drugiej zbrodni dochodzi dwa miesiące później. 31 lipca stróż prawa otrzymują sygnał o zaginięciu trzyletniego Briana Howe'a. W akcji poszukiwawczej trwającej od rana uczestniczy całe miasto. O godz. 23.10 chłopiec zostaje zna-

przesłuchania Mary policjant stwierdza kilkakrotnie, że dziewczynka mija się z prawdą. – Nie będę składać żadnych wyjaśnień. Norma kłamie. Chce mnie wpędzić w kłopoty. Mam dość tego prania mózgu. Idę do domu – miała powiedzieć ze zdumiewającą pewnością siebie. W końcu funkcjonariusz zabiera ją na miejsce zabójstwa, gdzie podenerwowana dziewczynka próbuje rzucić odpowiedzialność na koleżankę. Pod uwagę w rozpatrywaniu całej sprawy

zostaje też wzięte osobliwe zachowanie Mary podczas pogrzebu chłopca. Jeden z detektywów odnosi wrażenie, że jest zadowolona z siebie, ukradkowo śmieje się i zaciera ręce. Później okaże się, że tak samo zachowywała się podczas pogrzebu poprzedniej ofiary.

Dowodami winy Mary ostatecznie stały się szare włókna z jej sukienki na ubraniach chłopców. Na butach Briana znaleziono bordowe nitki ze spódnicy Normy.

17 grudnia 1968 r. dziewczyny trafią przed oblicze sądu. Norma Bell zostaje uniewinniona, natomiast Mary Bell uznana za winną, ale nie mor-

poprawczego. Była tam jedyną dziewczynką. Dzieckiem, które opinia publiczna przez długie lata na przemian nazywała ofiarą i potworem.

Rozgłos postanowiła wykorzystać jej matka, wymyślając na potrzeby dziennikarzy historie z życia córki. Sprzedała także podrobiony pamiątnik młodej morderczyni. – Jezus został przybity tylko do krzyża, ja jestem cały czas zabijana – miała powiedzieć podczas jednej z wizyt w więzieniu. Mary Bell trafiła na pierwsze strony gazet jeszcze raz, we wrześniu 1977 r., kiedy na krótko uciekła z więzienia Moor Court, gdzie była przetrzymywana od czasu prze-

rze, dziecko nie znało przeszłości matki. Obie musiały natychmiast się przeprowadzić. Powtarzało się to kilkakrotnie.

Anonimowość córki Bell była chroniona do momentu ukończenia przez nią 18. roku życia. Jednak 21 maja 2003 r. Mary wygrała walkę w Sądzie Najwyższym o zachowanie anonimowości jej rodziny. Do dzisiaj każdy nakaz sądowy trwale chroniący tożsamość skazanego w Wielkiej Brytanii bywa nazywany „porządkiem Mary Bell”.

W 1998 r. Mary współpracowała z Gittą Sereny w związku z książką „Nieusłyszany krzyk. Historia Mary Bell” szczegółowo opisującą nadużycia, których dopuścili się wobec niej matka i jej klienci. W książce wypowiedzieli się również krewni oraz specjaliści od resocjalizacji, którzy poznali Mary podczas pobytu w ośrodkach zamkniętych. Informacja, że Mary Bell otrzymała prawdopodobnie aż 50 tys. funtów za współpracę autorską, spotkała się z gigantyczną krytyką opinii publicznej. Rząd Tony’ego Blaira próbował nawet powstrzymać wydanie książki, argumentując, że jest głęboko nieetyczne, aby przestępcy czerpali profity ze swoich zbrodni. Bezskutecznie. – Dla mnie Mary Bell zmarła, kiedy opuściła więzienie i przyjęła nową tożsamość. Myślałam o niej jak o osobie, która nas opuściła, starając się mieć przyzwoite życie. Zaczęłam się uczyć tego, jak jej nie nienawidzić, ponieważ umarła i stała się kimś innym. Teraz wskrzesiła ją Gitta Sereny. Dlaczego? – pytała June Richardson, mama Martina Browna, w wywiadzie dla „Observera”. – Kilka nocy temu śniłam o małym chłopcu w niebieskiej kurtce (jej syn miał taką na sobie w dniu śmierci). Próbuję go

WE did
murder
MARTAIN
DOWN
FUCKA F



Po dokonaniu zabójstwa Mary z koleżanką włamały się do żłobka i pozostawiły tam kartki z odręcznymi notatkami, odnoszącymi się do zdarzenia.

derstwa, lecz jedynie spowodowania śmierci z powodu działania w warunkach ograniczonej poczytalności.

Ława przysięgłych wzięta pod uwagę diagnozę powołanych przez sąd psychiatrów, którzy opisali zachowanie Mary jako „klasyczny objaw psychopatii”. Sędzia Justice Cusack określił ją jako niebezpieczną, niezdolną do odczuwania wyrzutów sumienia, uznając, że stanowi „bardzo poważne ryzyko dla innych dzieci”. Stwierdzono poza tym, że Mary miała dominującą osobowość, przez co podatna na sugestie Norma stała się z czasem jej narzędziem w dokonywaniu coraz to gorszych czynów. Psychiatra z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dr David Westbury, zakomunikował sądowi, że Mary ma zaburzenie psychopatyczne, które wymaga leczenia. Na początku zdecydowano się umieścić ją w Red Bank, odpowiedniku polskiego domu

niesienia z zakładu dla młodych przestępców do więzienia dla dorosłych. Karą była utrata przywilejów więziennych na 28 dni. Pobyt w tym miejscu był najgorszym doświadczeniem jej od niedawna dorosłego życia. Tutaj również, jak kilka lat wcześniej, najprawdopodobniej była wykorzysty-

Do dzisiaj każdy nakaz sądowy chroniący tożsamość skazanego w Wielkiej Brytanii bywa nazywany „porządkiem Mary Bell”.

wana seksualnie. Przez pewien czas Mary przebywała także w domu dla dziewcząt w South Norwood.

W 1980 r., w wieku 23 lat, wyszła na wolność pod przybranym imieniem i nazwiskiem (jej tożsamość została zabezpieczona nakazem sądowym). 25 maja 1984 r., 16 lat po zamordowaniu Martina Browna, urodziła córkę. Dopóki ich miejsca zamieszkania nie odkryli dziennika-

odwrócić, aby zobaczyć jego twarz, ale nie mogę. Nigdy nie widzę dokładnie jego twarzy, zawsze jest poza zasięgiem wzroku – opowiada June Richardson.

W 2009 r. Mary Bell została babcią. – Zostawiła mnie z żalem na resztę życia. Mam nadzieję, że kiedy spojrzysz na to dziecko, przypomni sobie dwójkę, którą zamordowała – powiedziała na wieść o tym June. ■

KUBA

– perła Karaibów
otwarta na turystów

Cudowne morze, piękne plaże i dobrze rozwinięta infrastruktura turystyczna, w której coraz dzielniej poczyna sobie sektor prywatny, a przy tym – co niestety ważne – bezpieczeństwo. Może są inne kierunki o podobnych walorach, ale brakuje im iberoamerykańskiej kultury, innowacyjności i serdeczności Kubańczyków. Gdzie, jak nie na Kubie, można się napić rozwiązujących języki mojito, daiquiri czy cuba libre, wypalić cygaro (el Habano, od którego pochodzi nazwa Hawany), zobaczyć występ zespołu Baletu Narodowego założonego przez znakomitą primabalerinę Alicję Alonso i jej stryjecznego brata, Fernanda Alonsa, kawalkadę odnowionych cadillaców, buicków i pontiaców, amerykańskich krążowników szos z lat 50. Turystów urzeka nieśamowity koloryt hawańskiej ulicy, zespoły muzyczne i wszechobecna salsa. Ciekawskich może zainteresować sante-ria, religia o korzeniach afrykańskich, jeszcze niedawno niemiłe widziana przez władzę.



Amerykańskie krążowniki szos z lat 50. mają się całkiem dobrze...

Obiektem westchnień może być Stara Hawana, mimo niedostatku środków w znacznym stopniu odnowiona przez zespół konserwatorski pod kierownictwem Eusebia Leala Spenglera. Podziw budzą budowle barokowe, w stylu art nouveau i art déco, a także chyba jedna z najdroższych na świecie galerii handlowych w hotelu sieci Kempinski. Miasto odzyskało też Kapitol, wyższy od Kapitolu waszyngtońskiego.

Turystyka jest strategicznym sektorem gospodarki kubańskiej, przyciągającym inwestycje zagraniczne. Z 19 obcych firm, które zainwestowały na Kubie, 10 należy do kapitału hiszpańskiego. Pozostałe pochodzą z Kanady, Francji, Singapuru, Włoch,

Indii, Meksyku, Szwajcarii, Niemiec i USA. 40 hoteli zbudowano w Varadero, 18 w Hawanie. Turystyka wypoczynkowa została poszerzona o ofertę leczniczą, np. z zakresu gastroenterologii, znaną z wysokiego poziomu.

Obiektami godnymi objerzenia są Finca Vigía, Bodeguita del Medio i Floridita związane z Ernestem Hemingwayem czy hotel El Nacional, na którego temat krążą legendy o mafii i występach Franka Sinatry.

Warto wstąpić do barów i restauracji otwieranych przez sektor prywatny, zwanych *paladares*. Mieszczą się w willach lub na piętrach bloków mieszkalnych, oferując dobrą, charakterystyczną dla Kuby kuchnię.

Lech Miodek



W tej sali Kapitolu przed rewolucją odbywały się posiedzenia izby niższej.





...dzięki takim warsztatom jak ten.

Nazwa Hawana pochodzi od nazwy cygara el Habano.



Kubańczycy są dumni ze swojego Kapitolu, wyższego niż w USA.



Kubanka w tradycyjnym stroju.

Ławeczka Fryderyka Chopina została odsłonięta w 2010 r.
na Plaza de San Francisco de Asís.



FOT. LECH MIODEK

Piłka nożna, do cholery!

ŁKS i Widzew podniosły się z upadku i znów rozpalają emocje kibiców



Tak zawodnicy, juniorzy i działacze Łódzkiego Klubu Sportowego cieszyli się z tegorocznego awansu do Ekstraklasy.

Michał Sobczyk

Drużyny z Łodzi dawno nie budziły takiego zainteresowania reszty kraju. Łódzki Klub Sportowy w efektywnym stylu awansował do Ekstraklasy, w której ostatnio grał w 2012 r., Widzew – w niewiarygodnych okolicznościach utknął dwie ligi niżej. Te spektakularne historie przypominały o istnieniu klubów, których mozolną odbudową od paru lat żyją tysiące mieszkańców Łodzi i okolic.

Łódź zmierza na dno

Oba zespoły zajmują ważne miejsce w historii polskiego sportu. Widzew zapisał się w niej europejskimi sukcesami drużyny z początku lat 80., z Józefem Młynarczykiem, Władysławem Żmudą, Włodzimierzem Smolarkiem i Zbigniewem Bońkiem. ŁKS szczyci się m.in. 65 sezonami w najwyższej klasie rozgrywkowej – dłuższy staż mają w niej tylko Legia War-

szawa, Wisła Kraków i Ruch Chorzów. Ostatnim złotym okresem łódzkiej piłki była jednak końcówka ubiegłego wieku, kiedy najpierw dwukrotnie widzowiacy, a następnie ełkaesiacy zdobywali tytuł mistrzowski. Późniejsze lata przyniosły coraz słabsze wyniki na boisku, od których jeszcze bardziej frustrujące były wieczne problemy finansowe i organizacyjne oraz kompromitujący stan zaplecza treningowego i stadionów. Chodzenie na mecze stało się w Łodzi rozrywką dla masochistów.

W 2013 r. upadła spółka zarządzająca ŁKS, grającym wówczas na zapleczu Ekstraklasy, czyli w I lidze, a w 2015 r. identyczny los spotkał drugoligowców z dawnego Robotniczego Towarzystwa Sportowego. Polski Związek Piłki Nożnej wyraził wówczas zgodę na przejęcie tradycji zasłużonych klubów przez Akademię Piłkarską ŁKS oraz nowo powołane przez kibiców Stowarzyszenie Reaktywacja Tradycji Sportowych Widzew Łódź. Ceną za ten sposób ucieczki od

długów było dla obu drużyn „cofnięcie” na piąty poziom rozgrywek. W IV lidze niedawni mistrzowie Polski musieli walczyć o punkty z zespołami z Paradyża, Zgierza czy Pajęczna. Paradoksalnie to wtedy w serca łódzkich miłośników futbolu wstąpiła nadzieja, że „jeszcze będzie przepięknie”.

Wszystkie ręce na pokład

Widzew nie miał pieniędzy ani nawet stadionu – samorząd właśnie go zburzył, by na jego miejscu zbudować nowy. Dzięki rzutce kilkunastu łódzkich przedsiębiorców mimo wszystko RTS udało się przystąpić do sezonu. – Reaktywację cały czas wspieraliśmy również my, zwykli kibice. Także finansowo: w latach 2015-2016 w ramach akcji Wielka Orkiestra Widzewskiej Pomocy, która zresztą trwa do dzisiaj, zebraliśmy ponad 214 tys. zł, głównie na szkolenie młodzieży – podkreśla Michał, urzędnik. – Bez oddolnej mobilizacji fanów i lokalnego biznesu klub by nie przetrwał – przekonuje

dr Wojciech Woźniak, łódzki socjolog od lat zakochany w drużynie z al. Piłsudskiego. Piłkarze zrewanżowali się kibicom awansem do III ligi.

Po półtora roku tułania się po wynajętych boiskach, w marcu 2017 r., Widzew miał po raz pierwszy zagrać na nowym obiekcie. Rozsądek podpowiadał, że 18-tysięcznik będzie świecił pustkami, skoro w ostatnim sezonie w Ekstraklasie piłkarzy w czerwonych koszulkach dopingowało średnio 4479 widzów. Tymczasem na wszystkie 15 310 karnetów, które trafiły do dystrybucji, błyskawicznie znaleźli się nabywcy. Tylu abonamentów nigdy nie udało się sprzedać nawet klubom grającym trzy ligi wyżej. – Od tamtego czasu kilka razy poprawiliśmy ten rekord. Chętnych do oglądania Widzewa na żywo jest więcej niż miejsc na trybunach – mówi Michał. Na mecze chodzą całe rodziny, niemało osób specjalnie przylatuje z zagranicy. – Wrócili i ściągnęli swoje dzieci, krewnych i znajomych ludzie, którzy wykuszali się na różnych etapach beznadziei w dwóch ostatnich dekadach. Widzewski mit jakimś cudem nie tylko przetrwał, ale i zawładnął wyobraźnią kolejnych pokoleń. A przecież wielu fanów urodziło się już po naszym ostatnim zwycięstwie nad Legią. Im kibicowanie Widzewowi nie miało prawa kojarzyć się z niczym przyjemnym – uśmiecha się Woźniak. Na frekwencję nie wpłynęły nawet brak awansu do II ligi za pierwszym podejściem czy fatalne wyniki tej wiosny.

Jacek Burski, kolega Woźniaka z Instytutu Socjologii UŁ, który we wrześniu będzie bronił doktoratu poświęconego kibicom ŁKS, zaznacza, że także oni zaangażowali się w odbudowę klubu. Podkreśla przy tym, że biało-czerwono-białej społeczności, której też jest członkiem, udało się wypracować zdrowy podział praw i obowiązków. Przypomina, że Legia czy Lech bywają zakładnikami swoich radykalnych fanów, a kibolski gang sharksów na kilka lat przejął władzę w Wiśle Kraków i czerpał z niej korzyści finansowe. – U nas stowarzyszenie kibiców wspiera zarząd klubu, a nie próbuje na nim wymuszać określone decyzje – zapewnia. Duże znaczenie ma fakt, że jest on postrzegany jako swój. Nic dziwnego – prezes i główny sponsor piłkarskiej spółki, przedsiębiorca pogrzebowy Tomasz Salski,

podobnie jak wielu jej pracowników, jest związany z klubem od dzieciństwa.

Sympatyków ŁKS można też znaleźć wśród właścicieli firm, które reklamują się na stadionie. – Oni byli tu od zawsze i dla nich naturalne jest pomaganie drużynie również w ten sposób – komentuje Jakub Olkiewicz, redaktor naczelny portalu sportowego Weszło. Zwraca poza tym uwagę, że w zespole, który wywalczył awans do Ekstraklasy, kluczowe role odegrali wychowankowie klubu z al. Unii: Michał Kołba, Jan Sobociński i Rafał Kujawa. – Mam poczucie, że ŁKS jest teraz bardziej „nasz” niż ten dawny, w którym kibice byli dalej od zarządu, piłkarzy i działaczy – podsumowuje Łukasz, pracownik branży farmaceutycznej z Aleksandrowa Łódzkiego.

To, jak ważna jest dla łodzian piłka nożna, pokazują wybory do rady miasta. Kandydaci mocno zaangażowani w życie klubów, lobbujący na ich rzecz u prezydent miasta itd., mogą liczyć na poparcie trybun niezależnie od barw partyjnych. – Reprezentujący fanów Widzewa Rafał Markwant od dwóch kadencji zasiada w klubie Prawa i Sprawiedliwości, ale w 2010 r. został wybrany z listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej; Mariusz Przybyła ze Stowarzyszenia Kibiców ŁKS jest związany z Platformą Obywatelską. W środowiskach kibiców to rzadko są pierwsze wybory polityczne – zauważa Burski.

Spokój sternika

Radość z awansu to niejedyna emocja, która w ostatnim czasie połączyła sympatyków ŁKS. 21 maja połowa miasta odetchnęła z ulgą – rozstrzygnięto powtórzony przetarg na rozbudowę miejskiego stadionu będącego domem klubu. Obecny, oddany do użytku w 2015 r., ma tylko jedną trybunę, co było tematem wielu złośliwości, zwłaszcza ze strony kibiców lokalnego rywala. Inna sprawa, że nawet ta jedna trybuna stanowiła zupełnie nową jakość. – W końcu można skorzystać z normalnej toalety, zamiast czekać w kolejce do brudnego toaleta, czy usiąść na krześle, na którym nie ma kałuży wody, bo wreszcie mamy dach! – cieszy się Jarek, zatrudniony w spółce dystrybuującej książki.

Elkaesiacy są dziś wyraźnie mniej znerwicowani niż jeszcze kilka lat te-

mu. – Odkąd pamiętam, klub egzystował z sezonu na sezon, zmagając się z wciąż tymi samymi problemami. Zamiast realistycznego planu rozwoju było czekanie na mitycznych inwestorów, dzięki którym możliwy stanie się nagły skok sportowy i organizacyjny – wspomina Łukasz. – Dzisiejszy ŁKS postawił przed sobą cele, które krok po kroku realizuje.

Olkiewicz podkreśla, że obecnego prezesa na tle całego środowiska piłkarskiego wyróżnia wysoka świadomość tego, jak osiąga się sukces we współczesnym futbolu. – Nie przeznaczyl nadwyżki finansowej wypracowanej po awansie do II ligi na zakup nowego piłkarza, tylko zainwestował ją w bursę dla młodzieży. Tworzenie warunków do rozwoju młodych jest dla niego priorytetem – przekonuje dziennikarz, prywatnie elkaesiak. Chwali też Tomasza Salskiego za spokojne podeście zarówno do sukcesów, jak i do porażek. – Gdy w 2017 r. wszyscy byli załamani, bo drużynie nie udało się awansować do II ligi, prezes skupiał się na tym, że w porównaniu z poprzednim sezonem niesamowicie rozrosła się akademicka, poprawił marketing, wzrosła frekwencja na trybunach... Jego cierpliwość zaczyna się udzielać kibicom. Cieszę się, że ktoś taki stoi na czele mojego klubu.

Krajobraz po sztormie

W „czerwonej” części Łodzi – i regionu, bo Widzew ma wiele fanklubów w innych miejscowościach, nie tylko zresztą w centralnej Polsce – panują przeciwne nastroje. – Ile lat można być dumnym wyłącznie z frekwencji na stadionie? Runda wiosenna to był festiwal żenady. 10 remisów z rzędu, trzy niewykorzystane karne, roztrwonienie 11 punktów przewagi z jesieni i jako gwóźdź do trumny porażki z bezpośrednimi rywalami do awansu. Pojawia się pytanie, czy piłkarze byli zwyczajnie za słabi, czy z jakichś powodów nie chcieli wygrywać – wścieka się Przemek, łodzianin mieszkający obecnie w Kołobrzegu. Frustrację kibiców potęguje fakt, że klub, sponsorowany przez giganta rynku deweloperskiego, firmę Murapol, miał do dyspozycji aż 15 mln zł. To o 3 mln więcej niż suma budżetów czterech drużyn, które wyprzedziły go w tabeli, i tylko o 10 mln mniej niż budżet, który wystarczył Piastowi ▶

► Gliwice do zdobycia mistrzostwa Polski. – Widzew od początku sezonu zakładał tylko jeden scenariusz: wygramy II ligę, dokonujemy kolejnych wzmocnień i zaraz będziemy w Ekstraklasie – mówi Michał Ostafijczuk, redaktor naczelny portalu Łódzki Futbol.

Emocje, z którymi borykają się obecnie widzowi, trafnie podsumował Bartłomiej Stańdo. „Gdyby »na górze« był plan, rozsądek, ład, spokój i zalewający wszystkich dookoła optymizm – być może w przypadku niepowodzenia można byłoby być smutnym, a nie wściekłym. Cały rok 2019 (i nie tylko!) nie pozwala jednak – zarówno sportowo, jak i organizacyjnie – na skwitowanie czegośkolwiek ciszą. Tu należą się gwizdy”, czytamy na portalu RTSWidzew.pl. Dosadniej rozczarowanie piłkarzami i konkretnymi działaczami wyraziło Stowarzyszenie Fanatycki Widzewa.

staje się pośmiewiskiem od strony organizacyjnej i sportowej”, napisali w oświadczeniu opublikowanym na portalu Widzew To My (zachowano pisownię oryginału).

Na razie gniew kibiców doprowadził do tego, że zarząd klubowej spółki oddał się do dyspozycji właściciela, czyli Stowarzyszenia Reaktywacja Tradycji Sportowych Widzew Łódź. Doszło też do kolejnej w tym roku zmiany trenera i zaczęła się czystka w szatni.

Cała naprzód ku nowej przyszłości

Zdaniem Ostafijczuka widzowi nadal mają powody do optymizmu. – Widzew znów jest marką rozpoznawalną w całym kraju, ma nowy, piękny stadion i wiernych kibiców, których mogą mu zazdrościć inne drużyny.

ry, która w naszym przypadku zaprezentowała.

Jedno jest pewne: o ile poszczególni zawodnicy czy działacze mogą budzić irytację lub niechęć, o tyle miłość do klubowego herbu pozostaje niezmienna. – Absolutnie nie wstydzę się Widzewa. Gdy tu, nad morzem, mówię, za kim jestem, ktoś czasem mi dogryzie, że to tylko II liga, ale zaraz potem doda, że pod względem kibicowskim prezentujemy poziom co najmniej Ekstraklasy – zapewnia Przemek. A dr Wojciech Woźniak dodaje, że w obliczu tylu negatywnych stereotypów na temat Łodzi wierność i hojność widzów, o której głośno było nawet za granicą, jest na wagę złota.

Fani ŁKS, co rozumiecie, są pełni nadziei. Szczególnie liczą na powrót sukcesów w szkoleniu młodzieży, których jaskółką ma być wspomniany Jan Sobociński, obrońca, reprezentant Polski w drużynie do lat 20. Równolegle dobra atmosfera wokół klubu, który w tym roku obchodzi 111. urodziny, owocuje kolejnymi oddolnymi inicjatywami, w tym wykraczającymi poza wspieranie piłkarzy z przeplatanką na koszulkach. Przykładem może być nieformalna grupa Łódź Kocha Sport, w ramach której kibice trenują m.in. biegi oraz angażują się w akcje charytatywne. – Dzięki ŁKS wiele osób poczuło się częścią większej wspólnoty, w której odnalazło pozytywne wartości: akceptację, dumę z miejsca pochodzenia i jego historii. To tym ważniejsze, że w Łodzi, która dużo wycierpiała w okresie transformacji, nie ma zbyt wielu okazji do zaspokojenia takich potrzeb – przekonuje Piotrek, ekonomista i filmowiec.

W pierwszej połowie roku kibice Widzewa musieli przełknąć niejedną gorzką pigułkę, podczas gdy fani ŁKS mieli wyjątkowo dużo powodów do radości. Nie sposób jednak przewidzieć, jakie emocje czekają ich po letniej przerwie w rozgrywkach. Istotę najpopularniejszego sportu na kuli ziemskiej dobrze uchwycił sir Alex Ferguson, legendarny trener Manchesteru United. 20 lat temu, po zwycięskim finale Ligi Mistrzów, na drodze do którego jego drużyna wyeliminowała m.in. ŁKS, dwie bramki strzelone w doliczonym czasie gry podsumował krótko: „Piłka nożna, do cholery!”.

Michał Sobczyk



Poszczególni zawodnicy czy działacze Widzewa mogą budzić irytację, ale miłość do klubowego herbu pozostaje niezmienna.

Jego aktywiści są jednocześnie zeterminowani walczyć na wszelkie możliwe sposoby o honor klubu. „Czas pozornych działań już się skończył. Jeśli w klubie i stowarzyszeniu nie ma nikogo, kto będzie miał odwagę do przedsięwzięcia takich działań, to uwierzcie, że my nie będziemy mieli z tym najmniejszego problemu. Wazeliniarze z lizusy judasz gotowych sprzedać Widzew za kilka srebrników niech sobie darują teksty o kibolach, którzy chcą się dorwać do władzy. Ostatnie trzy lata, ten festiwal żenady w zarządzaniu Klubem przez nieudaczników doprowadził nas do miejsca, w którym Widzew znów

Myślę, że najpóźniej za kilka lat klub wróci do Ekstraklasy – przewiduje. Zwraca też uwagę, jak wiele zależy od piłkarskiego szczęścia. – Gdyby w szóstej minucie meczu z Radomiakiem Mąka wykorzystał rzut karny, dziś to Widzew mógłby świętować awans.

Również Olkiewicz uważa, że nic takiego się nie stało. Przypomina, że ŁKS awansował do II ligi dopiero za trzecim podejściem. – Działacze i kibice mieli wówczas okazję zweryfikować swoje wyobrażenia na temat tego, ile w niższych ligach znaczy marka i budżet, a ile – rzetelna praca u podstaw. Widzew nie miał dotąd okazji nauczyć się tego rodzaju poko-

Wschód – strefa ciszy

Jak wygląda polska polityka wschodnia? Cóż, trudno oceniać coś, czego nie ma. Tak rozmawiają sobie pracownicy MSZ. I pewnie wiele się nie mylą.

A czy jakimś przełomem jest spotkanie ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem? Doszło do niego niejako przy okazji, podczas sesji Komitetu Ministrów Rady Europy w Helsinkach.

Było to pierwsze spotkanie szefów MSZ obu krajów od roku 2014. A to pokazuje, jak bardzo zamrożone są te kontakty.

Co ciekawe, w polskim komunikacie o spotkaniu najczęściej napisano o tym, że rozmowy dotyczyły wraku smoleńskiego TU-154M. Żeby Rosja nam go oddała. I to jest najważniejsza sprawa w naszych stosunkach?

Komunikat wspominał też, że rozmawiano o Ukrainie. Pytanie tylko – jak.

Zapowiedziano również regularne konsultacje na szczeblu dyrektorów. Cóż, niżej nie można było. Ale dobre i to, nie da się bowiem prowadzić jakiegokolwiek polityki, nie rozmawiając.

Na marginesie tego spotkania nie sposób nie zauważyć, że mogłoby ono wyglądać inaczej, gdyby nasza ambasada w Moskwie trochę inaczej działała. Lub też – w ogóle działała. Bo wygląda jak oblężona twierdza. A ambasador Włodzimierz Marciniak jak oblężony wojownik, który zza bezpiecznych murów niechętnie się wychyla. Może warto byłoby zmienić tę taktykę?

Pytanie tylko, jaki jest powód tej strategii zamkniętej twierdzy. Czy zależy to od ambasadora? A on, raczej naukowiec, a nie dyplomata, nie ma naturalnych predyspozycji, by spotykać się z ludźmi? A może to

zależy od centrali, która każdą inicjatywę wyjścia do gospodarzy traktuje podejrzliwie? I to Warszawa jest tym hamulcowym.

Nie wyrokujeć w tej sprawie, warto spojrzeć, jak funkcjonują inne polskie ambasady za wschodnią granicą. Jeśli chodzi o ambasadę w Mińsku, również mamy milczenie, zdaje się, że już nawet służby prezydenta Łukaszenki nie za bardzo się interesują, co tam się dzieje, co nasi dyplomaci mówią i robią.

A Ukraina?

Los ambasadora Jana Piekły jest chyba wyraźnym ostrzeżeniem dla wszystkich ambitnych szefów placówek. Piekło, mimo że Warszawa zaczęła zamrażać kontakty z Kijowem, próbował zachować resztki dobrych wzajemnych emocji. Ale się nie udało. Pod koniec roku 2018, po dwóch latach pracy, został odwołany. Zastąpił go wiceminister Bartosz Cichocki. W Warszawie tłumaczono, że to sygnał, że stosunki z Ukrainą traktujemy priorytetowo, i dlatego wysyłamy tam tak silnie umocowaną w polskim establishmentie osobę.

I co? Ambasador Bartosz Cichocki buduje nową twierdzę. Ogląda ukraińskie programy telewizyjne i protestuje, kiedy coś w sprawach historycznych mu się nie podoba. Poza tym obserwuje.

Nie zbliża się do nowego prezydenta, do jego ludzi, nie próbuje budować jakichś relacji. Obserwuje.

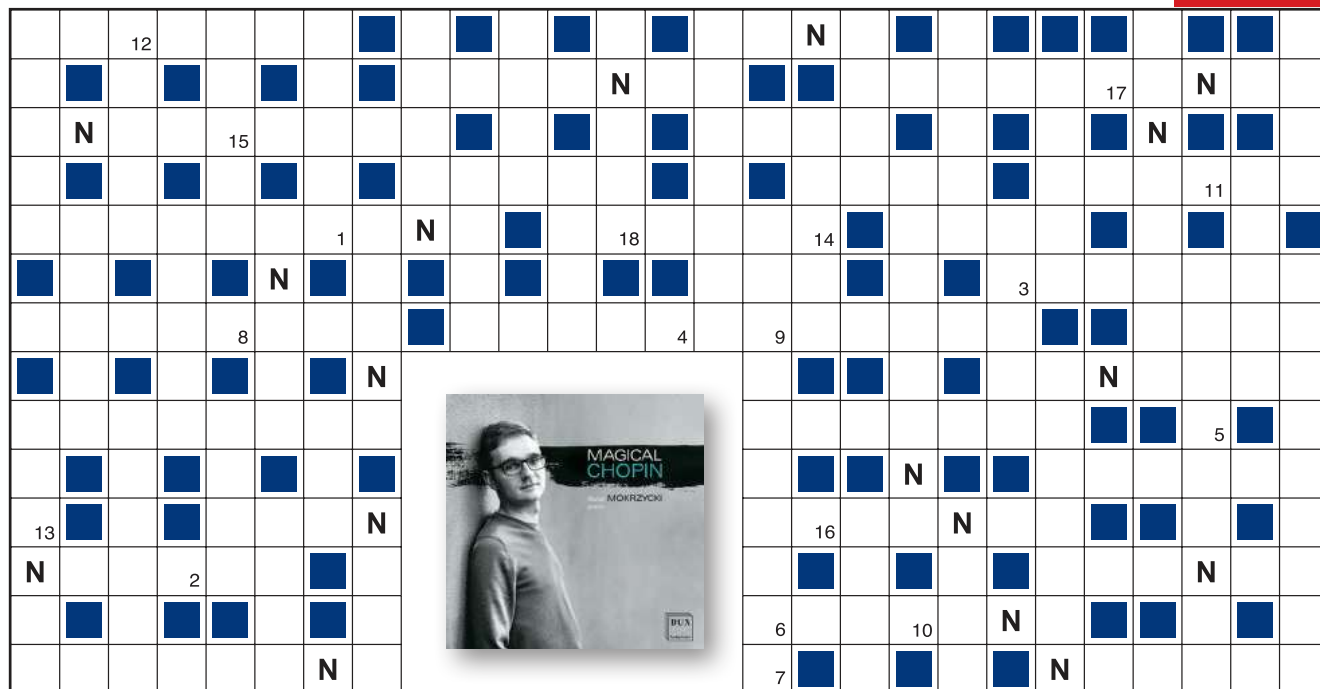
Znaczy – człowiek ostrożny i taki, co zawsze będzie miał rację, bo przekaże swoje zdanie, gdy już wszyscy inni się wypowiedzą i zrobią, co mieli zrobić.

Będzie to więc bez znaczenia.

Attaché



Gdy zabraknie koni mechanicznych... Okolice miasta Blaj w Rumunii.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- nie dba o siebie ani swoje wygody
- piłkarze lub koszykarze z Gdyni
- szynka to jego kuzynka
- mięsień dwugłowy ramienia
- na paryskim znalazł się Mickiewicz
- drzenie z zimna, ze strachu
- nadzorca prac rolnych w majątku
- koleżanka bistoru
- zapał, uniesienie
- białkowy katalizator reakcji chemicznych
- pomór, zaraza, plaga
- imię bp. Ciołka
- w niej sprzęt do natychmiastowej reanimacji
- wystawne przyjęcie lub słony ser
- gdy beztalencie pisze i pisze
- słowo do słuchawki
- imię aktorki lub młodej tenisistki
- Indianin albo fryzura
- główny składnik czekolady
- próg np. na Nilu
- cierpienia fizyczne lub psychiczne
- brzęczały w niej dukaty
- danie dla chorego i malca
- uprzejma, często przesadna pochwała
- lodowa lub litosferyczna
- zdjęciowy nie nad umywałką
- z piernika paż, a ona z marcepana
- Tomasz Knapik lub Maciej Gudowski
- nocny, wyborczy albo gastronomiczny
- pulsujący ból w kościach, głowie
- francuskie dbanie o paznokcie u rąk
- grajek
- np. 150 tys. egzemplarzy
- idzie w nie trunek
- było nią życie w piosence z „Klanu”
- prąd rzeki, kierunek w kulturze
- harcerski pod gołym niebem
- mizantrop
- resztką surowca
- polski wśród psów gończych
- matecznik w puszczy
- banknotów, listów, komputerowy
- odbierany przez położną
- i maluch, i starszak
- od nas zależy, jaka będzie
- bywa stare, wierne, wielkie
- korozja
- zdolność szybkiego orientowania się i reagowania
- i do zagrania, i do zaorania
- szuka żony na oczach widzów
- placi lejami
- złote wisiało w gaju Aresa
- zadrapanie, pęknięcie
- mocne włókno z liści agawy
- fosforobraz lub miedzionikiel
- beztroska zabawa, nieposłuszeństwo
- Achillesa, ale nie pięta
- w ręku kucharki siekającej mięso
- słup reklamowy z logo firmy
- odzież
- pęknięcie mas skalnych i ich przesunięcie się
- sprzeczką, zwada
- pętle używane przez kłusowników

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-911”. Do rozlosowania CD „Magical Chopin” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 czerwca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-908” z 19 maja: **Młodość ma swoje prawa.** Nagrody otrzymują: Andrzej Dziemiańczyk z Sząbruka, Krystyna Józwik z Legnicy, Barbara Murawel z Wrocławia.

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Niedoszła bohaterka naszej okładki, nagradzana reporterka, opowiadała w wywiadzie, jak sobie radzi z autoryzacją: otóż czyta całe teksty rozmówcy przez telefon, bo – jej zdaniem – u niewyrobionego medialnie człowieka uszy są lepszym odbiorcą nowych treści niż oczy. Albo sama jeszcze medialnie nie dorosła, albo lubi pisać, bo efekt był taki, że gdy odesłała wywiad po autoryzacji, trudno w nim było znaleźć jedno zdanie, które byśmy znali. Udało jej się nawet usunąć pytanie dziennikarza. Tekst wylądował w koszu. Co ciekawe, najwięcej ingerencji podczas autoryzacji robią dziennikarze piszący. Zmyślony wywiad innego znanego reportera trzymam do dziś w swoim archiwum jako kuriozalny przykład zmian sensu prawie każdej wypowiedzi o 180 stopni.

zwierciadło **EWA EWART,** DOKUMENTALISTKA, LAUREATKA NAJBARDZIEJ PRESTIŻOWYCH NAGRÓD DZIENNIKARSKICH I TELEWIZYJNYCH NA ŚWIECIE

Czasami oglądam swoje filmy, bo uczę sztuki dokumentu. Wracają okoliczności, historie, bohaterowie. Gdzieś byli, czekali na to spotkanie. Nie przyjmuję odmowy, bo w życiu nie zrobiłabym żadnego filmu. Kiedy uprę się na bohatera, nie ma opcji, abym go nie przekabaciła, jakoś do niego nie dotarła. Zawsze można znaleźć klucz. Trzeba mieć tylko więcej czasu. Muszę o bohaterach wszystko wiedzieć. Przed kamerą najważniejszy jest bohater. Ja

mam wydobyć z niego to, co istotne. Z natury jestem bardzo niecierpliwa. Wszystko musi być u mnie na już, na teraz. A to tak nie działa.

charaktery magazyn psychologiczny

JERZY MAKSYMIAK, PIANISTA, DYRYGENT

Praca, która jest pasją, to przyjemność. Kocha się ją. Niedawno usłyszałem wypowiedź młodej kobiety, która stwierdziła, że wzięła udział w pewnym programie, bo chciała zostać... celebrytką. Zatrwożyła mnie ta wypowiedź. Z przykrością też obserwuję, jaką przyjemność sprawia młodym ludziom popularność osiągana dzięki błahym prezentacjom w internecie. Takim, o których ocenie decyduje liczba lajków, a nie wartości wymagające ciężkiej pracy. Moim celem nigdy nie była rozpoznawalność, ba, odrzucałem w swojej pracy to, co łatwe. A okłaski? Lubilem i lubię je, ale przecież nie one są celem.

PANI

JAN ENGLERT, DYREKTOR ARTYSTYCZNY TEATRU NARODOWEGO

W skrócie z moją żoną sytuacja przedstawia się tak: byłem profesorem, teraz robię za asystenta. Mam w niej dyrektora – trochę z racji rozłożenia sił w związku, a trochę z lenistwa – i często oddaję jej pole do działania. W domu nie mam zbyt dużo do powiedzenia. Ona jest perfekcyjną organizatorką, ja typowym trutniem, mężczyzną, który ma o sobie wysokie mniemanie i cieszy się, że pszczoły za niego robią. Ona zapewne widzi, jak ja pięknie się rozwija.

Aby język giętki...

MAREK BELKA O AMERYKANACH

Są zbyt aroganccy i pewni siebie. Mają przeświadczenie, że jeśli coś działa dobrze w Ameryce, to będzie tak działać wszędzie na świecie. Tymczasem na ogół jest dokładnie odwrotnie.

GRZEGORZ SCHETYNA **O BARTŁOŚMIU SIENKIEWICZU**

Nie ma nic wspólnego z Koalicją. I nie będzie miał. Bo rywalizuje z Jądzewskim na to, kto powie mocniejszy „bon mot” i mocniej się przebiję.

JERZY URBAN O MICHAŁE RACHONIU

Przodująca morda TVP zalicza mnie do małp. Najmarniejsze nawet małpy stawiam wysoko wyżej niż pisowców.

ROMAN KOSECKI **O DARIUSZU MIODUSKIM**

Zatrudnianie trenerów wyglądało jak ogłoszenie: zatrudnię psychopatę, który może robić z piłkarzami, co mu się podoba, a my mu jeszcze za to zapłacimy.

DANUTA STENKA **O WEWNĘTRZNYM SPOKOJU**

Mam dystans, którego mi przez wiele lat brakowało. Teraz się do niego doczołgałam.

MICHAŁ URBANIAK O KOBIECACH

Każda kobieta, którą kochałem i Kocham, jest moją żoną. Tak samo jak się kocha muzykę, kocha się kobietę.

GRAŻYNA TORBICKA **O WYWIADZIE Z QUENTINEM TARANTINO**

W momencie gdy zorientowałem się, że jestem pasjonatką kina, przestał zwracać uwagę na czas, cieszył się rozmową.

KATARZYNA JUNGOWSKA **O MAMIE GRAŻYNIE SZAPOŁOWSKIEJ**

Żyje trochę jak wiedźma, która umie leczyć się ziołami i domowymi sposobami. Dzięki niej mogę samotnie wychowywać córkę.

PAWEŁ KUKIZ **O ADAMIE ANDRUSZKIEWICZU**

Oszukał wyborców i mnie.

JOANNA KULIG O BABCY

Jest niezwykłą kobietą. Zawsze przepięknie śpiewała. Urodziła siedem córek.



Raoni Metuktire, legendarny przywódca ludu Kayapó, podczas trzytygodniowej wizyty w Europie przypominał o konieczności ochrony amazońskiej dżungli.

Gdy 500+ nie wystarcza

Mer francuskiego Montereau Jean Debouzy zaoferował mieszkańcom darmową viagrę. Chce w ten sposób walczyć z zapaścią demograficzną miejscowości liczącej 650 dusz. Samorządowiec boi się zwłaszcza zamknięcia lokalnej szkoły, w której uczy się obecnie ok. 30 dzieci. – Wioska bez dzieci to wioska, która umiera – powiedział Debouzy. – Pigułki zostaną rozdane parom w wieku 18-40 lat, aby dać im szansę poczęcia, a tym samym zachować naszą szkołę – dodał. Nie wiadomo niestety, czy akcja dojdzie do skutku, ponieważ wspomniany lek jest we Francji dostępny jedynie na receptę.

Wziął lajki i w nogi!

29-letni Jose Simms złożył poszukującej go policji z Torrington w stanie Connecticut nietypową ofertę: odda się w jej ręce, jeśli wystawiony za nim list gończy zdobędzie 15 tys. polubień na Facebooku. Simms, mający na sumieniu m.in. jazdę po alkoholu, zakłócanie porządku publicznego i notoryczne niestawianie się w sądzie, początkowo żądał 20 tys. lajków, jednak w toku negocjacji zszedł z ceny. Stróż prawa, którym wyczerpały się pomysły na złapanie mężczyzny, przystali na jego warunki. Niestety, okazał się niesłowny: mimo otrzymania niemal 30 tys. polubień nadal się ukrywa.

Tęczowy książe

W indyjskim stanie Gudżarat członkowie dyskryminowanych prawnie i prześladowanych przez społeczeństwo mniejszości seksualnych znajdą bezpieczne schronienie w... pałacu. Książe Rajpipli Manvendra Singh Gohil, jed-



ny otwarcie homoseksualny przedstawiciel swojej klasy społecznej, od lat działa na rzecz społeczności LGBT. Niedawno wpadł na pomysł, by utworzyć dla niej podwoje swojej rodowej siedziby. Poza dachem nad głową w pałacu będzie można otrzymać m.in. opiekę psychologiczną i medyczną oraz uczestniczyć w kursach zawodowych.

Niedobra zmiana

Skandal w szóstej lidze hiszpańskiej. Choć drużyna z Casablanki uległa zespołowi Los Colorados 1:2, arbiter spotkania wpisał do protokołu meczowego wynik 1:1. Mimo licznych apeli fatalny błąd sędziego popełniony w październiku do dziś nie został naprawiony przez władze piłkarskie. Zaważyło to na ostatecznym wyniku rozgrywek: Casablanca utrzymała się w lidze kosztem Saucillo. I jak tu ufać sędziom?

Bóg tak chciał?

Park rozrywki z repliką Arki Noego, stworzony przez kreacjonistów w Williamstown w stanie Kentucky, został... podtopiony przez deszcz. Intensywne ulewy w 2017 i 2018 r. spowodowały m.in. osunięcia ziemi, co na pewien czas odcięło potencjalnym zwiedzającym dostęp do obiektu. Obecnie właściciele parku procesują się z ubezpieczycielem, który ich zdaniem niewłaściwie oszacował szkody. Uspokajamy: dinozaury i jednorożce, również umieszczone na 150-metrowym statku, nie ucierpiały.





Spółeczno-polityczny body painting. Aktywistki Femenu przed Palais-Royal w Paryżu protestują przeciw zamachom, w których giną kobiety, a zwolennicy rządzącej Demokratycznej Partii Postępowej świętują zaprzysiężenie prezydenta w Malawi.

Nic tak nie kręci jak mop

Naukowcy ogłosili, że sprzątaniu towarzyszy ekscytacja, a nawet entuzjazm. Do takich wniosków doprowadziły ich pomiary tętna i tzw. reakcji skórno-galwanicznej osób wykonujących różne prace porządkowe. Co więcej, uczestnicy badania bez wyjątków zadeklarowali, że po ukończeniu zadania poczuli luz i spokój. Być może warto wspomnieć, że eksperyment został przeprowadzony na zlecenie producenta środków czystości Mr. Clean.

Włamanie na sprzątanie

Wspomniane badanie może tłumaczyć niecodzienną przygodę, jaką przeżył niejaki Nate Roman z Marlborough w stanie Massachusetts. Po powrocie z pracy z przerażeniem zauważył, że ktoś był w jego domu. Szybko zorientował się jednak, że nic nie zginęło, za to łóżka zostały posłane, dywany odkurzone, a toaleta wyczyszczona na błysk. Mężczyzna zgaduje, że zostawił drzwi niezamknięte, a jakaś firma sprzątająca pomyliła numery posesji. My typujemy raczej kogoś, kto chciał poczuć ekscytację, entuzjazm, luz i spokój.

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGLĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ

Tak

różnorodny, że trudno się oderwać



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Mallbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Malarz. Mentor. Mag

Akt vor blauem Grund



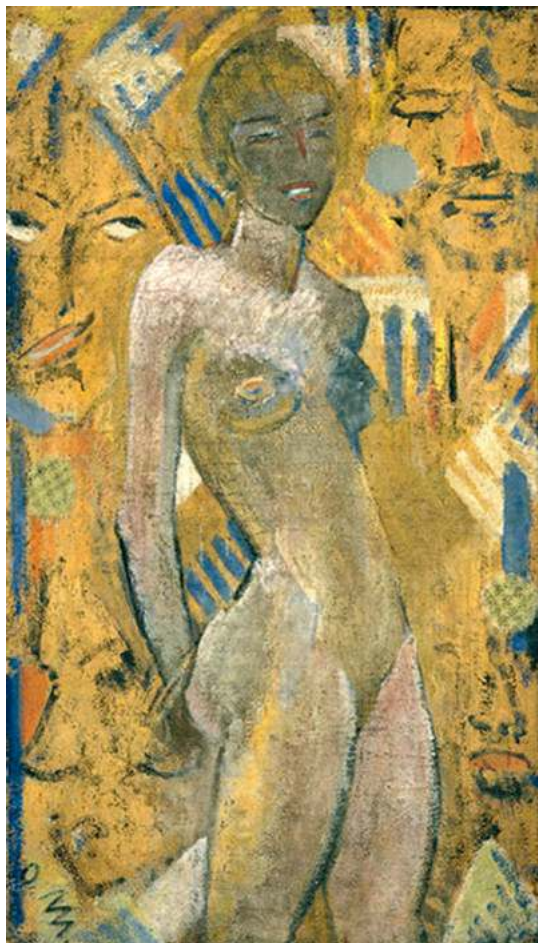
Zwei Mädchen



Otto Mueller a środowisko artystyczne Wrocławia

Ideą wystawy jest pokazanie z wielu perspektyw potrójnej roli Ottona Muellera: malarza, mentora i artysty maga. Krążyły o nim legendy jeszcze za jego życia. Z powodu charyzmatycznej osobowości i niekonwencjonalnego sposobu bycia stał się ikoną ówczesnej bohemy. Zaprezentowane zostały zarówno przykłady wczesnej twórczości Muellera z okresu przynależności do grupy Brücke, jak i prace malarskie oraz grafiki ilustrujące dwa wiodące motywy w jego sztuce: akty na tle pejzażu i „obrazy cygańskie”. Po raz pierwszy zwrócono uwagę na wyjątkowe oddziaływanie Muellera (1874-1930) na współczesnych mu twórców. Przez ponad 10 lat był wykładowcą w Państwowej Akademii Sztuki i Rzemiosła we Wrocławiu (wówczas Breslau), która w latach 20. XX w. należała do najbardziej postępowych uczelni artystycznych w Europie.

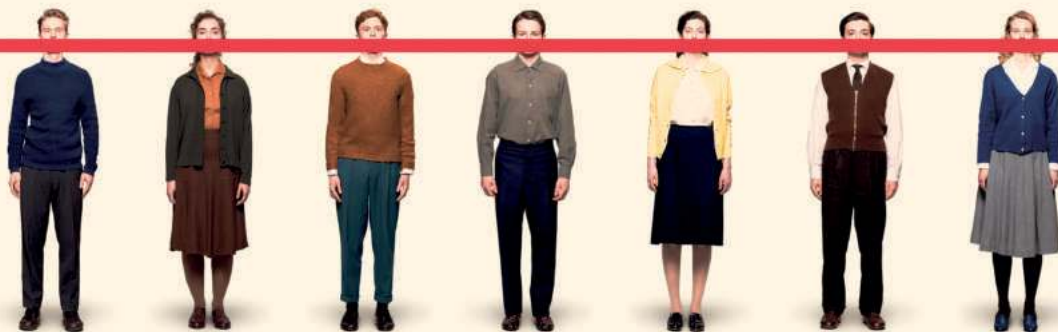
**Muzeum Narodowe we Wrocławiu
do 30 czerwca**



Junges Mädchen vor Männerköpfen



Sommertag



NA MOTYWACH BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI AUTOBIOGRAFICZNEJ DIETRICHA GARSTKI

MILCZĄCA REWOLUCJA

REŻYSERIA LARS KRAUME („FRITZ BAUER KONTRA PAŃSTWO”)



w kinach od 7 czerwca

german
films

AURORA

♦ TEATR CAPITOL ♦

Donald Churchill i Peter Veldham

SKOK W BOK

przekład
Klaudyna
Rozhin

Reż.
Andrzej
Rozhin



Monika
Krzywkowska



Michał
Milowicz



Paulina
Holtz



Sławomir
Zapata



Marta
Chodorowska

Magdalena
Wróbel



Adam
Fidusiewicz



♦ KUP



♦ teatrcapitol.pl

Dorota Chotecka Anna Iberszer Kajra Kajrowicz Jacek Kopczyński Michał Malinowski Joanna Moro Andżelika Piechowiak Michalina Sosna Robert Wabich Delfina Wilkońska